

Magnum Award 2011

# ELIZABETH ADLER

HOTEL RIWIERA



— WYDZIAŁ KULTURY —

-WSZYSTKO DLA PAŃ-

# ELIZABETH ADLER

## HOTEL RIWIERA

Przekład  
Anna Zukowska-Maziarska

AMBER

# Rozdział 1

## Lola

Kiedy pierwszy raz spotkałam Jacka Farrara, był koniec września, jeden z tych łagodnych, owianych lekką bryzą wieczorów na południu Francji, które zapowiadają koniec lata. I choć wtedy nie mogłam jeszcze o tym wiedzieć, spotkanie to miało zapoczątkować wielkie zmiany w moim życiu.

Nazywam się Lola Laforet - no jasne, pewnie uważacie, że jestem strip-tizerką. Wszyscy tak myślą. Tak naprawdę jestem szefem kuchni i *patronne* hotelu Riwiera, i zanim wyszłam za mąż za „Francuza”, byłam zwyyczajną Lolą March z Kalifornii. Ale to długa historia.

Minęło sześć lat, odkąd powitałam pierwszych gości hotelu Riwiera, choć słowo „hotel” jest zbyt szumnym określeniem tej starej willi. To po prostu zwykły, bezpretensjonalny dom tuż nad plażą. Jest tu osiem pokoi, a z każdego z nich wysokie, oszklone drzwi prowadzą na taras okryty bugenwillą i pachnącym nocajasmańm. Willa stoi na porośniętym sosnami cyplu w pobliżu szosy do Ramatuelle koło Saint-Tropez, przy długiej i wąskiej piaszczystej drodze, którą ocieniają baldachimy sosen i ożywia granie cykad - *cigales*. Mamy tu małą własną plażę, na której piasek jest jasny jak platyna i drobny jak cukier. Latem pojawiają się na nim granatowe parasole, jaskrawożółte leżaki i złote od opalenizny ciała naszych gości. Małe dzieci biegają tam i z powrotem po drobnych falach, a dorośli sączą w cieniu mrożone drinki. W upalne popołudnia zamykają okiennice swoich pokoi, w których chronią się, by drzemać albo kochać się na chłodnej białej pościeli.

Wyobraźcie sobie rozświetloną zatoczkę, spowitą w błękit i przewianą tęczą jak pudełeczko od Tiffany'ego, a wyczujecie nastrój mojego

hoteliku. To miejsce stworzone do Romansu przez duże R. Pomijając mnie, czyli osobę, która je stworzyła.

Mój własny romans utknął gdzieś po drodze wśród winorośli. Tak się jakoś złożyło, że nigdy z moim „Francuzem”, Patrickiem, nie jedliśmy kolacji we dwoje, przy świecach, na tarasie, kiedy na ciemnej wodzie lśni srebrna smuga księżycowego światła, a w wysokich kieliszkach pieni się szampan. Nigdy Patrick nie ujął mojej dłoni i nie patrzył mi głęboko w oczy. O, nie. Moje miejsce zawsze było w kuchni, gdzie szykowałam cudowne uczyty dla kochanków, których spotkało w życiu coś, czego tak mocno pragnęłam, podczas gdy mój własny „ukochany” korzystał z rozkoszy nocnego życia w środku sezonu w Saint-Tropez.

Kiedy sześć lat temu poznałam i poślubiłam Patricka, sądziłam, że znalazłam prawdziwą miłość. Dziś nie wierzę, by coś takiego w ogóle istniało. Owszem, przynajmniej, zostałam zraniona i wiem, że zawsze miałam szczęście do drani, a wszyscy ci porządni, prostolinijni faceci o męskich twarzach, solidni i opiekuńczy, zdecydowanie nie byli dla mnie. Za to hołota lgnęła do mnie jak muchy do miodu.

Co znowu oznacza, że muszę wrócić do Jacka Farrara.

A więc stałam samotnie na tarasie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim pierwsi goście zasiądą do kolacji. Była to moja ulubiona pora roku - kończył się długi i upalny letni sezon, tłumy turystów i urlopowiczów już wyjechały, a życie wracało do spokojniejszego rytmu. Niebo wciąż było nieskazitelnie błękitne, bryza miękko owiewała moje nagie ramiona, a ja, pogrążona w rozmyślaniach nad własnymi problemami, patrzyłam obojętnie na śliczną zatokę, sącząc schłodzone wino rosę.

Trwam w stanie zawieszenia; zaraz wytłumaczę dlaczego. Pół roku temu mój mąż Patrick wskoczył do swego srebrzystego porsche, by pojechać, jak twierdził, po urodzinowy prezent dla mnie. Jak zwykle nie pamiętał o moich urodzinach, ale ktoś musiał mu o nich przypomnieć. Był w ciemnych okularach, nie mogłam więc dostrzec jego spojrzenia, kiedy niedbale machnął mi na pożegnanie. Nie uśmiechał się jednak - to pamiętam.

Od tamtej pory nie dał żadnego znaku życia. Nikomu. I wygląda na to, że chyba nikt też się tym nie przejął, choć robiłam wszystko, żeby go odnaleźć. Policja, oczywiście usiłowała coś zrobić; zdjęcia Patricka, który „wyszedł i dotychczas nie powrócił”, wisiały wszędzie; pojawiły się nawet jakieś tropy prowadzące do Marsylii i Las Vegas, ale wszystko na nic. Sprawa trafiła na półkę, a Patrick powiększył grono osób zaginionych. W tych okolicach znaczy to mniej więcej „zagubiony mąż” i nie jest niczym nadzwyczajnym. Kiedy po plażach snują się olśniewające dziewczęta, a jachty pełne są bogatych kobiet, niejeden mąż może się zgubić.

Teoretycznie, coś o zaginięciu Patricka powinni wiedzieć jego przyjaciele. Oni jednak zarzekali się, że o niczym nie mają pojęcia, poza tym byli to jego przyjaciele, nie moi. W rzeczywistości prawie nie znałam ludzi, z którymi spędzał czas. Byłam zbyt zajęta doprowadzaniem naszego małego hoteliku do stanu idealnego. A Patrick nie miał rodziny; powiedział mi, że jest ostatnim z Laforetów, którzy przez dziesiątki lat mieszkali w Marsylii i żyli z połou ryb.

Skoro mowa o morzu i łodziach, muszę wrócić do Jacka Farrara.

W pole widzenia wdarł się nagle mały czarny słup. Nie lubię, kiedy spokój mojej zatoczki naruszają urlopowicze balujący do rana, nie przepadam za łomotem disco, za krzykami i piskiem pasażerów łodzi wpychających się nawzajem do wody. Z niechęcią popatrzyłam na żaglowiec. Nie był to przynajmniej żaden z tych ogromnych jachtów; *szczerze* mówiąc, nawet nie sądziłam, żeby coś tak małego przyjeżdżało w Saint-Tropez, nawet gdyby jego właściciel mógł sobie na to pozwolić, w co - sądząc po sfatygowanej łodzi - należało wątpić. Zapewne dlatego postanowił zakotwiczyć właśnie w mojej zatoczce, z widokiem na mój śliczny hotelik.

Czarny słup wyłonił się zza linii horyzontu, poluzował żagle i wpłynął do zatoczki, gdzie jak przypuszczałam, rzucił kotwicę.

Chwyciłam lunetę stojącą w rogu tarasu i nastawiłam ostrość na łódkę; na dziobie widniał mosiężny napis NIEDOBRY PIES. Przesunęłam odrobinę obiektyw i zobaczyłam mężczyznę. Muskularna sylwetka, szerokie ramiona, potężna klatka piersiowa przechodząca w wąskie biodra... i mój Boże, on był zupełnie nagi!

Wiedziałam, że nie powinnam, ale no dobra, przyznaję, podglądałam - szczerze mówiąc, dość długo. Która kobieta by tego nie zrobiła? W końcu stał tam, gotowy do skoku do wody, niemal afiszując się ze swoją nagością. I muszę przyznać - było na co popatrzeć. Mówię oczywiście o twarzy, na swój szczególny sposób pociągającej. Pomyślałam, że pasuje do łodzi: twardy, solidny, po przejściach.

Przyglądałam się, jak Nagi Mężczyzna nurkuje, a potem przecina wodę idealnym kraulem, aż do chwili, gdy została jedynie nikła piana znacząca jego ślad. Kątem oka zauważyłam ruch na łodzi: młoda kobieta, z nogami po szyję i długimi blond włosami, ubrana jedynie w jaskrawoczerwony dół kostiumu kąpielowego, leżała wyciągnięta na ręczniku, łapiąc ostatnie promienie słońca. Nie potrzebowała ich zresztą; podobnie jak mężczyzna, była doskonale przypieczona. Tylko ją posmarować masłem i dżemem, pomyślałam z zazdrością, i podać mu do schrupania na śniadanie.

Nagi Mężczyzna zbliżał się z powrotem do łodzi. Złapałam go w obiektyw i w tym momencie popełniłam błąd.

Wskoczył na pokład, strząsnął z siebie jak pies chmurę tęczowych kropek, po czym wyciągnął ramiona i podniósł głowę do słońca. Stał tak przez chwilę, piękny, mocny i złoty od słońca i morskigo wiatru. Z jego postawy przebijało takie poczucie swobody, że zaparło mi dech.

Patrzyłam, jak przechodzi na rufę i sięga po coś. Lornetka. I wtedy schwylił mnie obiektywem i przyłapał na podglądaniu.

Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie połączeni silnymi szklami soczewek. A oczy miał niebieskie, ciemniejsze niż kolor morza i mogłam przysiąc, że widać w nich było rozbawienie.

Odskokczyłam zażenowana. Zrobiło mi się gorąco. Po wodzie przetoczył się jego drwiący śmiech. Pomachał zawiadacko w moją stronę i wciąż śmiejąc się, naciągnął szorty, po czym wolno zaczął porządkować pokład.

No więc tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Jackiem Farrarem. Następne okazało się jeszcze bardziej interesujące.

## Rozdział 2

Uciekłam przez taras do jadalni. Nerwowo sprawdzałam stoły; tu przetarłam nóż, tam poprawiłam kieliszek. Upewniłam się, że wina się chłodzi, płócienne serwetki są prawidłowo złożone, rzuciłam także okiem w stronę lustra za barem, w jakim stanie są moje długie rude włosy, marząc o tym, by można je było określić słowem miedziane, albo nawet czerwone. Niestety, były rude. Jak zawsze pomyślałam, że cudownie byłoby mieć oczy o egzotycznym migdałowym wykroju, a nie tak strasznie okrągłe, a także pozbyć się zmarszczek i być wyższa, smukłej sza, a do tego na przykład o dziesięć lat młodsza. Brakowało mi roku do czterdziestki i po przeżyciach ostatnich miesięcy mój wygląd całkowicie to potwierdzał.

Niespecjalnie modnie prezentowałam się też w kuchennych workowatych spodniach i przyciasnej białej podkoszulce, nieumalowana, a co gorsza, bez tuszu na rzęsach. Wyglądałam jak rudy kot.

Z przerażeniem stwierdziłam, że dokładnie taki obrazek zobaczył przez lornetkę Nagi Mężczyzna. To już było niepokojące; naprawdę powinnam się nieco wysilić, ale i tak z pewnością był mną zainteresowany; zapomniałam więc o wszystkim i udałam się do mego królestwa.

Wisząca w drzwiach zasłona z barwnych koralików zachrobotła za mną i znalazłam się w najukochańszym dla mnie miejscu na świecie - w ogrom-

nej, wyłożonej płytkami kuchni z wiekowymi belkami stropu i rzędem otwartych okien, wokół których wiły się kwitnące pnącza.

Pierwszego dnia, kiedy tu weszłam, wiedziałam, że to musi być moja kuchnia. Podbiła moje serce bardziej niż czarodziejski widok z tarasu, niż kręte piaszczyste ścieżki, cień sosen i szalone, bujne ogrody. Bardziej niż chłodne pokoje na piętrze o wysokich oknach i przekrzywionych okiennicach oraz położony na parterze „salon” z imponującym kominkiem z wapienia, zdecydowanie za dużym jak na skromną nadmorską willę. Prawdziwym domem, moim miejscem na ziemi stała się właśnie ona. Kuchnia.

Tutaj mogłam zapomnieć o wszelkich wymyślnych miejskich restauracjach, z radością wyszukiwać miejscowe produkty, sezonowe owoce i jarzyny. Mogłam piec ryby, które pływały niemal u stóp mego ogrodu, i przygotować dania dziko rosnącymi ziołami, zbieranymi tuż obok domu. Wiedziałam, że tu odpocznę i stanę się sobą.

Wszystko zapowiadało się idealnie. Ale najpierw ulotniła się „prawdziwa miłość”, potem zniknął Patrick i jedyną miłością, jaka mi pozostała, był teraz ten mały hotelik. No i jeszcze Beza, o której opowiem wam później.

Nawet jeśli w moim życiu osobistym panował chaos, w sferze kulinarnej wszystko działało się idealnie. Na kuchni lekko „mruwały” sosy, w przeszklonej szufladzie lodówki lśniły srebrem ryby; w gorącym piecu czekały łopatki z jagnięcia, a zapiekanki z bakłażanów i pomidorów skropione gęstą nicejską oliwą można było już wsunąć do piekarnika.

Pod oknami stał czterometrowej długości stół. Stygły na nim tarty z jabłkami, a tuż obok, w błękitnej wazie, naciągały wermutem plastry dojrzałych brzoskwiń. Za nimi wspomnienie po dawnych czasach moich „świątecznych” restauracji, ciasteczka z cukrowej pianki, ukoronowanie deseru, które ku mej radości zawsze chwalili goście. Aha, jeszcze własnego pomysłu czekoladowe ciastka posypane orzechami, moja amerykańska specjalność serwowana do kawy.

Nie znaleźlibyście tu ogromnych białych talerzy z maleńkimi „aranżacjami kulinarnymi” na środku. Podajemy jedzenie proste, ale obfite, na tutejszej ceramice kolom miodu, ozdobione świeżymi kwiatami i przyprawione listkami ziół.

W przelocie cmoknęłam w policzek Nadine, moją pomocnicę. Jest ze mną od początku, przez całe te dramatyczne sześć lat i uwielbiam ją bezgranicznie. Pochodzi stąd, ma ciemne oczy i włosy, oliwkową cerę, śmieje się głośno, a jej poczucie humoru pozwoliło nam wybrnąć z niejednej kuchennej katastrofy. Razem z siostrą zajmują się domem i pomagają w kuchni, ja natomiast przygotowuję jedzenie, robię zakupy i ustaliam menu. Sprawy finansowe należały do Patricka, ale sądząc po aktualnym stanie

naszego konta bankowego, nie jestem pewna, czy rzeczywiście dobrze sobie z tym radził.

Drobna, ciemnowłosa Marit, świeżo upieczona absolwentka szkoły kulinarnej, kroїła jarzyny, a siedemnastoletni Jean-Paul, chłopak do wszystkiego, sprzątał. Sezon był już właściwie za nami; wieczór zapowiadał się zwyczajnie. W hotelu zostało niewielu gości, mogliśmy co najwyżej spodziewać się jakichś przejezdnych w ostatniej chwili.

Wsunęłam do odtwarzacza płytę Barry'ego White'a, mojego aktualnego idola seksu, chwyciłam ciasteczko i zawróciłam do kuchni, tuż za zasłoną wpadając na Bezę. No dobrze - Beza nie jest psem, nie jest kotem ani nawet chomikiem. Beza jest kurą. Wiem, że to wariactwo, ale pokochałam ją od chwili, gdy wyłoniła się ze skorupki jako miękkie, żółte i puszyste? kurczątko, które ufnie wtuliło się w moją dłoń. Lubiłam myśleć, że i ona mnie kocha, choć w przypadku kury trudno o taką pewność. W każdym razie jestem jedyną kobietą, która płakała, czytając od deski do deski *Hodowlą drobiu*. Jeśli ktoś uważa, że obdarzanie miłością kury, a nie męża nie jest normalne, mogę powiedzieć, że Beza bardziej sobie na nią zasłużyła. Nigdy nie zdradzała, nigdy nawet nie patrzyła na nikogo innego i spała w moim łóżku każdej nocy.

Jest teraz dość duża, miękka i biała. Ma żółte nogi, rubinowy grzebień i dwa ciemne paciorki oczu. Grzebie energicznie w wielkiej terakotowej doniczce z hibiskusem, stojącej na dworze przy kuchennych drzwiach. Uznała ją za swoje mieszkanie i układa się do snu, przynajmniej do chwili, gdy pójdę spać i będzie mogła położyć się obok mnie, na poduszce.

Delikatnie, ale serdecznie poklepałam ją, co skwitowała solidnym dziobnięciem.

- Niewdzięczny ptak-powiedziałam. -Pamiętam, jak byłaś tylko jajkiem.

Wracając przez taras, ostrożnie rzuciłam okiem na czarny słup. Zobaczyłam światła i trzepoczące chorągiewki. Byłam ciekawa, co planuje Nagi Mężczyzna, czy wybierze się małą wiosłową łódką przez moją zatoczkę i dołączy do gości jedzących kolację na tarasie.

Westchnęłam. Niespecjalnie na to liczyłam.

## Rozdział 3

Jaki piękny słup - powiedziała panna Nightingale. - To chyba dość rzadka łódź w tych stronach?



- Rzeczywiście. Mam tylko nadzieję, że nie będą puszczać głośno muzyki i przeszkadzać nam w spokojnej kolacji - odparłam.

- Och, raczej nie, moja droga, to nie pasowałoby do tego rodzaju łodzi. Na czymś takim pływają prawdziwi żeglarze. Sądzę, że wie pani, co mam na myśli, prawda?

Uśmiechnęłam się do niej. Panna Nightingale, emerytowana angielska nauczycielka, a także moja przyjaciółka, była ulubionym gościem w moim hoteliku. Nigdy o tym nie mówiłyśmy, ale coś nas łączyło - można to chyba nazwać ciepłym uczuciem i wzajemnym zrozumieniem. Miała cechy, które zawsze ceniłam - uczciwość, subtelne poczucie humoru i podobną do mojej dyskrekcję w sprawach osobistych. Panna Nightingale była powściągliwa, niewiele więc wiedziałam o jej życiu prywatnym; znałam ją tylko z hotelu, nic więcej. To był właśnie ten typ kobiety, jaki lubiłam.

Była moim pierwszym gościem. Zjawiła się w tydzień po otwarciu hotelu Riwiera i odtąd wracała co rok, zawsze pod koniec sezonu, kiedy niższe ceny pozwalały jej na całomiesięczny pobyt, a potem wracała na kolejną, długą angielską zimę do swego domku w Cotswolds i miniaturowego yorka Małej Neli. Na razie jednak spędzała swoje wymarzone wakacje - samotna przy pojedynczym stoliku, nad karafką wina i z książką w ręku, witając każdego ciepłym słowem i uśmiechem.

Panna Nightingale zbliżała się zapewne do osiemdziesiątki. Była niska, krępa i masywna; tego popołudnia włożyła różową sukienkę w kwiatki. Na ramiona narzuciła biały rozpinany sweter, choć wieczory ciągle były jeszcze ciepłe. A na szyi miała jak zwykle podwójny sznur pereł.

Tak samo jak królowa Elżbieta nosiła zawsze przy sobie ogromną torebkę, a w niej oprócz czyściutkiej płóciennej chusteczki i pieniędzy trzymała jeszcze robótkę na drutach. I choć nie jestem pewna, czy królowa Anglii robi na drutach, panna Nightingale ze swą siwą fryzurą ułożoną w sztywne fale i loczki, z przenikliwymi niebieskimi oczami zerkającymi zza wielkich, jasnych okularów była wierną kopią Jej Królewskiej Mości.

Zazwyczaj schodziła na kolację jako pierwsza, aby rozkoszować się szklanecczką pastis, na którą - wiem o tym - czekała z apetytem. Mieszała likier anyżowy z wodą w wysokiej szklance, a potem aż do kolacji sączyła napój małutkimi łyżkami. Wieczorny posiłek, o czym także wiem, był główną towarzyską atrakcją jej dnia.

Przysiadłam się do niej, a panna Nightingale opowiadała mi o swej wycieczce do Villa Ephrussi, leżącej dalej na wybrzeżu, koło Cap Ferrat, gdzie zwiedziła stary dom Rothschildów z malowniczymi ogrodami. Zawsze z przyjemnością opowiadała mi o kolejnych odkrywanych ogrodach; sama też miała ogród, a jej róże zdobyły nagrody na wielu lokalnych

konkursach. Nieraz widywano ją też w naszym ogrodzie; w głęboko nasuniętym słomkowym kapeluszu wyrywała jakieś chwasty albo przycinała niesforny pęd kapryfolium przeszkadzający wybujałej bugenwilli.

Siedząc przy swoim stoliku, na krańcu tarasu bliżej kuchni, ze szklaniczką pastis w ręku, rozkoszowała się malowniczym pejzażem i wzdychała z zadowoleniem.

Nastąpiła właśnie ta szczególna przedwieczorna pora, gdy na Lazurowym Wybrzeżu niebo zdaje się łączyć z morzem, a cały świat pogrąża się w głębokim, srebrzystym połyskującym błękicie nocy. W nagłej bezwietrznej ciszy, która zapada w momencie przejścia dnia w noc, z kuchni doleciała na taras wyższa o pół tonu melodia francuskiej rozmowy. Z jakiejś szczeliny wyłoniła się maleńka jaszczurka i stanęła, wpatrując się w nas żółtymi oczkami.

- Cudownie - mruknęła panna Nightingale. - Wyobrażam sobie, jak to wszystko kochasz. Chyba nie umiałabyś stąd wyjechać?

Panna N. niechętnie trafiła w samo sedno - tu właśnie był się mój problem.

Rzeczywiście, kochałam to wszystko. Rzecz w tym, że nie kochałam męża. Czułam do niego w tej chwili tylko nienawiść, bo byłam pewna, że Patrick, odjeżdżając tamtego ranka, doskonale wiedział, że już nie wróci. Po prostu zostawił mnie bez słowa. Jeśli chciał uciec z jakąś kobietą albo tylko wybierał się gdzieś w świat, mógł mi przynajmniej o tym powiedzieć. A jeśli popadł w jakieś tarapaty, także powinnam o tym wiedzieć. Nie miał prawa zostawić mnie w taki sposób.

- Hotel Riwiera to mój dom - odpowiedziałam. - Mój własny kawałek raju. Zostanę tutaj, nawet gdy będę już bardzo starą kobietą. Nadal będę gotowała, troszczyła się o gości, piła wino rosę i nadal będę się zdumiewać, jak ciemny może być błękit nieba przed nastaniem nocy. Nie, panno Nightingale. Nigdy stąd nie wyjadę, nawet jeśli Patrick...

- Nawet jeśli Patrick nie wróci - popatrzyła na mnie ze współczuciem przez swoje ogromne okulary. - Czy myślisz, moja droga, że on uciekł z jakąś kobietą?

Tyle razy już się nad tym zastanawiałam, gdy nocami wierciłam się w łóżku i nie mogłam zasnąć. Tak, to chyba jedyne możliwe wytłumaczenie.

- Panno Nightingale - powiedziałam bezradnie - co mam robić?

- Nie masz wyboru, Lolu. Musisz żyć dalej.

- Ale jak? Dopóki nie poznam prawdy...

Delikatnie poklepała mnie po dłoni, jakbym była uczennicą jej szkoły. Spodziewałam się, że powie: „no już dobrze, dobrze...”, ale usłyszałam coś zupełnie innego.

- Nie ma rady, moja droga, musisz znaleźć Patricka.

Chciałam zapytać ją, w jaki sposób i od czego zacząć, ale moi goście zaczęli już się schodzić na drinka i pogawędkę z *patronne*. Wzięłam się w garść, pocałowałam pannę N. w pachnący pudrem policzek, szepnęłam „dziękuję za zrozumienie” i ruszyłam na ich powitanie.

## Rozdział 4

# Panna Nightingale

Mollie Nightingale zakochała się w hotelu Riwiera w chwili, gdy pierwszy raz go zobaczyła. Pokochała go za prostotę; zupełnie jak wiejski dom nad morzem, pomyślała zaskoczona, że udało jej się na coś takiego trafić. I zakochała się w Loli, zawsze serdecznie uśmiechniętej, nawet gdy miała zbyt dużo obowiązków. Patrick, oczywiście, rezerwował dobre manieri i urok tylko dla innych kobiet, a szczerze mówiąc, w ostatnich latach właściwie prawie wcale nie było go widać. A teraz zniknął. Gdyby nie widoczny ból Loli, panna Nightingale powiedziałaaby tylko: „krzyżyk na drogę”, jednak czuła, że mogłaby ją zranić. A tego nie chciała.

Nie chciała też poruszać tematu zdrad Patricka, bo wiedziała, że jeśli kobieta decyduje się przymykać oczy na te sprawy, nikt na to nic nie poradzi. Zniknięcie Patricka specjalnie jej nie zaskoczyło. Zdziwił ją tylko fakt, że pan Laforet po prostu opuścił hotel i nie wysuwał do niego żadnych roszczeń. Patrick i Lola jako małżonkowie byli jego współwłaścicielami, co pannie Nightingale zawsze wydawało się niesprawiedliwe. To Lola stworzyła hotel Riwiera i ten fakt był dla niej tak samo oczywisty jak wiedza, że Bóg stworzył człowieka.

Lola zawsze traktowała ją jak ukochaną ciocię, a może nawet ciocię--babcie, podejrzewała panna Nightingale, która mimo że bardzo nie chciała się z tym pogodzić, mocno jednak posunęła się w latach. I choć Lola była zbyt uprzejma, by o to zapytać, a ona zbyt próżna, żeby sama powiedzieć, było tych lat, prawdę mówiąc, siedemdziesiąt osiem. Nie wynika z tego, że się postarzała - wewnątrz panna N. czuła się wciąż jak nastolatka. Jej umysł był nadal tak samo sprawny jak w czasach, gdy była dyrektorką londyńskiej Żeńskiej Szkoły Królowej Wilhelminy.

Rzadko rozmawiała z Lolą na osobiste tematy, więc dzisiejsze zwierzenia były dla niej zaskoczeniem. Zazwyczaj mówiły tylko o błahych sprawach

-o pogodzie, potrawach i winach albo o miejscach, które odkrywała panna Nightingale podczas swych wypraw wzdłuż wybrzeża, na wynajętym srebrzystym skuterze marki Vespa.

Odkryła wiele nieznanymi zakątków, których nawet Loli nigdy nie udało się obejrzyć. Dotarła do zapuszczonego pensjonatu w pobliżu Cap Ferrat, który z początkiem stulecia należał do Leonie Bhari, sławnej niegdyś pięknej francuskiej śpiewaczki. Być może Lola nie przypominała z wyglądu sławnej Leonie, panna Nightingale dostrzegała jednak pewne podobieństwa - pensjonaty na Lazurowym Wybrzeżu i niezbyt udane związki z mężczyznami.

Panna Nightingale myślała teraz o hotelu Riwiera jak o swoim drugim domu, choć wychowywała się jako „panienka z dworu” w wiosce Blake-llys, w samym sercu angielskiego Cotswolds.

Zmieniły się czasy i warunki. W Anglii panna N. mieszkała samotnie, we wsi, która niegdyś należała do jej rodziny. W długie zimowe wieczory, w domku ogrodnika, podtrzymywały ją ducha hałaśliwa yorczka Neli, a także pamięć ukochanego męża, Toma, i wspomnienia z ostatniego pobytu w hotelu Riwiera. Z wyęsknieniem czekała, by móc znów tam wrócić pod koniec następnego lata.

I trzeba się tym zadowolić, myślała, popijając pastis i uśmiechając się do gości, którzy przychodzili na kolację. I choć nie przywiązywała do tego wagi, tęskniła za hotelem Riwiera dokładnie tak samo, jak tęskniła za swoim Tomem.

## Rozdział 5

### Jack

Jack Farrar, z siedzącym obok wiernym psem, popijał drinka na pokładzie słupa, podczas gdy jego aktualna jednoosobowa załoga wybrała się na zakupy do Saint-Tropez.

Takich dziewcząt jak Sugar - blondynka, z którą teraz pływał - Jack poznał w trakcie swych podróży mnóstwo. Były ładne, szukały zabawy i nie miały szczególnych wymagań, zwłaszcza że Jack nie kwapił się do małżeństwa. A zresztą, która kobieta przy zdrowych zmysłach zgodziłaby się spędzić rok na łodzi, znosić sztormy, jedzenie z puszki i mycie włosów wyłącz-

nie w słonej wodzie? Na ile zdążył je poznać - żadna. A już z całą pewnością nie poznał takiej, z którą miałby ochotę spędzać czas w ten sposób.

Najlepiej czuł się na pokładzie swego słupa, kiedy towarzyszył mu jedynie pies. Nic nie mogło się równać ze spokojem, jaki dawały gwiazdy na niebie i wiatr trzepocący w żaglach. Tylko on, pies, morze i samotność. Tak naprawdę tylko to liczyło się w życiu. Podobnie liczyły się, choć w inny sposób, sztormy, z którymi musiał walczyć podczas długich wypraw, za sterem swego drugiego, większego słupa „Minutki”, pędzonego wiatrem i atakowanego przez spiętrzone fale, które w każdej chwili mogły go przewrócić. Z całą załogą stawiał czoło żywiołom, a kundel w nałożonej na wszelki wypadek kamizelce ratunkowej wył i kulił się ze strachu w saloniku pod pokładem. Jack, również na wszelki wypadek, przywiązywał się do koła sterowego. Czuł wtedy, jak adrenalina niczym gorący rum wzbiera mu we krwi, a triumf, kiedy już było po wszystkim, wydawał się najwspanialszym ze wszystkich przeżyć.

Nic nie mogło dorównać takiemu doznaniu, nawet seks, choć Jack należał do zmysłowych mężczyzn. Może raczej chodziło o to, że nigdy nie pozwolił żadnej kobiecie dzielić z nim tego wszechogarniającego uczucia, które powstaje, gdy seks łączy się z miłością. Wciąż jeszcze szukał kobiety, z którą przeżyłby to, czego doznawał na swojej łodzi, samotnie zmagając się z żywiołem.

Był wędrowcem, który poznał wszystkie porty rybackie na świecie. Pokochał takie życie i nie zamierzał rezygnować z niego dla żadnej kobiety.

W dłuższe rejsy swą piętnastometrową łodzią Jack nie zabierał żadnych dziewcząt. W takich przypadkach załoga składała się z sześciu mężczyzn. Jednym z nich był jego dobry przyjaciel, Meksykanin Carlos Abrantes.

Poznali się z Carlosem w Cabo San Lucas, małym miasteczku na półwyspie Baja, gdzie Jack wybrał się na połów marlinów i dorad. Był już listopad, pogoda się psuła. Dla wielkich ryb woda była już za zimna. Carlos, który urodził się i wychował w Cabo, dobrze znał się na swojej robocie. Tak jak i Jack okazał się człowiekiem morza. Spędzili razem parę nocy na Morzu Corteza. Udało im się wyciągnąć z wody tylko jedną doradę, ale za to poznali się tak, jak potrafią mężczyźni, gdy wystarcza jedynie kilka słów. Wiedzieli teraz, ile każdy z nich jest wart, i zostali przyjaciółmi.

Później Carlos wybrał się na północ; najpierw na krótko. Potem postanowił tam zostać. Pracował w warsztacie szkutniczym, w weekendy żeglował z Jackiem i był częścią załogi w czasie dłuższych wypraw. Co parę miesięcy wracał jednak do Cabo niczym marlin, wzywany jakimś tajemniczym instynktem.

Carlos znakomicie sprawdzał się też w kambuzie. Świetnie przyrządzał z *krewetek*, *fajitas de camarones* i przygotowywał najlepsza na świecie

margantę z tequili Hornitos, limonek, lodu i soli. Już wkrótce z resztą załogi miał dołączyć do Jacka na Morzu Śródziemnym. Wybierali się na pokładzie „Minutki” w kolejną długą podróż, tym razem do Afryki Południowej, a dokładniej do Kapsztadu, gdzie były znakomite warunki do surfingu, piękne kobiety i wyjątkowo dobre wina.

Na półwyspie Baja Jack spotkał też Luisę, kobietę, którą naprawdę pokochał. Była czarująca- włosy jak czamy atlas, oczy jak zielone klejnoty, a skóra niczym brązowy aksamit. Kochał ją przez całe trzy miesiące, on ją mniej więcej ryle samo. Namietności, jeśli człowiek nie umie się im oprzeć, mogą jednak zrujnować żeglarskie życie. Jack nie miał zamiaru do tego dopuścić. W stosunkach z kobietami potrafił być stanowczy i bezwzględny. Nade wszystko cenił swe przyjaźnie i żeglowanie, dokładnie w tej kolejności. Był szczęśliwy, gdy miał swoją łódź, przyjaciół i psa.

Życie układało mu się pomyślnie. Pieniądzy wystarczyło, by utrzymać się na poziomie, do którego przywykł i który lubił. Kiedy nie wędrował po morzach, zajmował się warsztatem szkutniczym w Newport. Budował jachty wyścigowe, bardziej eleganckie i droższe od własnego. A jednak największym sentymentem darzył swój stary słup.

Myślał o kobiecie, która podglądała go wieczorem przez lunetę widokową. Było w niej coś interesującego. Coś w tych niedbale rozpuszczonych rudozłotych włosach, w wydatnych kościach policzkowych, pełnych, kuszących ustach i w zaskoczonym wyrazie jej wielkich ciemnych oczu, gdy zauważyła, że przygląda się jej przez lornetkę. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak bardzo musiała się zawstydić, gdy przyłapał ją na podglądaniu. Była ładna w swojej przyciasnej podkoszulce i dziwnych spodniach.

Spodobał mu się także nieduży różowy pensjonat wznoszący się nad skałami wśród kęp tamaryszka i srebrzystych oliwek. Gołym okiem było widać przepyszne, purpurowo-różowe kłęby bugenwilli i migotliwe światła świec na zastawionym stolikami tarasie. Z okien pokoiw sączyło się ciepłe, bursztynowe światło lamp, a ponad wodą dobiegało jego uszu granie ożywiających się o zmierzchu *cigales* wraz z delikatnymi dźwiękami muzyki. Czyżby śpiewał Barry White? Znów uśmiechnął się na myśl o zawstydzonej kobiecie ze złocistorudymi włosami. Może było w niej coś więcej, niż zdołał uchwycić przez lornetkę?

Może. Na razie jednak czuł głód, a nie ulegało wątpliwości, że Wstydliva prowadzi jakąś restaurację. Dałoby się więc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu - poznać ją bliżej i sprawdzić, czy rzeczywiście jest tak seksowna, jak obiecywały jej usta i głos Barry'ego White'a, a przy okazji zjeść wreszcie przyzwoitą kolację.

Nie miał zamiaru przebierać się z tego powodu. Przyglądał dłońmi ciemne, rozczochrane włosy, włożył luźne szorty, białą koszulkę i stare tenisówki, najwygodniejsze, jakie kiedykolwiek nosił. Kosmaty czarny pies, którego parę lat temu uratował przed rakażem i pewną śmiercią, kręcił mu się pod nogami, licząc na to, że Jack zabierze go ze sobą. Niesforny kundel dostał imię Niedobry Pies, bo nie był w stanie nauczyć się czegokolwiek. A że Jack kochał Niedobrego Psa tak samo jak swoją łódź, ochrzcił ją imieniem kundla.

- Przykro mi, kolego - pochylił się, żeby poklepać Niedobrego Psa po głowie - ale inni goście mogliby nie docenić twoich wyjątkowych zalet, szczególnie gdybyś próbował im ściągnąć coś z talerza. - Uśmiechnął się. Niedobry Pies wychował się na ulicy, żywiąc się na śmietnikach. Stanowczo nie pasował do wytwornych lokali.

Nałożył mu jedzenia do miski, sprawdził, czy ma świeżą wodę, na pożegnanie dał mu sztuczną kość i zszedł do nadmuchiwanej łódki. Odczepił linkę, uruchomił silniczek. Kundel zwiesił głowę za burtę i popatrzył na niego załośnie. Bardzo nie lubił zostawać sam.

- Niedługo wrócę, stary! - krzyknął Jack, mknąc po gładkiej, ciemnej wodzie w stronę małego drewnianego mola, w zatoczce przy hotelu Riwiera. Wyobrażał sobie, jaką minę zrobi ruda kobieta, gdy znów go zobaczy. Tym razem z bliska.

## Rozdział 6

### Lola

Jako następni zjawili się na dole Red i Jerry Shoup. Dziewczyna z rewii i Dyplomata, nazywałam ich w myślach, choć tak naprawdę nie mieli z tym nic wspólnego - tylko wyglądem pasowali do tych ról. Red miała ogniste czerwone włosy, których jej zazdrościłam, i nogi aż po szyję. On był lekko siwiejącym, opalonym i czarującym dżentelmenem. Mieszkali w ślicznym wiejskim domku w Dordogne, a tutaj uczestniczyli w miesięcznym intensywnym kursie francuskiego.

Wymieniliśmy powitalne pocałunki, a Red ogłosiła, że francuszczyzna ją wykończyła i będzie tego wieczoru mówiła tylko po angielsku, choć naruszało to reguły obowiązujące podczas kursu. Poprosiła, by podano im ulubione rosé Domame Ott, zanim oboje padną z wyczerpania.

Roześmiałam się i poczułam, że mój nastrój wyraźnie się poprawia. Tak było zawsze, gdy otaczali mnie goście. Zajmować się ludźmi, dbać, by czuli się dobrze, to właśnie była moja życiowa rola. Wybrałam ją i polubiłam.

Zjawił się Jean-Paul, mój chłopak do wszystkiego. Biały jak lilia, bo nigdy nie wychodził na słońce i spędzał czas w nocnych klubach Saint-Tropez; miał ogoloną głowę i sześć koleczyków w uchu. W białozłotej koszulce hotelu Riwiera, czarnych spodniach i tenisówkach, udawał kelnera, podając półmiski oliwek i *tapenade*, koszyczki ze świeżym pieczywem i gliniane garnuszki słodkiego masła ze śmiesznym wizerunkiem zdumionej krowy.

Usłyszałam gwar dziecięcych rozmów i jeszcze wyższy angielski głos młodej Camilli Lampson, która z niewiadomych powodów używała dziwnego imienia Budgie.

Budgie była nianią dwójki małych chłopców, których ulokowano tutaj, podczas gdy ich matka, amerykańska aktorka, spędzała lato w eleganckiej willi w Cannes z o wiele młodszym od niej przyjacielem. Budgie, okropna plotkara, opowiadała z oburzeniem, że według aktorki obecność malców ją postarza, choć były to przecież normalne, urocze dzieciaki. Moim zdaniem kobieta, która wyrzuca takie dzieci ze swego życia, powinna zwrócić się o radę do psychiatry. Przyglądając się, jak gonią się i chowają, pomyślałam, że dałabym wszystko za taką parkę, ale zachowując choć raz rozsądek, na razie postanowiłam nie zapuszczać się na takie tereny nawet w myślach.

Pozdrowiłam dzieciaki, dopilnowałam, żeby dostały oranżadę, i wyraziłam współczucie Budgie, która towarzysząc gwiazdzie kina, musiała poświęcić całe popołudnie na zakupy w Monte Carlo. Poleciłam Jean-Paulowi, żeby przyniósł jej jak zwykle kir, czyli koktajl z białego wina i kieliszka *creme de cassis*, pysznego likieru z czarnych porzeczek robionego w pobliskim miasteczku Hyeres. Wyglądało na to, że bardzo tego potrzebuje. Po czym przyjął resztę zamówień i popędził do kuchni.

Zanim wróciłam, zdążyli już nadejść ostatni goście, angielska para spędzająca swój miesiąc miodowy. Oboje byli młodzi, mieli bardzo jasne włosy, co wzruszająco przypominało mi moją kurę Bezę, kiedy była jeszcze małym kurczęciem. Byli w sobie tak zakochani, że ich widok zmiękczył nawet moje stwardniałe serce. Mieli wyjechać następnego dnia rano i sprawiali wrażenie ogromnie przygnębionych, posłałam im więc po kieliszku szampana z życzeniami od firmy. Rozpromienili się, jakby dostali w prezencie klucze do mojego królestwa, więc kazałam Jean-Paulowi zanieść im napoczętą butelkę w kubelku z lodem. Choć trudno uwierzyć, wyglądali teraz na jeszcze bardziej uszczęśliwionych.



Zgromadzili się więc wszyscy mieszkańcy hotelu Riwiera - ośmioro gości i mój personel -jak nieduża, ale szczęśliwa rodzina. I właśnie w tym momencie rozległ się dzwonek z holu.

Jeśli męczy was teraz, tak jak mnie wtedy, ciekawość, czy był to Nagi Mężczyzna, czyli Jack Farrar, który później po kolacji zachwycił się moją sztuką kulinarną, a ja wyraziłam uznanie dla jego ciała - muszę was rozczarować.

To był zupełnie ktoś inny.

Wytarłam ręce w fartuszek i ruszyłam do drzwi.

## Rozdział 7

Mężczyzna, który stał przy starym palisandrowym stole w recepcji, był niski i barczysty. Miał napakowane bicepsy, agresywnie wystającą dolną szczękę i krótko, po marynarzku przycięte włosy, ale wystarczał rzut oka, by stwierdzić, że marynarzem na pewno nie jest. Nie wskazywały na to ani kosztowne, sportowe ubranie, ani krzykliwy, wysadzany brylantami zegarek. Mimo że był w budynku, nie zdjął przeciwsłonecznych okularów. Zaparkował swój motocykl, imponującego, połyskującego czerwienią i chromem harleya, dokładnie naprzeciw drzwi wejściowych, a drogą torbę podróżną z logo Louisa Vuittona postawił bezceremonialnie na perkalowym obiciu kanapy. Teraz niecierpliwie chodził po holu i palił cygaro.

Odwrócił się do mnie, kiedy weszłam i powitałam go profesjonalnym uśmiechem gospodyni. Uważnie zlustrował mnie od czubka rudej głowy aż po białe noski moich kuchennych chodaków, a potem znów do góry.

- Pani jest tu recepcjonistką? - zapytał.

- Nazywam się madame Laforet. *Patronne* - odpowiedziałam grzecznie.

Burknął coś, co miało wyrażać aprobatę, pstryknął popiołem z cygara na piękny, stary jedwabny dywan kupiony na aukcji w Paryżu. Kosztował więcej, niż mogłam sobie wtedy pozwolić i musiałam wziąć pożyczkę z banku. Pchnęłam w jego stronę stojącą na stole popielniczkę.

- Dobry wieczór - przypomniałam sobie o uśmiechu i dobrych manierach, choć w stosunku do niego mogłam się nie wysilać. - Czym mogę służyć?

Przyglądał mi się długo zza ciemnych szkieł, czym przypomniał mi widok odjeżdżającego Patricka, który ukrywał swoje emocje za okularami. W mimowolnym obronnym odruchu założyłam ręce na piersi.

- Szukam pokoju - powiedział opryskliwie.  
- Oczywiście. Na ile dni? - Udałam, że przeglądam książkę rezerwacji, choć wiedziałam doskonale, że dwa pokoje są wolne.  
- Najlepszy, jaki pani ma. Na trzy albo cztery noce, może więcej. Jeszcze nie wiem.

- Mistral ma najpiękniejszy widok na morze, na pewno się panu spodoba. Wszystkie nasze pokoje noszą imiona słynnych francuskich artystów i pisarzy - wyjaśniłam. Nie zareagował. Podałam mu cenę i zauważyłam, że kącik jego ust skrzywił się lekceważąco. Ciekawe, zapewne sądził, że to poniżej jego poziomu, a przecież był tu, a nie w Carltonie w Cannes.

Poprosiłam o paszport. Podał mi holenderski, na nazwisko Jeb Falcon, i kartę kredytową Amex Platinum. Zdjęłam z tablicy za mną klucz do pokoju Mistral.

- Pan pozwoli, monsieur Falcon, proszę.

Wreszcie zdjął ciemne okulary. Przyglądaliśmy się sobie chwilę. W świetle lampy jego oczy wydały mi się czarne, ale zmętniałe. Uznałam, że zdecydowanie mi się nie podoba, podobnie zresztą jak jego opryskliwość. Popatrzył na stojącą na kanapie torbę, a potem na mnie. Zaciśnęłam wargi; jeśli myślał, że zaniosę mu ją na górę, był w błędzie.

Mogłabym przysiąc, że czuję jego wzrok na plecach, kiedy szedł za mną po skrzypiących, drewnianych schodach. Szybko pokazałam mu pokój, wręczyłam klucz i szorstko poinformowałam, że jeśli ma ochotę, właśnie podajemy kolację na tarasie.

Zazwyczaj sygnalizowałam swoim zachowaniem przyjezdnym: „Nasza gościnność jest dużo większa od naszego hotelu”. Nigdy dotąd nie dałam żadnemu gościowi odczuć, że jest niepożądany, ale teraz odwróciłam się na pięcie i nie oglądając się, zesłam na dół. Wołałabym, żeby poszukał sobie pokoju gdzie indziej.

## Rozdział 8

### Jack

Łódka przybiła do wysłużonego drewnianego pomostu i Jack obwiązał linkę wokół pieńka służącego za pachołek cumowniczy. Wspiął się po schodkach wśród skał, a potem poszedł dalej w górę wijącą się

piaszczystą ścieżką, mijając po drodze różowy domek ze staroświeckim gankiem przy wejściu. Przez okno zobaczył zabałaganiony salonik z miękkimi kanapami obitymi miejscową tkaniną, a za rogiem - sypialnią, w której stało ogromne łóżko z masywnym baldachimem obszytym złotą lamą z pomponami.

- O Jezu! - westchnął, zdumiony gustem właściciela domu, i poszedł dalej wzdłuż żywopłotu z oleandrów do ścieżki wychodzącej na front pensjonatu. Jego wzrok przykuł zaparkowany u wejścia, lśniący chromem czerwony harley. Przystanął i przez chwilę podziwiał maszynę, zastana wiając się, czy może należeć do Pani Ciekawskiej. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że do kobiety, którą szokuje widok nagiego mężczyzny, pasowałby raczej jakiś stateczny, nieduży renault.

Drzwi pensjonatu były otwarte. Wszedł i rozejrzał się wokół. Gdyby domek, który minął po drodze, należał do właściciela pensjonatu, za wystrój wnętrza tego holu mógłby darować mu nawet łóżko z baldachimem. Wygoda, elegancja, prostota - szukał najlepszego określenia. W gruncie rzeczy był człowiekiem, który cenił sobie komfort, lecz bardziej na lądzie niż na morzu. Czuł zapach lawendy, pszczelego wosku i kwiatów; może to były jaśminy, choć szczerze mówiąc, jak wielu mężczyzn, zupełnie się na kwiatach nie znał. I do tego jeszcze jakiś smakowity aromat dolatujący od strony kuchni.

Zlekceważył dzwonek i przez śliczny hol poszedł wprost do salonu, a stamtąd oszklonymi drzwiami na taras. Wsunął ręce do kieszeni szortów i rozglądał się dookoła.

Tak właśnie wygląda letni wieczór na południu Francji, pomyślał. Obrosnięty kwiatami taras z widokiem na zatokę i łańcuch światełek wzdłuż ciemnego brzegu półwyspu; zapach kwiatów; gwar rozmów i śmiech kobiet; brzęk kostek lodu w szklankach i puknięcie korka wyciąganego z butelki różowego wina. Wszystko to było bliskie ideału. Jak bliskie - to już zależało od kobiety o rudych włosach. Coraz bardziej go ciekawiła. Zastanawiał się, jakiej może być narodowości, czy jest właścicielką tego lokalu, czy tylko pracownikiem. Ale właśnie zmierzała w jego stronę.

- *Bonsoir, monsieur* - odezwała się, a od spojrzenia ciemnych oczu spoza długich rzęs przeszedł go dreszcz po plecach. Zebrała włosy z tyłu głowy w koński ogon, ale długa, miękka grzywka opadała niemal na rzęsy. Po akcencie domyślił się, że jest Amerykanką. Była wyższa, niż sądził; miała obcisłe białe spodnie i podkoszulkę z logo hotelu Riwiera, a na długich nogach espadryle na koturnach, związane kokardkami powyżej smukłych kostek. Żadnej biżuterii poza złotą obrączką. No tak. A więc mężatka.

Domyślił się, że go nie poznała. Zrewanżował się jej męskim uśmiechem, jednym kącikiem ust, takim, od którego kobiety mdlały. W tym

wypadku nie podziało; odpowiedziała mu profesjonalnym uśmiechem właścicielki lokalu.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Stolik na dwie osoby? - zapytała Lola, zerkając mu przez ramię i spodziewając się zobaczyć za jego plecami kobietę, choć, obejrzawszy go od stóp do głów, miała cichą nadzieję, że jego towarzyszka będzie miała na sobie coś innego niż szorty, podkoszulek i stare buty.

- Jestem sam - odparł i posłusznie poszedł za nią. Torowała mu drogę między stolikami i odsunęła wybrane krzesło. - Dziękuję - powiedział.

Przyjrzała mu się teraz uważniej i zauważył z rozbawieniem, że się zaczerwieniła.

- Och - powiedziała. - O mój...

- Mam wrażenie, że chyba gdzieś już się spotkaliśmy. - Wyciągnął rękę. - Nazywam się Jack Farrar. To ja jestem facetem z tego słupa zakotwiczonego naprzeciw hotelu.

- Wiem, kim pan jest. - Lola zeszywniała z zakłopotania. - T chciałym panu wytłumaczyć, że wcale nie zamierzałam pana podglądać. Byłam tylko ciekawa, kto zatrzymuje się w mojej zatoczce.

- Proszę mi wybaczyć - co znaczy w pani zatoczce? Sądziłem, że wody są otwarte dla wszystkich.

- Ależ oczywiście. Dla mnie jest to jednak zawsze moja zatoczka i nie lubię hałaśliwych turystów, którzy urządzają sobie na łódkach szalone zabawy i zakłócają spokój moim gościom.

- Okej, obiecuję, że nie będę hałasował. A teraz podamy sobie ręce i zawrzemy pokój, a pani powie, kim pani jest.

Lola oprzytomniała. Posłała mu swój najlepszy uśmiech właścicielki pensjonatu i wyciągnęła rękę; był w końcu jej gościem.

- Nazywam się Lola Laforet. Witam pana w mojej małej *auberge*. Czy mogę teraz zaproponować drinka, na przykład trochę wina? Mam znakomite miejscowe wina, a jeśli odpowiadają panu różowe, mogłabym polecić cuvee Paul Signac.

Stała nad nim z ołówkiem zawieszonym nad notesem, patrząc wyniosłe z góry. Pomyślała, że jest zbyt zadowolony i pewny siebie, bo przyłapał ją na podglądaniu, a przecież on też ją podglądał, tak czy nie?

- Proszę o butelkę wina tego artysty - powiedział i dostrzegł, że spojrziała na niego uważnie. Zapewne nie myślała, by jakiś niechlujny żeglarz wiedział coś o malarzu, który odwiedzał Saint-Tropez w czasach, gdy był tu tylko małeńki port rybacki.

- Znakomity wybór - wyraziła uznanie, wracając znów do hotelowej konwencji.

- Przecież nie dała mi pani nawet szansy.

Popatrzyła na niego.

- Jakiej szansy?
- Wyboru. Zaproponowała mi pani tylko to jedno wino, a ja się zgodziłem.

Zirytował ją.

- W takim razie poproszę Jean-Paula, żeby przyniósł panu listę win i menu.

Zajmie się panem. - Zniknęła, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

No cóż, dałem plamę, pomyślał Jack. A może raczej to wina tej zarzu-  
miałej rudowłosej dziewczyny z ciemnymi oczami? Przypomnił sobie jej  
wzrok - miała rzęsy aż do policzków, jak Bambi na kreskówkach Disneya.  
Naprawdę seksowna. No, ale jaka ważna!

Zjawił się jakiś wychudły, wymoczkowaty francuski szczeniak w czar-  
nych spodniach i koszulce hotelu Riwiera, obnoszący się z kolczykami  
wpiętymi w ucho. Przyniósł listę win, menu i koszyczek z pachnącym,  
świeżutkim chlebem z rozmarynem i oliwkami.

- Nazywasz się chyba Jean-Paul - powiedział przyjaźnie Jack.
- Tak, monsieur, to ja - odezwał się dzieciak. - Madame kazała mi  
przyjąć od pana zamówienie.
- Poproszę butelkę cuvee Paul Signac - powiedział Jack, oglądając ręcz-  
nie wypisane menu na karcie w kolorze umbry.
- Za moment, monsieur! - Jean-Paul ruszał się, jakby miał ołów w bu-  
tach, ale w tych stronach Jack był przygotowany na powolną obsługę.

Rozejrzał się po sąsiednich stolikach. Jakaś ekstrawagancka para; dalej dwa  
gruchające gołąbki; dziewczyna opiekująca się dwójką grzecznych chłop-  
ców; jakaś stara panna „w latach”, prawdopodobnie starsza, niż mogłoby się  
wydawać, emanująca życzliwością i zadziwiająco podobna do królowej  
w swym naszyjniku z pereł; na koniec facet siedzący tak jak i on samotnie.

Na tarasie było jeszcze kilka wolnych stolików, a dalej z tyłu całkiem  
pusta jadalnia. Nasunęło mu się podejrzenie, że tutejsza kuchnia jest kiep-  
ska, ale zaraz przypomniał sobie, że to koniec sezonu. Zaczęło się już  
francuskie *rentree*, kiedy wszyscy wracają do pracy, dzieci są znów w szko-  
łach, studenci na uczelniach, a zagraniczni turyści wyjeżdżają powrotem  
do swoich krajów. Przecież tylko nieliczni, tak jak on, mogą wędrować po  
świecie, kiedy im się spodoba.

Jean-Paul przyniósł wino w srebrzystym kubelku z lodem. Rzeczywiście  
było wyjątkowo dobre: zimne, lekkie, o delikatnym owocowym posmaku.  
Madame Lola Laforet miała dobry gust, zresztą nie tylko w kwestii win -  
znała się także na sztuce dekorowania wnętrz. Rozejrzał się z aprobatą.  
Dyskretna elegancja, zachęcające ciepło i nienaganna harmonia. No, może  
z wyjątkiem tego irytującego gościa przy sąsiednim stoliku.

Facet wlewał w siebie dobre, czerwone Domaine Tempier, jak gdyby to była coca-cola i wyglądał, jakby śpieszył się na pociąg. Jackowi wydawało się, że musiał go już gdzieś spotkać. Takich twarzy się nie zapomina - była zimna i pozbawiona wyrazu. Pamiętał też sposób, w jaki wstawał, kołysząc się na czubkach butów, z zaciśniętymi pięściami i napiętymi mięśniami, gotów rzucić się na każdego, kto stanie mu na drodze. No i jeszcze ten pretensjonalny złoty zegarek, pierścionek z brylantem na małym palcu, drogie mokasyny i sportowy garnitur. Najwyraźniej facet pochodził stąd, z południa Francji. Ciekawe, czego szukał w tym małym hoteliku?

Niestety, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział. Może w Les Cave du Roy, gdzie był któregoś wieczora z Sugar? W gruncie rzeczy tylko ją tam wprowadził, a już po półgodzinie zostawił samą, bo nie wytrzymał hałasu, a zresztą Sugar i tak już znalazła sobie towarzystwo. A może na tarasie w Carltonie w Cannes, kiedy załatwiał interes z człowiekiem, dla którego budował jacht?

Zresztą jakie to ma znaczenie, facet pewnie mu mignął w Cafe Senequier w Saint-Tropez, gdzie każdy trafia wcześniej czy później.

Jeszcze raz uważnie mu się przyjrzał, kiedy gość szedł w stronę wyjścia. Zdecydowanie niesympatyczny. W minutę później usłyszał znajomy ryk harleya i szum żwiru przyskającego spod tylnego koła. Jasne, należało się domyślić, że to jego maszyna.

Skupił się znów na menu. Zamówił sałatkę z homarów z imbirem, zapiekane bakłażana z łopatką jagnięcą, a potem rozsiadł się wygodnie, rozkoszując się winem i widokiem. Miał nadzieję, że będzie miał jeszcze okazję rzucić okiem na madame Laforet z oczami jak Bambi.

## Rozdział 9

### Lola

Przecież mogłam go od razu rozpoznać, cholera! Widziałam go dokładniej niż inni, ale w ubraniu wyglądał inaczej. Czy zawsze muszę zachowywać się jak zawstydzona nastolatka? Jestem w końcu dorosłą, dojrzałą kobietą. I jeszcze w dodatku mężatką. Karcąc się w myślach, potrzasałam nad ogniem żeliwną łyżką z łopatką baranią, aby ładnie ją przyrumienić przed wstawieniem do piekarnika.

Uporawszy się z tym zadaniem, posłałam nowożeńcom koszyczek ciasteczek czekoladowych i migdałowych jako dodatek do kawy, sprawdzałam, czy Marit należycie dogląda zapiekanych warzyw i czy Red Shoup dostała rybę z sosem z czerwonego wina, a jej mąż swoją *bourride*, pyszną i gęstą zupę rybną, którą podajemy zawsze z grzankami z bagietki i z *rouille*, pikantną mieszaniną czosnku, chili i majonezu. Rozkosze morza - tak to nazwałam. Natomiast zachowanie mojego żeglarza wcale nie wydało mi się rozkoszne.

Schowałam się w kuchni, zajmując się gotowaniem. Nie miałam ochoty wracać na taras, żeby znów spotkać się z Jackiem Farrarem. Nagle usłyszałam gdakanie Bezy, która sforsowała zasłonę z koralików i wdarła się do kuchni.

- Wynocha! - krzyknęłam i zaczęłam machać rękami. Nie wolno jej było wchodzić do kuchni ani do hotelu, miała wstęp tylko na taras, do ogrodu, no i oczywiście do mojego domku. Goniłyśmy się przez parę minut. Uciekała mi pod stół, wydziobywała coś z podłogi, szukając czegoś do jedzenia, a kura potrafi znaleźć wiele takich rzeczy. W końcu udało mi się ją złapać i wynieść na zewnątrz.

Przystanąłam u wejścia, przyglądając się moim gościom. Ich zadowolenie zawsze wprawiało mnie w dobry nastrój, tak jakbym w cudzej radości znajdowała własne szczęście. PannaNightingalejuż zjadła i pograżyła się w lekturze książki. Nowożeńcy delektowali się moimi czekoladowymi ciasteczkami i wymienianymi co chwila pocałunkami. Budgie z chłopcami wyszła, podobnie jak pan Falcon - słyszałam warkot jego harleya, gdy odjeżdżał. Shoupsowie trzymali się za ręce przez stół, z czego wynikało, że umieją jeść tylkojednąręką; wydawało się nawet, że to lubią. Oto jaki magiczny wpływ miał na ludzi mój mały taras. A Jack Farrar, który zjadł sałatkę z homarów, siedział nad kieliszkiem wina, wpatrzony w dal, w zielone i czerwone światła słupa, który łagodnie kołysał się na malutkiej fali.

Odwrócił się i zauważył, że mu się przyglądam. Znów się zarumieniłam; jeszcze sobie pomyśli, że jestem stukniętą podglądaczką. Udając, że chciałam nawiązać z nim kontakt, podeszłam i z wystudiowanym uśmiechem właścicielki lokalu spytałam:

- Czy jest pan zadowolony, monsieur Farrar?

Skrzyżował ręce i podniósł oczy:

- Jest cudownie. Ale chyba na tyle już się poznaliśmy, że mogłaby mi pani mówić: Jack.

- A więc... Jack - powiedziałam - twoje jagnię będzie za parę minut.

- Nie ma sprawy. Świetnie się tu czuję. W tym miejscu jest coś niezwykłego, madame Laforet.

- Lola.
  - Oczywiście. Lola.
  - Świetnie. Dziękuję za komplement. To naprawdę magiczne miejsce i cieszę się, że ci się tu podoba.
  - Sałatka z homarów była pyszna.
- Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową.
- A wino od artysty, które mi poleciłaś... wprost idealne.
  - Miło mi. Dobrze, sprawdzę, co z twoją kolacją. Przepraszam cię na razie, Jack.
  - Jeszcze jedno. - Odwróciłam się i spojrzałam w jego zmrużone w uśmiechu oczy koloru dżinsu. - Czy zawsze chodzisz z kurą pod pachą?
- Zupełnie zapomniałam o Bezie, która lypała na Jacka, a teraz zaczynała trzepotać w moich ramionach.
- Nie zawsze - odpowiedziałam tak wyniośle, jak mnie było na to stać, z szamocącą się w moich ramionach kwoczką.
- Popędziłam do kuchni, sadzając po drodze Bezę w donicy z hibiskusem, wyjęłam z piecyka jagnięcinę dla Jacka. Sparzyłam się przy tym w palec, więc wyrwało mi się słowo, które z pewnością nie spodobałoby się panie Nightingaie. Wyłożyłam mięso na półmisek, dodałam drobne ziemniaki, świeżo posiekaną pietruszkę i chochelkę zielonego, ziołowego gęstego sosu, na którego widok ślinka mi napłynęła do ust. Przetarłam ściereczką brzegi półmiska, dołożyłam pomarańczowy kwiatek nasturcji, ustawiłam półmisek na tacy razem z wyjętą prosto z pieca skwierczącą warzywną zapiekanką i wysłałam Jean-Paula z potrawą.
- *Bon appetit*, Jack Farrar - mruknęłam.

## Rozdział 10

Siedziałam w kuchni do późna, ale prawdę mówiąc, umyślnie się grzebałam, żeby uniknąć kolejnej rozmowy z panem Farrarem. Z Jackiem. Kiedy wyszłam na taras, już go tam nie było. Zostawił jednak liścik nabażgrany na odwrotnej stronie rachunku, który zapłacił gotówką.

*Chere Madame le chef,  
Pani homary były cudowne,  
Jagnię ponętne, Clafoutis  
smakowite,*



*A wino artysty pyszne.  
Jednak po pani czekoladowych ciasteczkach  
Poczułem tęsknotę za domem  
I pozwoliłem sobie zabrać parę ze sobą.  
Wyrazy uznania dla szefa kuchni.*

*JF*

Parsknęłam śmiechem. Jack Farrar chyba okazał się w końcu w porządku.

Teraz jednak wszyscy poza panną Nightingale poszli spać, zdjęłam więc fartuch, nalałam koniak do dwóch kieliszków i zaniiosłam je na taras. Postawiłam jeden przed panną N., a sama ciężko osunęłam się na krzesło naprzeciw.

- Ach, moja droga - odłożyła książkę, zadowolona zarówno z mojego towarzystwa, jak i z koniaku. - Jakie to miłe. Dziękuję, i *sante*.

Stuknęłyśmy się kieliszkami i popijałyśmy powolutku, rozkoszując się ciszą po gwałnym wieczorze.

- Widziałam, że rozmawiała pani z naszym nowym gościem, panem Falconem - odezwałam się po chwili.

Panna N. prychnęła szyderczo.

- Ledwie parą słów. Nie jest zbyt towarzyski.

- Ani kulturalny. Spojrzała na mnie przeciągle.

- Bądź ostrożna - powiedziała. - Jest niebezpieczny.

Zdumiona podniosłam na nią oczy.

- A co pani wie o niebezpiecznych mężczyznach, panno N.?

- Sporo, moja droga. - Jej niebieskie oczy spotkały się z moimi. - Wyszłam za takiego. - Odwróciła się i spokojnie patrzyła na drugi brzeg zatoki.

To prawda, niewiele wiedziałam o osobistym życiu panny N., ale mąż? I to niebezpieczny? Nie mogła mnie bardziej zaskoczyć.

- Nie wiedziałam, że była pani mężatką - powiedziałam, umierając z ciekawości.

- Mało kto o tym wie. Był dość znanym detektywem Scotland Yardu. Zachowałam własne nazwisko ze względu na pozycję, jaką miałam w szkole. Mam wrażenie, że troszkę wyprzedzałam feministki, ale zawsze byłam zdania, że skoro stałam się kimś dzięki własnej pracy, zasłużyłam na to, by uszanowano moje prawa. Byłam panną Mollie Nightingale, dyrektorką Żeńskiej Szkoły Królowej Wilhelminy i nie miałam zamiaru niczego tu zmieniać.

- Jasny gwint, panna Mollie! - Obie parsknęłyśmy śmiechem. Pod wpływem impulsu ujęłam z sympatią jej rękę. - Tak się cieszę, że pani tu jest.

- Dziękuję ci, moja droga. - Znowu posłała mi długie, przenikliwe spojrzenie. - Zawsze dobrze mieć przyjaciółkę.

Kiwnęłam głową; było mi lekko na sercu.

- A zauważyła pani dziś wieczorem drugiego nieznajomego? - zapytałam od niechcienia. Chyba wypadło to sztucznie, bo panna N. dosłuchała się czegoś w moim głosie i uniosła brwi.

- Tego przystojnego? Trudno go było przeoczyć.

- Nie jest aż tak przystojny.

Zastanowiła się.

- Może i nie, ale jest niezły, jak powiedziałyby dziewczyny w mojej szkole. On ma coś, co w moim pokoleniu nazywano sex appeal, a to już dużo.

Byłam trochę zdumiona, słuchając panny N., która mówi o swoim mężu, Scotland Yardzie i niezłych mężczyznach z sex appealem, ale musiałam przyznać, że to właśnie miał Jack Farrar.

- To nie dla mnie - powiedziałam. - Proszę nie zapominać, że jestem porzuconą żoną; mężatką bez męża.

- Nie wyrzekaj się uczuć z powodu Patricka - powiedziała stanowczo. - Masz własne życie.

Westchnęłam.

- To niełatwe. Czasami sama już nie wiem, kim jestem i gdzie jest moje miejsce.

- A tak naprawdę kim jesteś, jak ci się wydaje?

Popatrzyłam na nią zdumiona.

- Co ma pani na myśli?

- Powiedz mi, kim jesteś. Kim jest Lola March Laforet?

Zastanawiałam się, o co jej może chodzić.

- No cóż, jestem kobietą. Mam trzydzieści dziewięć lat, ale wyglądam na czterdzieści. Jestem szefem kuchni. Matkuję moim gościom. Staram się, żeby udało im się spełnić wszystkie wakacyjne marzenia i żeby to miejsce ich urzekło. - Podniosłam na nią oczy. - No i to chyba wszystko.

- A teraz zastanów się nad tym, co powiedziałaś. Wszystkie te cudowne rzeczy to właśnie ty, Lola. To ty urzekasz swoich gości. Kochamy to miejsce właśnie przez ciebie. Nigdy nie zapominaj, kim jesteś, Lolu, bo jesteś osobą niezwykłą. Wpływasz na nasze życie i sprawiasz, że czujemy się lepsi. A to już bardzo dużo, moja droga.

Dopiła resztę koniaku, podniosła książkę i raz jeszcze spojrzała na zatokę, na nocne morze, gdzie ciągle kołysał się zakotwiczony „Niedobry Pies”. Żal jej było odejść, ale powiedziała dobranoc i poszła na górę.

## Rozdział 11

Trudno żyć ze złamanym sercem, choć moje zostało złamane już dawno, zanim jeszcze Patrick mnie opuścił. Wyśniona miłość gdzieś przepadła, a myśl o tym napędza mnie czasem takim smutkiem, że spędzam całe dnie w kuchni, wypróbując nowe przepisy. Stąd dodatkowe kilogramy, które wzbogaciły moją niegdyś smukłą sylwetkę i przylgnęły mi do kości jak ciasto do stolnicy.

Od czasu do czasu daję ujście złości i agresji, wściekam się wtedy i jestem okropna dla wszystkich, ale nie mogę sobie z tym poradzić i później jest mi ogromnie przykro. A potem przychodzą długie, samotne noce przeplakane w poduszkę, gdy myślę, dokąd odszedł mój mąż, i tulę do siebie małą kurkę, która pogadkuje ze współczuciem. No ale przecież nikt nie odważy się twierdzić, że być kobietą jest łatwo.

A wszystko zaczęło się tak pięknie, czarująco i romantycznie - Patrick i ja, zapatrzeni w siebie, nad kawiozem i szampanem.

Pracowałam w restauracji jednego z najwspanialszych hoteli Las Vegas jako specjalistka od deserów. Miałam całkowitą swobodę działania i tworzenia nowych dań oraz bajeczną kuchnię do dyspozycji. Kochałam tę pracę, dawała mi szczęście, choć nie pozostawiała wiele czasu na życie osobiste. Tak czy inaczej, postanowiłam na jakiś czas odpocząć od panów, bo akurat te sprawy nie układały mi się najlepiej.

Był dzień moich trzydziestych trzecich urodzin. Przygotowałam specjalne czekoladowe ciasto napełnione masą migdałową. Kiedy wyszli ostatni restauracyjni goście, poczęstowałam koleżanki i kolegów z pracy, po czym zrzuciłam workowate robocze spodnie i wbiłam się w obcisłe czarne dżinsy oraz - bardzo odważnie, jak na mnie - czarną szyfonową bluzkę, z falbananą górze, seksownie zsuniętą z jednego ramienia. Kupiłam ją bezmyślnie, w którymś z eleganckich butików w Vegas, w formie prezentu dla siebie samej. Astronomiczna cena wprawiła mnie w osłupienie, ale powiedziałam sobie, że to mój ważny dzień, a nikt inny nie kupi mi nic ekstrawaganckiego i romantycznego.

Lekko zaniepokojona obejrzałam się w lustrze, poprawiłam obsunięte ramię i głęboki dekolt, uświadamiając sobie jednocześnie, jaką głupotą było wyrzucenie tylu pieniędzy w błoto, skoro nie miałam dla kogo wyglądać romantycznie. A jednak był to mój dzień i zamierzałam spędzić wieczór w lokalu. Musnęłam tuszem swoje rude rzęsy, wyszczotkowałam długie, proste włosy, wsunęłam obolałe stopy w zamszowe pantofle w obcasach, chwyciłam torbę i wybrałam się do kasyna Bellagio.

Zatrzymałam się przy stołach utracjuszy grających w blackjacka i pai gow, którzy przebywali we własnym, wspaniałym i odległym od rzeczywistego świecie, pełna podziwu dla spokoju krupierów i milczenia graczy. Zastanawiałam się, czy stawiają swoją przyszłość i cały majątek na jedną kartę. Biedni głupcy, pomyślałam, nie wiedząc, że za chwilę zaczniesz się moja własna gra z losem.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Przez wiele godzin byłam na nogach; w pantoflach czułam się jak w kajdanach. To był błąd. Nie chciałam być tam sama, wystrojona i bez pomysłu, co zrobić z tym wieczorem. Chciałam wrócić do domu i pójść do łóżka z dobrą książką. Natychmiast! Obróciłam się i dosłownie wpadłam na niego.

- *Pardon, mademoiselle, pardon...* - powiedział.

- Przepraszam, tak mi przykro - odezwałam się w tej samej chwili. I już otaczał mnie ramionami, przytrzymał, a ja patrzyłam mu w oczy.

Był bez wątpienia najwytworniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek trzymał mnie w ramionach. Cały jak z kolorowego magazynu: wysoki, przystojny brunet, na dodatek Francuz. Czy mogłam mu się oprzeć?

- Nic się pani nie stało? - spytał z olśniewająco romantycznym francuskim akcentem. - Wygląda pani na zdenerwowaną.

Byłam oszołomiona i nie mogłam wydusić z siebie słowa. Kiedy zderzyliśmy się, spadł mi z nogi pantofel, który teraz tkwił w jego rękach.

- Kopcieszku? - powiedział, patrząc na mnie. Po czym ukląkł u moich nóg, ujął kostkę i delikatnie wsunął pantofel na stopę.

Atmosfera była tak naładowana seksem, że straciłam oddech.

- Och, dziękuję - wyszeptałam, jęcząc w duchu, bo rozmowa nie wypadła zbyt błyskotliwie. - Przepraszam - dodałam, wciąż nie mogąc złapać tchu.

- To ja powinienem przeprosić, bo nie patrzyłem, dokąd idę. Czy pozwoli mi pani zaprosić się na drinka? Żebym miał pewność, że wszystko jest w porządku?

Zawahałam się, choć Bóg wie dlaczego - może było to przecucie naciągającej katastrofy - ale powiedziałam:

- Proszę.

Czułam przez szyfon chłodną dłoń podtrzymującą mnie pod rękę, kiedy szliśmy przez hol do dyskretnie oświetlonego baru.

- Szampan? - zapytał.

Uśmiechnęłam się.

- Czemu nie? To w końcu moje urodziny.

Ciemna brew uniosła się i natychmiast poczułam się głupio. Nie powinienam była mu tego mówić. Dał znak kelnerowi.

- W takim razie, *cherie*, poprosimy o kawior.

Siedziałam na krześle, starając się wyglądać „cool”, kiedy prowadził z kelnerem dyskusję na temat kawioru. Wyglądał jeszcze korzystniej; w nie-nagannie skrojonym ciemnym garniturze, delikatnej bawełnianej koszuli w cudownym odcieniu błękitu i kosztownym krawacie. Czarne włosy na grzbiecie opalanej dłoni i modny kilkudniowy, niebieskawy zarost na mocno zarysowanej szczęce przyprawiły mnie o znajome ściśnięcie żołądka.

Odwrócił się i przyjrzał mi się badawczo.

- *Hello* - powiedział. - Jestem Patrick Laforet, z Francji.

- Lola March. Z Los Angeles. A dokładnie z Encino w San Fernando Valley.

- *Enchante defaire votre connaissance*, Lola March - odrzekł; trąciliśmy się kieliszkami i szampanem Dom Perignon wznieśliśmy toast z okazji moich urodzin, bardzo z siebie zadowoleni. A potem pochylił się, zajął mi głęboko w oczy i powiedział: - Ale kim pani jest naprawdę, Lolu March? Proszę mi o siebie opowiedzieć.

Cóż, nieczęsto kobieta ma tego rodzaju okazję, więc oczywiście ją wykorzystałam. Opowiedziałam mu, jak rzuciłam college (nie było to najlepsze posunięcie, ale jak sami się przekonacie, mam skłonność do takich wyznań) i wybrałam szkołę gastronomiczną, bo czułam, że to moje powołanie, jak wykonywałam podrzędne prace w znanych restauracjach, a potem - tu już wpadłam w ton przechwałek -robiłam postępy, aż moje słodkie desery zostały uznane przez koneserów za dzieła sztuki kulinarnej.

- Ale i tak wciąż robię najlepsze ciasteczka czekoladowe w Las Vegas - dodałam na koniec, nie chcąc, by myślał, że wyrafinowana forma jest dla mnie ważniejsza niż treść.

Śmiał się i mówił, że je ubóstwia.

- Mnie zachwyca ten kawior - powiedziałam, nakładając kolejną porcję ikry białugi na cieniutką grzankę. Widziałam, że mój naiwny entuzjazm go rozbawił.

Potem przyszła kolej na Patricka. Nachylił się bliżej, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi, i opowiadał mi, jak od pokoleń jego rodzina żyła w Marsylii z połowu ryb. Wszyscy już wymarli, Patrick był więc ostatnim z Laforetów. Ojciec zostawił mu kawałek ziemi z niewielkim hotelikiem. Patrick stwierdził, że ma on dla niego wartość sentymentalną i „z powodów rodzinnych” nigdy go nie sprzeda. Spędza tam zwykle lato, a przez resztę roku wędruje po świecie.

Kiedy później myślałam o tej rozmowie, uświadomiłam sobie, iż nigdy mi nie powiedział, jak to się dzieje, że może sobie pozwolić na taki wystawny tryb życia. Wtedy nie wydawało mi się to istotne; zakładałam po prostu, że odziedziczył pieniądze po rodzinie.

Opowiadał mi o Lazurowym Wybrzeżu i o różnych odcieniach błękitu morza, o zapachu jaśminu unoszącym się w kryształowo czystym powietrzu, o tym, jak ogromnie lubi leniwe, letnie wieczory, kiedy księżyc zalewa powierzchnię wody srebrnym światłem. Mówił o swojej małej winnicy na piaszczystym wzgórzu nad morzem, o wczesnych jesiennych porankach, kiedy ciężkie, omszałe winogrona wiszą gotowe do zerwania. O długich i upalnych letnich popołudniach, „które najlepiej spędza się za zamkniętymi okiennicami, w chłodnej pościeli, i oczywiście nie w pojedynkę”. A ja siedziałam cichutko z szeroko otwartymi oczami, urzeczona, jak dziecko zasłuchane w bajkę.

Potrafił opowiadać. A tamtej nocy utkał mi cudowny sen o Lazurowym Wybrzeżu, o małym hoteliku, o słońcu i kwiatkach, o schłodzonym winie i gorącym, namiętym mężczyźnie.

Wpadłam po same uszy, nie ma, co mówić. I choć zazwyczaj tak nie postępowałam, wylądowaliśmy w łóżku jeszcze tej samej nocy. Byliśmy szaleńcami. Jeszcze większe szaleństwo popełniliśmy miesiąc później, biorąc ślub. Tak zostałam Lolą Laforet. Do dziś pamiętam, jak byłam zakłopotana, kiedy po raz pierwszy ktoś użył mojego nowego nazwiska. Bardzo żałowałam wtedy, że nie nadano mi jakiegoś zwykłego imienia, na przykład Jane, bo Lola Laforet kojarzyła się ze striptizerką z nocnego lokalu.

Zostaliśmy mężem i żoną w upalny dzień, w biurze srebrnowłosego sędziego z Las Vegas. Patrick wyglądał zbyt przystojnie w lnianym kremowym garniturze, ale i tak bardziej stosownym na taką okazję niż niedroga, luźna sukienka z beżowego jedwabiu, którą wyciągnęłam z szafy. Związek został zawarty pod wpływem nagłego impulsu i zabrakło czasu na przedślubne zakupy. Buty jak zwykle mnie cisnęły, a ślubny bukiet składał się z oklapniętych, intensywnie różowych róż (a tego koloru szczególnie nie znosiłam) kupionych w pośpiechu na stacji benzynowej i już na wpół zwiędłych od upału.

Mimo wszystko do dziś z sentymentem przechowuję taniutką „ślubną suknię” włożoną między ochronne warstwy specjalnej bibułki. I wciąż mam jeszcze *ten smętny bukiet zasuszony* w albumie, w którym jest tylko jedno zdjęcie ślubne, zrobione przez jedyne go świadka, czyli sekretarkę. Patrick wygląda na nim uroczyście, ja natomiast jestem nieco zaniepokojona, mam uniesione brwi i szeroko otwarte oczy, jakbym już widziała, co mnie czeka.

Teraz zdaję sobie sprawę, że pragnęłam wtedy czegoś więcej, nie tylko Patricka. Marzyłam o romantycznym południu Francji, o winie, jedzeniu, o miłości pod rozgwieżdżonym letnim niebem i zbyt późno zorientowałam się, że te gwiazdy lśniły tylko w moich oczach.

Jeśli chodzi o miłość i mężczyzn, jestem tak samo bezbronna jak każda kobieta.

## Rozdział 12

Noc była zbyt duszna, by zamykać się w domu, postanowiłam więc przejść się przed snem po ogrodzie. Zapach jaśminu wciąż unosił się w powietrzu, przypominając mi pierwsze dni po otwarciu hotelu, kiedy nie mieliśmy jeszcze żadnych gości i pucowaliśmy wszystko, mając nadzieję i nie posiadając pieniędzy.

Przy wjeździe do hotelu, niewielka błękitna tabliczka przybita do pnia sosny zawiadamała żółtymi literami: HOTEL RIWIERA. Obok druga, większa, głosiła: BIEIWENUE/WITAMY, a pod spodem, na trzeciej, napisaliśmy: NASZ HOTEL JEST NIEDUŻY, ALE GOŚCINNOŚĆ OGROMNA, CO oczywiście było prawdą.

Dwa rzędy rozłożystych sosen nachylały się ku sobie, troskliwie ocieniając przybyszom drogę w upalny dzień. Trochę dalej, za zakrętem stał dom: solidny, staroświecki, w kolorze spłowiałej, przekwitłej róży, z dwoma rzędami przeszklonych drzwi, obrzeżonych starymi okiennicami, które zawsze, niezależnie od moich wysiłków, wisiały trochę krzywo. Z biegiem czasu ich zielona barwa nabrała srebrzystej patyny. Otwierały się każdego ranka na powitanie słońca, a popołudniami zamykano je, by chroniły przed upałem.

Mimo że lato się kończy, po kratownicach rozpiętych wokół drzwi wciąż widać się różowe i fioletowe kwiaty bugenwilli, a w ciemności lśnią białe płatki jaśminu. Drzwi, jak zwykle, otwarte są do północy; później goście korzystają już z własnych kluczy, a na kawałku różowego granitu nad wejściem wyryto nazwę WILLA RIWIERA i rok budowy 1920.

Gościa wchodzącego po niskich kamiennych schodach do holu wita delikatny, znajomy zapach wosku i lawendy. Każdy mebel, dywan i każda lampa w tym domu mają swoją historię: gdzie i z kim je kupowałam, ile pieniędzy musiałam pożyczyć. Mieszczą w sobie wszystkie moje dobre wspomnienia.

Przejechałam dłonią po okrągłym palisandrowym stole pełniącym w holu funkcję kontuaru recepcji; czułam pod palcami zarysowania i odpryski przykryte warstwami wosku, który aż do połysku wciera Nadine. Stary, szkolny mosiężny dzwonek stojący na stole wzywa w razie potrzeby urzędującą w kuchni *patronne*. Jest tu jeszcze sofa pokryta biało-zielonym perkalą, fotel-uszak obity czerwoną skórą mocowaną mosiężnymi gwoździkami i przysadzista serwantka, której osobiście nadałam matową powierzchnię, wcierając odpowiednie substancje. W tej chwili wienczyją bukiet lilii i margerytek wetkniętych w pośpiechu do niebieskiego ceramicznego dzbanka przez kogoś, kto najwyraźniej nie miał czasu, by bawić się w wymyślne aranżacje kwiatowe. Mała, dwuosobowa kanapka (podrabiany

„ludwik” na połączonych nóżkach pokryta została tradycyjną, błękitno--żółtą prowansalską tkaniną kupioną na tutejszym targu; obok niej stoi trzciniowy koszyk ze stosem polan z drewna jabłoni.

Sklepione łukowo przejście prowadzi z holu do salonu, dużego pokoju otwierającego się wysokimi przeszklonymi drzwiami na taras i do ogrodów. Tu właśnie jest ten nieproporcjonalnie wielki, zbudowany z wapienia kominek, który wygląda jak jeden z moich chybionych zakupów antykwarycznych. Kominek był w tym domu od zawsze. Stoją tu także dwie okazałe sofy z wysokimi oparciami, ozdobione jedwabnymi frędzlami, „uratowane” ze zrujnowanego zamku, podobnie jak dywany, wprawdzie nieco wytarte i wypłowiałe, ale wciąż piękne.

Za salonem mieści się mała jadalnia, używana tylko w razie złej pogody, kiedy mistral nawiewa liście i piasek z plaży, niszczy moje jaśminy, szarpie pnącza okrywające altanę i działa wszystkim na nerwy. Tu, w świetle lamp, jest wtedy przytulnie, choć za oknem wiatr wyje jak w czasie morskiego sztormu.

W każdym razie kiedy ktoś na koniec, po rozkoszach długiej kolacji z dobrym winem, wejdzie głównymi schodami na górę, z przyjemnością wyciągnie się na łóżku. Napiętrzejest sześć identycznych pod względem rozmiaru sypialni; tylko narożne pokoje na obu końcach korytarza są znacznie większe. Nie mają numerów; każdemu z pokoi patronuje któryś ze słynnych francuskich artystów albo pisarzy. Są więc Piaf i Colette, która zresztą kupiła kiedyś dom w Saint-Tropez i sprzedawała tam w małym sklepiku swoje kosmetyki. Są Proust, Dumas, Zola i Mistral. A także Brigitte Bardot, mieszkająca niegdyś, jak wiadomo, niedaleko stąd. Poza tym pokój panny Nightingale nosi imię Marii Antoniny, ponieważ zawsze mi się zdawało, że oceniano ją niesprawiedliwie i obciążano odpowiedzialnością za wszystkie błędy francuskiej rodziny królewskiej. Zresztą podobnie, co mi uświadomiła panna Nightingale, niedawno potraktowano osobiste problemy innej księżnej.

Prawie wszystkie balkony wychodzą na bujne drzewa figowe i na taras, z prześlicznym widokiem na Morze Śródziemne. Wystarczy wychylić się z okna, by zerwać dojrzałą figę, wbić w nią zęby i poczuć słodki sok spływający po brodzie.

W kilku pokojach stoją łóża z połączanego brązu, wyściełane adamaszkiem, stosowniejsze może do prowincjonalnego burdelu niż *do* nadmorskiej willi, ale mające wiele wdzięku. Reszta to zwykłe, wiejskie, żelazne łóżka, pomalowane na białą i spowite w muślin; leżąc w pościeli i słuchając delikatnego pomruku morza, można sobie wyobrazić pobyt w tropikach.

Reszta wyposażenia sypialni jest bardzo prosta. Stół pod oknem, lampa ze złocistym abażurem, wygodny fotelik i miękki dywan pod stopami.



W małych, wyłożonych prowansalskimi kafelkami łazienkach leży mydło robione z tutejszej oliwy i delikatnie pachnące werbeną. Pościel suszona na powietrzu zachowuje zapach słońca i wiatru, a bukiety kwiatów na nocnych stolikach mają woń poziomek.

Od czasu do czasu odwiedza nas słowik albo kos. Lubię wyobrazić sobie, że moi goście, którzy właśnie zapadają w sen, jeszcze mocniej oplatają się ramionami, bo nie ma chyba nic bardziej romantycznego niż pieśń słowika wlatująca nocą przez wysokie, otwarte okna razem z morską bryzą. „Posłuchaj”, szepcze wtedy z zachwytem mężczyzna do ukochanej kobiety, tuląc ją do swego ciepłego, opalonego ciała.

I znów jestem na tarasie, w centralnym punkcie i głównym miejscu spotkań hotelu Riwiera. Pod stopami mam wytarte terakotowe płyty, opieram się o starą żelazną balustradę pokrytą kaskadą kwiatów, patrzę na kuliste, staroświeckie lampy i na gęsty baldachim z liści figowca.

Czarujące - to słowo przychodzi na myśl, kiedy spoglądam w dół, na płataninę barwnych roślin spływających na piaszczystą ścieżkę prowadzącą nad zatoczkę. Wprost nad nią stoi mój własny dom, miniaturowa, parterowa wersja hotelu, utrzymana w tym samym spłowiałym różu, z podobnymi wysokimi, srebrzystymi okiennicami i małym ganeczkiem dobudowanym od frontu. Morze uderza falami niemal w moje drzwi; nocą otwieram okna, by zasypiać przy jego muzyce. Zrywam gałązkę jaśminu i wpinam ją we włosy, schodząc ścieżką do swego małego domku, do Bezy i do moich samotnych nocy. Czy można się dziwić, że kocham to miejsce?

## Rozdział 13

Noc była parna; gorące, wilgotne powietrze zapowiadało letni sztorm. Zrzuciłam ubranie i weszłam pod prysznic. Pięć minut później, znacznie ochłodzona, wyciągnęłam się na łóżku.

Leżałam z otwartymi oczami, wpatrzona w półmroku w niewyraźne zarysy starych, pomalowanych niebieską farbą belek na suficie, przedzielonych płaszczyznami żółtego tynku. Beza mościła się na mojej poduszce, pogdakując cichutko i od czasu do czasu wtykając mi dziób we włosy. Cieszyłam się, że jest przy mnie.

Nie mogłam zasnąć. Zmęczona, rozkojarzona i straszliwie samotna wyskoczyłam z łóżka i usiadłam przy otwartym oknie. Wychyliłam się nad drewnianym parapetem, który jeszcze zachował ciepło słonecznego dnia,

oparłam głowę na rękach i wsłuchiwałam się w daleki pomruk grzmotów i łagodny oddech morza. Myślałam o tym, jakie to szczęście mieszkać w tak pięknym miejscu, ale równocześnie uświadomiłam sobie, że wszystko to zawdzięczam Patrickowi.

Jest we mnie silna potrzeba założenia rodziny, po części może dlatego, że jako dziecko nigdy nie miałam prawdziwego domu. Z powodu finansowych wzlotów i upadków taty wiecznie się przeprowadzaliśmy z miejsca na miejsce; raz byłam kowbojem na ranczo, a za miesiąc uczennicą w wielkim mieście, starającą się szybko zyskać nowych przyjaciół. Nie jestem w stanie policzyć wszystkich naszych kolejnych mieszkań. Tęskniłam za miejscem, które mogłabym nazwać swoim własnym.

Matka pewnego dnia zniknęła i nie zabrała swojej wówczas sześciolatniej córki ze sobą. Ojca nazywała szyderczo - i całkiem słusznie ~ panem Czarusiem. To prawda, taki właśnie był, ale mój Boże, jak ja go kochałam! Mogłam uwiesić się na jego ręce i wsłuchiwać w każde jego słowo, dumnie wpatrzona w mojego przystojnego tatusia, który, co trzeba mu przyznać, w odróżnieniu od mamy zawsze pokazywał się na zebraniach komitetu rodzicielskiego. Czarował tam wszystkie matki, wysyłając im swój promienny, „nieśmiały” uśmiech, a jednocześnie zaglądając badawczo w oczy. Zastanawiałam się wtedy, czego w nich szukał. Musiało upłynąć dużo czasu, zanim zorientowałam się, że sprawdzał, czy odpowiedź brzmi „tak” czy „nie”.

Tak się jakoś złożyło, że po wyjeździe mamy to ja zajmowałam się nim. Upewniałam się, czy zdąży na umówione spotkania, czy zamówił gospośnię, czy nie zabraknie nam mleka do porannych płatków.

- Musisz tu skrócić w lewo - instruowałam go z tylnego siedzenia samochodu, ponieważ już w wieku lat sześciu zdawałam sobie sprawę, że mój ojciec nie ma orientacji w terenie. - Mam być w szkole o ósmej - mówiłam. Albo: - Co zjemy na kolację, tato? - Wiedziałam, że jeśli mu nie przypomnę, sam o niczym nie pomyśli i po raz kolejny skończy się na gotowej pizzy. Nawet małe dziecko może nabrać obrzydzenia do pizzy.

Czarus czy nie Czarus, uwielbiałam go i oczywiście z nim porównywałam wszystkich innych mężczyzn. Zbyt późno stwierdziłam, że wzorzec nie był najlepszy.

Patricka spotkałam w momencie, gdy czułam się niepewna i bezradna, ale takie poczucie towarzyszyło mi właściwie przez całe życie. Bezbronna i naiwna. Każdy terapeuta powiedziałby mi oczywiście, że źródła tego stanu tkwią w moim dzieciństwie, że muszę zdobyć się na zdrowy rozsądek, choć naturalnie zdrowy rozsądek nigdy nie uchronił mnie przed zakochaniem się w niewłaściwym mężczyźnie.

Doszłam do tego wniosku, kiedy przerwałam trwającą dwa lata odyseję odbytą w towarzystwie pewnego aktora filmowego (tylko słowo odyseja mogło oddać tę długą, ciężką wędrówkę). „Aktor”, kiedy go poznałam, bardzo chciał zostać aktorem i stopniowo zaczął piąć się coraz wyżej: najpierw mała rola w słabym filmie, potem druga, nieco większa; wkrótce zaczął asystować młodym aktorkom na premierach i przyjęciach oraz pokazywać się w magazynie „People” i w brukowych gazetach. Mimo zaślepienia wiedziałam, do czego to zmierza - i ogłosiłam koniec znajomości.

Z ukłuciem szczerego bólu stwierdziłam, że nie ma czegoś takiego jak „prawdziwa miłość”. To mit stworzony na użytek powieści i filmów. Prawdziwa miłość nie istnieje. Zniknęła z mojego życia na zawsze. A potem spotkałam Patricka Laforet i rzuciłam się na oślep w nowe uczucie, zakochana po uszy. W kółko to samo.

## Rozdział 14

Pierwszy rok naszego małżeństwa był nieprzerwanym pasmem radości, a dzięki Patrickowi każdego dnia czułam się jak panna młoda.

Bardzo bym chciała umieć wytłumaczyć, dlaczego mężczyzna się odkochuje. U Patricka nastąpiło to błyskawicznie. Pewnego dnia szliśmy roześmiani, trzymając się za ręce, stromymi uliczkami Eze, wioski przytulonej do górskiego zbocza ponad Cap-Ferrat, dokąd uciekliśmy na cały dzień, wolny od problemów związanych z renowacją hotelu. A następnego dnia Patrick odjeżdżał sam do Saint-Tropez z niedbałym: wrócę późno, *cherie*.

Przez cały rok kochaliśmy się rano, w południe, nocą i kiedy tylko nie było w pobliżu żadnych robotników, a my mogliśmy znaleźć odrobinę samotności w naszym wciąż niewykończonym hoteliku. A potem nagle wszystko się skończyło. Tak jakby Patrick wyłączył prąd i zostawił mnie w niezrozumiałym stanie zawieszenia, nie tłumacząc dlaczego, co i jak.

Inna kobieta - takie wytłumaczenie natychmiast przyszło mi do głowy. W końcu Patrick nie umiał przejść obok kobiety, nie robiąc do niej słodkich oczu. Rzadko która potrafiła oprzeć się tym spojrzeniom i jego delikatnemu urokowi.

Poza tym nie zapominajmy, że gdy się poznaliśmy, byłam prostą dziewczyną z podmiejskiego osiedla, a on przystojnym i bogatym (tak przynajmniej sądziłam) Francuzem, na dodatek obytym w świecie. Nie było chyba dnia, żebym nie zadawała sobie pytania, dlaczego właśnie mnie wybrał na żonę.

Nie zawsze było źle. To znaczy zdarzało się, że wszystko układało się idealnie przez dzień albo dwa: Patrick zachowywał się jak dawniej - flirtował, śmiał się, zachwycał się życiem i mną. Jeździliśmy na prowincjonalne aukcje do Orange w górach Prowansji albo dalej, do Burgundii, gdzie raz spędziliśmy noc w wielkim, przebudowanym zamku, pławiąc się w luksusie. Tak bardzo oddaliliśmy się wtedy od codziennego chaosu i prowizorki naszego hotelu, że czułam się jakby w innym świecie, w którym, ku własnemu zdumieniu, byłam inną kobietą. Żyłam chwilą i nie miałam żadnych problemów. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się w cieniowych altankach i kochaliśmy się we wspianym łożu z piernakami.

Jeździłam na lokalne wyprzedaje i przepłacałam starocia, których nikt inny nie chciał: wytarte orientalne dywany, niemodne umywalnie z marmurowym blatem z lat dwudziestych, abażury obszyte frędzlami z paciorków i zasłony ze złotej lamy z lat trzydziestych, upięte i ozdobione purpurowymi chwostami. Do dziś wiszą nad naszym - moim - łóżkiem jako pozostałości po filmie z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers.

Zdarzało się, że kiedy byliśmy razem, tuż przed otwarciem hoteliku, wybieraliśmy się na przejażdżkę przez wzgórze Sisteron; zatrzymywaliśmy się na napotkanej po drodze owczej farmie i spędzaliśmy tam noc w maleńkim pokoiku na poddaszu, wsłuchani w pobekiwanie owiec za oknem i w deszcz bębniący w dachówki. Albo zostawialiśmy w niewielkiej *hostellerie*, gdzie było tylko parę pokoi nad restauracją, gdzie jedliśmy po królewsku i kochaliśmy się do szaleństwa, jakby ten zwariowany świat miał trwać wiecznie.

Czy Patrick kiedykolwiek kochał mnie naprawdę, nawet wtedy gdy byliśmy razem w łóżku? Zdaje się, że to pytanie będzie mnie dręczyć już do końca życia. Tak bardzo chcę wierzyć, że tak, na swój sposób, który w końcu okazał się niewystarczający. Ale i mojej miłości w końcu zabrakło. Owszem, nadal obchodzi mnie to, co się z nim dzieje, gdzie jest i z kim. W głębi serca uważam, że znalazł inną kobietę, młodszą, ładniejszą i bogatszą, która może dać mu wszystko, czego pragnie jego dusza. Co nie znaczy, jak powiedziałam wcześniej, że to zły facet - jest po prostu fatalnym mężem.

Tak więc wyglądają sprawy; otworzyłam przed wami serce, a w każdym razie to, co z niego zostało. Przez ostatnie pół roku prowadziłam niezależne życie, zajmowałam się hotelem, dbałam o gości, wieczorami szykowałam dobre kolacje i brałam na siebie tyle obowiązków, żeby nie myśleć o Patricku.

Ze strachem myślę dopiero o zimie, kiedy moi goście rozjadą się do swoich światów, a ja zostanę sama na tym maleńkim półwyspie i będę słuchać mistrału wiejącego z północy, pędzącego przez dolinę Rodanu z coraz większą szybkością, żeby dopaść moich drzwi, szarpać oknami, wyć

wśród sosen i z hukiem przewracać ciężkie żardyniery. Poczucie samotności stanie się wówczas nie do zniesienia.

Minie sezon na wino rosę; będę teraz rozpalać w kominku drewnem jałbłoni, modląc się, by wiatr nie wcisnął dymu z powrotem do komina. Zaparzę herbatę z rumianku, która podobno ma ukoić moje stargane nerwy, może poprawię sobie humor grzanką i jajkiem na miękko, które zawsze przypominają mi dzieciństwo i ojca, ponieważ to właśnie szykował mi, kiedy źle się czułam. Później, w łóżku, Beza przytuli mi się do szyi, od czasu do czasu szczyplenie mnie w ucho i razem przetrwamy jakoś kolejną długą noc.

Czy wspominałam, że nie tego oczekiwałam? Czy mówiłam, jaka jestem wściekła na Patricka? I że nie wiem, co zrobić z jego zniknięciem, gdzie go szukać, a nawet kogo prosić o pomoc? Cóż, z całej tej historii wynikają tylko trzy dobre wnioski. Po pierwsze, wciąż chcę wierzyć, że Patrick kiedyś mnie kochał. Po drugie, już go nie Kocham. I po trzecie, wciąż mam swoją „prawdziwą miłość”, czyli hotel Riwiera.

## Rozdział 15

W ciszę wdarł się odgłos samochodu wjeżdżającego na żwirowy parking. Ze zdumieniem popatrzyłam na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Wszyscy goście, poza panem Falconem, byli w domu, poza tym Falcon jeździł harleyem. Trzasnęły drzwiczki samochodu, a potem usłyszałam chrzęst ciężkich kroków na piaszczystej ścieżce prowadzącej do mojego domku.

Poczułam ciarki na plecach. Był środek nocy, wszyscy dokoła spali. Byłam sama. Nawet gdybym krzyczała, nikt mnie nie usłyszy w tym zakątku oddzielnym gęstym żywopłotem z oleandrów i kapryfolium.

Zrobiło mi się nagle gorąco ze strachu. Słyszałam, jak wali mi serce. Podbiegłam do drzwi, pchnęłam zasuwę, zaczęłam zamykać okna, złapałam słuchawkę telefonu... Wezwę policję. Za ile tu będą? Pięć minut? Dziesięć? Piętnaście?... Boże, to za późno!

Zasłona z koralików zadzwięczała, jakby ktoś ją szarpnął, usłyszałam pukanie. Zmusiłam się do absolutnego spokoju, w nadziei że ktokolwiek by to był, pomyśli, że w środku nikogo nie ma i po prostu sobie pójdzie... w końcu nie było tu nic wartego kradzieży... Tyle że złodziej zwykle nie puka.

- Madame Laforet - usłyszałam stanowczy głos. - Proszę otworzyć. Żandarmeria.

Policja. O drugiej w nocy? Szarpałam się z zasuwą i zamkiem. W tym momencie serce przestało mi walić i zamarło. To na pewno w związku z Patrickiem, pomyślałam. Znaleźli go.

Udało mi się otworzyć drzwi. Stałam twarzą w twarz z dużym, zwalistym mężczyzną, w sfatygowanej panamie na głowie i białej, pogniecionej marynarce. Nad niedbale zawiązanym żółtym krawatem, przez rozpiętą u góry koszulę widać było czarne włosy na piersi. Nie wyglądał na policjanta, więc cofnęłam się szybko za drzwi. Wtedy dostrzegłam stojących za nim dwóch umundurowanych żandarmów.

Przycisnęłam dłoń do zmartwiałego serca jak bohaterka telewizyjnego serialu.

- O co chodzi? Co się stało?

Potężny człowiek zdjął swojapodniszczonapanamę i przyłożył jądo piersi.

- Madame Laforet - powiedział - proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem Claude Mercier, detektyw z marsyjskiej policji. Ci panowie to moi koledzy z tutejszej komendy. Muszę z panią porozmawiać.

Policja z Marsylii? To nie wróżyło nic dobrego. Otworzyłam szerzej drzwi, żeby mogli wejść. Ich obecność wypełniła i pozbawiła powietrza mój mały, śliczny pokoik. Nie mogłam złapać oddechu... Wszystko mogło się zdarzyć, powtarzałam sobie, zapadając się bezwładnie w sofę. Wszystko... Ale ci tutaj to dobrzy faceci, oni są przecież po mojej stronie, prawda?

- *Vous permettez, madame?* - Detektyw Mercier przysunął sobie krzesło. Usiadł naprzeciw mnie i oparł łokcie na rozstawionych kolanach. W palcach miał brzeg ronda kapelusza i patrzył mi w oczy. Krzyknęłam, bo nie mogłam wytrzymać jego milczenia:

- Na litość Boską, co tu robicie o drugiej w nocy?! Co się stało? Czy chodzi o Patricka?

Detektyw ułożył ostrożnie kapelusz na kolanach. Westchnął, splótł dłonie i powoli obracał kciukami.

- Madame Laforet, samochód pani męża, srebrny porsche carrara zo stał odnaleziony w garażu na obrzeżach Marsylii. - Uniósł rękę. - Nie, madame, pani męża nie było w aucie. W tej chwili eksperci medycyny sądowej badają wóz w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów... —dokończył dramatycznym tonem: - ...przemocy.

Ostatnie, cicho wypowiedziane słowo przeszło mi umysł.

Detektyw Mercier zmienił nagle ton na łagodniejszy.

- Madame Laforet, proszę powiedzieć mi wszystko, co pani wie o zniknięciu swojego męża. Tak będzie dla pani lepiej. Oczywiście, madame - pochylił się do mnie i mówił tak cicho, że nikt poza mną nie mógł go słyszeć - zajmę się panią osobiście. Dopilnuję, żeby miała pani dobrą opiekę

i była odpowiednio traktowana. - Popatrzył mi w oczy. - W końcu kobieta taka jak pani, dama...

A więc dlatego policja przyjechała tu w środku nocy. Podejrzewają, że to ja zabiłam męża. Detektyw Mercier był dla mnie miły, bo chciał mnie skłonić do zeznań.

- Powiedziałam już policji wszystko, co wiem - odparłam ostrożnie.

Ciemne brwi Merciera utworzyły prostą linię.

- Czy chce pani powiedzieć, że nic pani nie wie? Że mąż pani po prostu wyjechał pewnego pięknego poranka i nigdy nie wrócił?

Kiwnęłam potakująco głową i poczułam, jak po plecach spływa mi pot.

- Ale skoro znaleźliście jego samochód, to traficie na jakiś ślad? - spytałam. - Pan i pańscy koledzy od medycyny sądowej...

Detektyw przerwał mi uniesioną dłonią.

- Oni wkraczają w wypadku śmierci, madame.

Wpatrywałam się w niego z otwartymi ustami.

- Co pan przez to rozumie? Gdzie jest mój mąż?

Mercier podniósł się ciężko. Podeszedł do wyjścia, a za nim żandarmi. Kiedy otwierał drzwi, usłyszałam przetaczający się gdzieś blisko grzmot. Detektyw odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Mielśmy nadzieję, że pani nam to powie, madame Laforet - oznajmił. - Ponieważ to pani ostatnia go widziała i to pani jest główną podejrzaną w przypadku ewentualnego zabójstwa.

## Rozdział 16

# Panna Nightingale

Mollie Nightingale też nie mogła zasnąć. Doszła do wniosku, że to przez rozmowę z Lolą. Nie powinna wspominać o Tomie. Zawsze było tak samo: każda wzmianka o nim uruchamiała jej podświadomość, powracał w pamięci jeszcze żywszy obraz niż za życia. I tym mocniej odczuwała jego brak.

Tom prowadził życie ryzykowne i zginął nagłą śmiercią, tak jak mu to zresztą przepowiadała.

- Bzdury - mawiał, kwitując jej obawy pogardliwym skrzywieniem ust. Stał przed dużym mahoniowym lustrem, które kiedyś jeszcze należało do

jej ojca, i wiązał krawat w paski, z jedwabnego rypsu. Musiał mieć ich chyba kilkadziesiąt, wszystkie w tym samym stylu, tylko w różnych kolorach. Zadaniem Molly było wybranie każdego ranka „kolorów dnia”, co zresztą sprawiało jej przyjemność i dawało poczucie, że w jakiś sposób uczestniczy w jego życiu. Wiedziała, że to niemądre, ale tak właśnie ułożyły się sprawy między nimi.

Tom pracował jako detektyw w Scotland Yardzie i miał opinię ryzykanta. Mollie, wytworna nauczycielka, kierowała elitarną londyńską szkołą dla dziewcząt, gdzie obowiązywały opanowanie i dobre maniery, a jedyną zbrodnią bywały ukradkowe dymki w łazience i - w najgorszym wypadku - ściąganie na klasówce.

Trudno sobie wyobrazić bardziej odmienne sposoby spędzania czasu. Tom i Mollie, jak istoty z dwóch różnych planet, spotykali się więc ostrożnie na neutralnym terytorium, czyli w jej niewielkim londyńskim mieszkanku albo - kiedy pracoholik Tom nie miał już zajętych weekendów - w jej ulubionym, równie małym domku wiejskim w Blakelys.

Najczęściej jednak panna Nightingale spędzała tam weekendy samotnie, rozkoszując się spokojem i ciszą. Z entuzjazmem pielęgnowała ogród, obdarzając miłością i gorącymi uczuciami - tymi oczywiście, które nie były przeznaczone dla Toma - ciężką, ciemną ziemię. Wyczarowała na niej piękny, bujny ogród z najprostszych wiejskich kwiatów. Tworzyła kompozycje z margerytek, budowała ściany z ostróżek i hortensji, pod lipami rozsiewała pierwiosnki, prawdziwe, staroświeckie, bladożółte kwiatki pojawiające się po pękach żonkili, które, aczkolwiek zdaniem Toma banalne, przywodziły Mollie na myśl słowa Wordswortha.

- Chmara złotych żonkili - mówiła z podziwem na widok tej wiosennej obfitości, otulona warstwami swetrów i pulowerów. Jej zdaniem Wordsworth ujął to najtrafniej. Latem spotykała ją największa radość - róże, zwłaszcza pnące, Gloire de Dijon z kwiatami ogromnymi jak główki sałaty, bladopłowymi, z domieszką odcieni żółtych i brzoskwiniowych, obezwładniające zapachem w piękne, letnie poranki. I Golden Showers, które zgodnie z nazwą lśniły złotem na miodowych, kamiennych ścianach domku.

„Trudna roślina”, mawiał Tom o Gloire de Dijon, „ale tak jak piękna kobieta, warta szczególnych zabiegów”. Jego słowa sprawiały, że Mollie zaczynała się zastanawiać, cóż takiego wie Tom o pięknych kobietach, które wymagają szczególnych zabiegów.

Pograżyła się w rozmyślaniach o człowieku, który przez pięć lat był jej mężem (spotkali się w późnym okresie swego życia, kiedy Mollie była po pięćdziesiątce, a Tom miał parę lat mniej); zastanawiała się, jak by to było



być młodą, piękną i adorowaną przez przystojnego i niebezpiecznego Toma Knighta. Knight-jak średniowieczny rycerz. Mój rycerz w srebrnej zbroi, nazwała go, kiedy w końcu po paru drinkach w pubie na Kings Road - czyli w miejscu, do którego raczej nie chodziła - napomknął, że może dobrze by było prowadzić wspólne życie.

- Co nie znaczy, że ciągle za rękę, oczywiście - dodał żartobliwym to nem. - W końcu mam swoje życie, a ty swoje. Ale wydaje mi się, Mollie, że dobrze nam razem. Znamy się już parę lat i jesteś taką kobietą, która mogłaby wprowadzić w moje życie trochę stabilizacji.

A ona uśmiechnęła się i zaróżowiła pod kolor sukienki, i dwa tygodnie później „składała przysięgę małżeńską” temu człowiekowi znużonemu życiem. Jego szczupła, skupiona twarz ostrzegała: lepiej nie zadzieraj ze mną, bracie, jestem sprytniejszy i twardszy od ciebie.

Panna N. dzieciństwo spędziła w dworze Blakelys, ale wszystko, co odziedziczyła po tym, jak fiskus zagarnął majątek, to stary domek ogrodnika, zapchany teraz skarbami z niezwykłej przeszłości Nightingale'ów. Swój „miodowy miesiąc” spędzili z Tomem właśnie w tym domku, który stał się potem ich prawdziwym domem, a na końcu jej domem, gdy już została sama.

Panna Nightingale usiadła w wygodnym łóżku pokoju noszącego imię Marii Antoniny w hotelu Riwiera i wróciła myślami do swych planów na nadchodzący dzień. Jakie to właściwie plany? - zastanawiała się, wsuwając pulchne stopy w różowe, aksamitne kaptcie i narzucając różowy, bawełniany szlafrok na lawendową koszulkę nocną od Marksa i Spencera. Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie, jak Tom mawiał, że w tych swoich ulubionych pastelowych kolorach wygląda jak letnia rabatka. Później zastanawiała się, czy był to komplement, czy przeciwnie.

Trudno było rozszyfrować Toma, przynajmniej na początku. Później jednak otworzył się przed nią. Mówił, że zachwyca go jej prostota, niezbyt skomplikowane, naiwne podejście do życia, i właśnie wtedy zaczął opowiadać o swojej pracy detektywa. Od tamtej pory życie Mollie stało się, oczywiście pośrednio, dużo bardziej interesujące.

Właśnie w tym małym domku, przed kominkiem, przy poobiedniej szklaneczce brandy w mroźny zimowy wieczór, po raz pierwszy udało jej się uprosić go, by opowiedział jej o ostatniej sprawie, jaką się zajmował.

- To naprawdę trudne - powiedział zmartwiony, ponieważ śledztwo dotyczyło szczególnie makabrycznego morderstwa, a brakowało śladów. Poza tym chodziło o dziecko, a to doprowadza do pasji każdego glinę, który ma do czynienia z taką zbrodnią. - Utrata niewinności. O tym myślę bez przerwy - mówił Tom, obejmując szklaneczkę z brandy swoimi dużymi dłońmi,

wpatrzony w płomienie na kominku. - Wciąż wyobrażam sobie, przez co ta biedna mała przeszła, zanim ten skurwiel w końcu ją zabił.

- Skąd wiesz, że to mężczyzna? - spytała cicho. Tom odwrócił się i patrzył na nią zmrużonymi oczami.

- Do cholery, wiesz co, Mollie? Jesteś genialna. Przepraszam za ten język. - Potem wstał, odbył jedną czy dwie rozmowy telefoniczne, narzucił kurtkę, pożegnał się i popędził w mroźną noc swoim starym, zielonym land-roverem w kierunku Londynu.

Okazało się, że mordercami byli matka i jej przyjaciel; po tej sprawie Tom często opowiadał Mollie o trudnych przypadkach. Wiele dowiedziała się o zbrodniach, morderstwach, gwałtach, zabójstwach na zamówienie, o rzeczach, które знаła dotąd tylko z gazet. A Tom stwierdził, że jej jasny umysł i logiczny sposób myślenia bardzo mu pomagają. Do czasu.

Panna Nightingale z westchnieniem pchnęła okiennice drzwi prowadzących na mały balkonik i wyszła na zewnątrz. Po niebie przelatowały błyskawice, a powietrze przepełniał ciężki zapach jaśminu kwitnącego wieczorem. W Cotswolds nie udało się wyhodować jaśminu, w każdym razie nie w jej maleńkim ogródku - tamtejsze noce są dla niego zbyt chłodne - dlatego Mollie tak rozkoszowała się teraz jego zapachem i w ciemności wyławiała wzrokiem białe płatki.

Jej pokój był najmniejszy ze wszystkich, a ponieważ znajdował się po zacienionej stronie i nie docierało tam zbyt wiele słońca, Lola przetarła ściany żółtą farbą, która miała przypominać pierwiosnki, ale przywodziła na myśl raczej żółtko jajka. Stało tam żelazne, podwójne i bardzo wygodne łóżko osłonięte muślinem, dwa niedobre stoliki nocne w kolorze śródziemnomorskiego błękitu i wiejska sosnowa szafa z rozbielonego drewna, odnaleziona na prowincjonalnej aukcji podczas jednej z wypraw Loli. Na małym stoliczku pod oknem, obok karafki z wodą i szklanki leżały stos książek i robótka panny N. - w tej chwili było to coś długiego i pasiastego, ciepły zimowy szal, który miał być pożegnalnym prezentem dla Loli.

W pobliżu okna stał jeszcze fotel obity niebieskim aksamitem, a wystroju dopełniały dwie śliczne lampy z abażurami z wiejskiego perkalu. Był to najtańszy pokój w hotelu, ponieważ jego okna wychodziły na parking. Panna N. nie widziała w tym nic złego, ponieważ słomiane maty rozciągnięte nad zwirowanym placykiem, mające chronić samochody gości przed promieniami słońca, pokrywał teraz błękitny powój. Poza tym, jeśli wyciągnęła nieco szyję, mogła zobaczyć skrawek morza, a także czerwone i zielone światła zakotwiczonego małego slupu.

Myślała właśnie, jak musi być wspaniale na tej niedużej łodzi, kiedy fale uderzają z zewnątrz w okna, a morze kołysze nią cicho, łagodnie i spokoj-

nie, kiedy na drodze do hotelu pojawiły się światła. Duży czarny samochód wcisnął się na parking, rozległ się pisk opon, chrzęst żwiru i auto stanęło tuż pod balkonem Mollie.

Panna N. cofnęła się; nie chciała, by widziano ją w szlafroku i kapciach, z siateczką, która chroniła starannie ułożone włosy. Poza tym kto mógł przyjeżdżać tak późno? Samochód miał numery rejestracyjne z Marsylii i zdecydowanie nie należał do nikogo z gości.

Drzwi od strony pasażera gwałtownie się otwarły i wygramolił się z nich tegi mężczyzna w białej, pogniecionej marynarce i naciśniętej na oczy panamie z szerokim rondem. Nie zadał sobie trudu, by zamknąć auto, pozostawił to dwóm żandarmom, którzy szybko wyskoczyli za nim. Przez chwilę rozglądał się dookoła, po czym chrząknął, kiwnął na nich ręką i poszedł w dół, po piaszczystej ścieżce, w stronę domku Loli.

Panna N. nie mogła złapać tchu. Policja! O tej porze, w nocy mogli przyjechać wyłącznie służbowo. A to oznaczałoby tylko problemy z Patrickiem.

Usiadła w białym rattanowym fotelu. Patrzyła, czekała i myślała. Wydawało jej się, że strasznie długo nie wracają. Kiedy usłyszała kroki, wychyliła się przez balkon, żeby lepiej widzieć. Zwalisty mężczyzna podniósł głowę i popatrzył wprost na nią.

O Boże! Boże! - powtarzała w duchu, cofając się pod ścianę. A potem pomyślała o Tomie i o tym, że ten masywny, spocony detektyw o ziemistej cerze, w swojej białej marynarce nie dorastał mu do pięt, odzyskała pewność siebie i cichutko wróciła do pokoju, zamykając za sobą okiennice.

Odczekała, aż odgłos samochodu zamilknie w oddali. Pomyślała o Loli. Jest sama. Bóg wie co jej powiedzieli. To oczywiście dotyczy Patricka. Może go znaleźli... albo jego ciało, co było bardziej prawdopodobne.

Owinąwszy się szczelnie różowym szlafrocikiem, otworzyła drzwi i wywnęła się na korytarz. Ostrożnie zeszła po schodach, a potem przez frontowe drzwi wybiegła szybko na ścieżkę do domku Loli.

Minęła gęsty żywopłot z oleandrów i stanęła. Ani śladu światła. Żadnego dźwięku ze środka. Zawahała się chwilę. Czy powinna zapukać i powiedzieć: Lolu, to ja, Mollie Nightingale, chcę tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku?

Znów westchnęła, pokręciła głową, odwróciła się i powoli poszła z powrotem przez ogród. Czowała przez skórę, że zdarzyło się coś złego. A o kłopotach wiedziała sporo.

Odwróciła się, żeby po raz ostatni rzucić okiem na domek nad morzem. Zobaczyła tylko czerwone i zielone światła małego słupa zakotwiczonego w zatoczce.

## Rozdział 17

### Lola

Nie mogłam zamknąć oczu. Za każdym razem powieki same się otwierały. I znów patrzyłam w sufit, licząc rysy między belkami w rozjaśniającym się o świetle pokoju. Wiecie, oczywiście, jakie pytania zadawałam sobie w kółko, w czasie tych wlokących się godzin: kto? gdzie? dlaczego? A zwłaszcza: dlaczego ja? Dlaczego policja podejrzewa, że mam jakiś związek ze zniknięciem mojego męża?

Wiedziałam tylko jedno: Patrick nigdy by nie zostawił swojego porsche w byle jakim garażu w Marsylii. Ten samochód stanowił część jego samego, wyrażał jego osobowość. W srebrnym porsche Patrick stawał się młodym playboyem z południa Francji. Z tego nie rezygnuje się ot tak, z lekkim sercem.

O piątej rano zwlokłam się z pomiętej pościeli. Chodziłam tam i z powrotem po tarasie pod oknami, z założonymi rękami i opuszczoną głową, nie dostrzegając zachwycających przejść opalu poranka w delikatne odcienie perłowe, potem niebieskozielone i wreszcie w złoto wschodzącego słońca. Widziałam tylko blade płytki terakoty na tarasie i swoje długie, brązowe stopy z polaki ero wanymi na czerwono paznokciami. Stanowczo zapowiedziałam sobie, że należy zrobić pedikiur, po czym pokręciłam głową ze zdumieniem, że myślę o tak niepoważnych rzeczach.

Rzuciłam okiem na ukochaną zatoczkę, jak zawsze rano spokojną i wyłożoną słońcem. Czarny słup uwiązany na kotwicy łagodnie kołysał się na wodzie zmarszczonej bryzą. Pamiętałam Nagiego Mężczyznę i hedonistyczną radość, jaką czerpał z obcowania z żywiołem. Myślałam o jego mocnym cieple, miałam w oczach jego obraz, gdy przeciągał się i wystawiał głowę do wiatru i słońca. I natychmiast stanęła *mi* przed oczami jego przyjaciółka - młoda, świetnie zbudowana blondynka.

Westchnęłam i wróciłam do środka. Zazdrościłam im, że żyją sobie bez troski, podczas gdy ja muszę się zajmować hotelem, prowadzić restaurację, ustalać menu, robić zakupy, pilnować parzenia kawy i pieczenia rogalików. Nie miałam czasu zajmować się swoimi problemami.

Weszłam pod prysznic i odkręciłam zimną wodę, żeby się obudzić. Błyskawicznie ubrałam się w płócienne różowe szorty i lekką białą koszulkę na ramiączkach, wsunęłam stopy w espadryle na koturnie, wiązane wokół kostki, zastanawiając się, po co w ogóle je kupiłam. Ubrania łapałam w po-

śpiechu, gdzieś w drodze na targ albo przy powrocie z Saint-Tropez, a może na posezonowej wyprzedaży. W rezultacie nic w mojej szafie nie pasowało do siebie. Potrząsnęłam głową, żeby trochę podsuszyć włosy, zbyt późno przypominając sobie, że należało użyć płynu z filtrem UV. Podmalałowałam najbardziej widoczne miejsca i chwyciłam kluczyki do samochodu.

Samochód! Ha, można się uśmieć! Z porsche Patricka łączył go jedynie srebrny kolor. Był stary i mały. Szczerze mówiąc, bardzo mały. Staiy deux chevaux, z tych, które nazywano pudełkiem sardynek, ponieważ wyglądał tak, jakby można było kluczykiem odwinąć pokrywkę. To nawet nie było prawdziwe auto, tylko wóz dostawczy, którym dało się jedynie wyjechać wczesnym rankiem na targ. Oczywiście kiedyś wydawał się idealny, gdy tanio dowoził mnie z Patrickiem do naszego wymarzonego hotelu.

Patrz, ile zaoszczędzimy, powiedziałam, kiedy odkryłam to auto zaparkowane na brakowanej uliczce w Ramatuelle z przyklejoną do szyby kartką SPRZEDAM. Pomijając comiesięczne wydatki na mechanika, oczywiście miałam rację. W tych kalkulacjach nie wzięłam pod uwagę jednego - Patricka. Jasne, mogłam kupić sobie pudełko sardynek, jeśli tak mi się podobało. Natomiast mój mąż sprawił sobie wtedy pierwszy ze swoich supersamochodów. Dopiero teraz widzę, jaka byłam głupia. I nadal zapewne jestem.

Ale na pewno nie w kuchni. Tam panuję nad sytuacją. Marit, która zdążyła przyjść przede mną, machnęła na powitanie ręką unurzaną w mące, powiedziała, że kawa jest już zaparzona, i wróciła do formowania zgrabnych półksiężyców z ciasta na rogaliki.

Zapach pieczonych bułeczek i świeżo zmielonej kawy odrobinę podniósł mnie na duchu. Usiadłam przy długim stole pod oknem i wzięłam do ręki notes. Z wysiłkiem zepchnęłam gdzieś na bok wszystkie złe wiadomości, odkładając je na koniec dnia. Kiedy zostanę sama, będę mogła swobodnie krążyć po pokoju i zadrezczać się losem Patricka. W tej chwili musiałam jednak zająć się firmą i gośćmi. To zresztą trzymało mnie przy zdrowych zmysłach.

Była sobota, dzień targowy w Saint-Tropez. Z pewnością dostanę świeże ryby, prosto z morza. Poszukam też małych złocistych buraczków i kupię roladę serową o najwspanialszym smaku śmietany. Robią ją z mleka od specjalnych białych kóz madame Auric. Pokroję w plasterki buraki, ser i słodkie pomidory, ułożę je po kolei, pokryję sosem śmietanowym z bazylią i dodam, jeśli będę miała trochę szczęścia, kawałki owoców persimony, a jeśli nie, to kumkwat albo złociste śliwki.

Muszę też przywieźć krewetki, te większe i miejmy nadzieję, że znajdę delikatną białą rybę Saint-Pierre, którą po prostu rzuca się na grilla albo krótko smaży i podaje ze świeżymi ziołami i cytryną.

Miałam już wszystko zaplanowane, plus jeszcze inne interesujące rzeczy, które znajdę na miejscu. Zapewniam, że we wrześniowy poranek w Saint-Tropez nie jest to trudne.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam głowę Jean-Paula przejeżdżającego pod oknami. Miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby wciąż spał. Usłyszałam, jak jego rower wali się w krzaki rozmarynu, i do kuchni przypląnął zapach Prowansji. Jean-Paul wymamrotał „gówno” i kopnięciem ustawił rower na właściwym miejscu pod ścianą, po czym wolnym krokiem przeszedł znów pod oknem. Zachręściła zasłona z koralików i oto stał, otrzepując się z pyłu i patrząc sennym wzrokiem na Marit i na mnie.

- *Bonjour, Madame Laforet, bonjour, Marit.*

- *Bonjour, Jean-Paul* ~ odpowiedziałyśmy, spoglądając na siebie i zastanawiając się, gdzie spędził noc, bo wyglądał okropnie. Westchnęłam; był młody, lekkomyślny i mieszkał w Saint-Tropez. Dziękowałam Bogu, że się w ogóle pokazał.

- Okej, Jean-Paul - powiedziałam. - Po pierwsze, weź prysznic, potem się przebierz, nakryj stoły do śniadania, bo zanim się obejrzysz, przyjdą pierwsi goście i będą chcieli kawę. - Patrzył na mnie tępo. - No już, ruszaj - dodałam zirytowana, bardzo złą francuszczyzną. - *Et depeche-toi*, chyba że szukasz awantury.

Poczłapał na wpół śpiący, z rękami wetkniętymi w kieszenie, w kierunku łazienki za kuchnią.

Wypiłam resztkę kawy, zapowiedziałam Marit, że ma przypilnować, by nasz młodzieniec pozbiarał się i zajął przygotowaniem stołów do śniadania, chwyciłam listę zakupów i popędziłam do auta, zahaczając po drodze o stolik przy wejściu, żeby sprawdzić zaplanowane na ten dzień przyjazdy i odjazdy.

Na razie zamierzali wyjechać tylko Oldroydowie, przemiła młoda para z Yorkshire. Muszę koniecznie zobaczyć ich przed wyjazdem, mocno uściśkać, życzyć wszystkiego najlepszego i powiedzieć, że mam nadzieję jeszcze ich tu zobaczyć. Wiem, że wrócą moi goście zawsze wracają do hotelu Riwiera.

Pochylałam się właśnie nad pięknym palisandrowym stołem, gapiąc się bezmyślnie przez otwarte frontowe drzwi, kiedy zobaczyłam pannę Nightingale w jasnozielonej dżersejowej spódnicy z lekko opadającym podółkiem, w dobranej do niej koszuli safari z mnóstwem kieszeni. Stała na rozstawionych nogach, z rękami założonymi do tyłu i w nabożnym sku-

pieniu oglądała lśniącego chromem i czerwienią harleya pana Falcona. Przyłożyła dłoń do serca i wydała z siebie pełne zazdrości westchnienie. Stojąca tuż obok wynajęta przez nią vespa wyglądała w tym zestawieniu komicznie.

Pomachałam jej, a ona weszła do domu i obdarzyła mnie długim, uważnym spojrzeniem.

- Żadnych wiadomości od męża, kochanie? - spytała.

Potrząsnęłam głową, rozglądając się jednocześnie, czy nikt nas nie sły-  
szy, choć fakt, że Patrick mnie rzucił, nie był dla nikogo tajemnicą. Od  
czasu, gdy Karol porzucił Dianę, nie było w tej okolicy głośniejszego roz-  
stania: wiedziało o tym całe miasto i naturalnie moi goście też.

- Widziałam policję w nocy - powiedziała panna N. Popatrzyłam na  
nią zdumiona. - Nie miałam zamiaru się wtrącać, moja droga - dodała. -  
Tak się akurat złożyło, że stałam na balkonie, kiedy przyjechali. - Zawa-  
hała się przez chwilę. - Mam nadzieję, że nie były to złe wiadomości.

- Znaleźli porsche Patricka na wielopoziomym parkingu w Marsy-  
lii.

- W Marsylii? Ciekawe, dlaczego tam?

Wzruszyłam ramionami.

- Teraz spece od medycyny sądowej badają samochód.

Oczy panny Nightingale zwięziły się w dwie szparki, ale nie powiedziała  
ani słowa, a ja nie mogłam się zdobyć na to, by powiedzieć jej, że zdaniem  
detektywa Merciera jestem główną podejrzaną.

- Jadę na targ do Saint-Tropez - powiedziałam, próbując wziąć się w  
garść. - Dokąd pani się wybiera?

- Myślę, że zrobię sobie dzisiaj wolne - odparła, kiedy wychodziłyśmy  
na zewnątrz. - Może podjadę na targ i znajdę jakiś prezent dla pani Wor-  
mesly w Blakelys Arms. Zawsze kiedy wyjeżdżam, opiekuje się moją sucz-  
ką, Małą Neli.

Spytałam, czy ją podwieźć, ale powiedziała, że weźmie swoją vespę na  
wypadek, gdyby nabrała ochoty na dalszą przejażdżkę.

Patrzyłam, jak sadowi się na siodełku, poprawia słomkowy kapelusz i  
podciąga wyżej na ramieniu torbę. Uruchomiła silnik i wyjechała na pod-  
jazd.

Na mnie czekał mój własny srebrny rydwan. Powinnam być na targu już  
pół godziny temu. Wsiadając do samochodu, przypomniałam sobie, że  
detektyw Mercier wspomniał o policjantach, którzy przeczesują srebrne  
porsche Patricka. Przeszedł mnie dreszcz. Zastanawiałam się, co mogą  
tam znaleźć.

## Rozdział 18

# Jack

Jack Farrar chodził po sobotnim targu na Place des Lices w Saint-Tropez, czując absolutną harmonię ze światem. Czarny pies węszył z zainteresowaniem, zataczając małe kółeczka wokół swego pana.

W smukłej, długonogiej i barczystej sylwetce Jacka było coś nieomylnie amerykańskiego, a wyrazista, ogorzała twarz i delikatne zmarszczki wokół oczu mówiły o sporym doświadczeniu. Była to twarz człowieka, który sporo przeżył. Ciemne włosy strzygł krótko, oczy miał koloru Morza Śródziemnego, a na starej błękitnej koszulce, pod którą rysowały się mięśnie, widniał napis REGATY RHODE ISLAND. Mijające go kobiety szukały jego wzroku i uśmiechały się zapraszająco. Jack odpowiadał im nieco krzywym uśmiechem i szedł dalej.

Pan i jego pies lubili zgiełk i zamęt francuskich targów: pies z powodu apetycznych zapachów i smacznego poczęstunków, które mogły mu się trafić, a Jack z racji cudownego sposobu, w jaki targ wczesnym rankiem wyrastał nagle z niczego, wypełniając brukowane placówki ostrym terkotem zjeżdżających się ciężarówek, a po nich brzękiem żelaznych podpórek do straganów i łopotem płótna, kiedy stoiska były już gotowe. Podjeżdżały wtedy furgonetki z rybami, a straganiarze hałaśliwie pozdrawiali się, artystycznie układając swoje towary. Jack lubił patrzeć na szkarłatne owoce kuszące aksamitem, na leżące rzędami cukinie i na małe, lśniące ziemniaki ułożone w stosach dla wybrednych francuskich gospodyń.

Zachwycał się wczesnym ciepłem słońca na odsłoniętych ramionach i gorzkawym zapachem pierwszej, parującej filiżanki kawy w Cafe des Arts, gdzie lubił smarować ciepłą bagietkę słodkim masłem, które potrafią robić tylko Francuzi, i chrupać ją z radością, obserwując życie w Saint-Tropez. Uwielbiał patrzeć na ciężko pracujących miejscowych, opalonych turystów, elegancko ubrane znakomitości i nadętych Paryżan. Poza tym na każdy kilometr kwadratowy przypadało tu więcej świetnych dziewczyn niż gdziekolwiek indziej na świecie.

W drodze na swoją filiżankę kawy Jack ostrożnie lawirował w tłumie gospodyń domowych, trzymających w rękach *swoje filets*, siatki na zakupy. Przechodził właśnie koło straganu z serem, z zachwytem wciągając ostre wonie, kiedy nagle wpadła na niego Lola LaforSt.



Cofnęła się błyskawicznie, podniosła rękę, by złapać równowagę i upuściła torby. Niedobry Pies wykazał się refleksem: pożarł cudowną roladę z sera od kóz madame Auric, zanim Lola zdążyła cokolwiek zrobić.

- Niedobry pies! - krzyknęła, tupiąc nogą ku rozbawieniu Jacka. Parsknął śmiechem.

Odpowiedzią było rozłoszczone spojrzenie piwnych oczu spod rudej grzywki.

- To wszystko przez pana!

- Tak jest. Bardzo przepraszam. - Schylił się, żeby pozbierać resztki. - Co do imienia ma pani rację, tyle że pies uważa, że ma prawo do wszystkiego, co spada na ziemię. Oczywiście odkupię ser- dodał, patrząc na psa, który z nadzieją obwąchiwał bruk. - A Niedobry Pies przeprosi. Chodź, stary, powiedz, że przepraszasz.

Czarny, kosmaty kundel spojrział na Jacka, a jego spojrzenie mówiło: czy możesz dać mi spokój? Niechętnie zwałił się na brzuch. Przewrócił się na grzbiet, z łapami do góry i patrzył błagalnie na Lolę.

- Oszust - sapnęła, niewzruszona jego sztuczką.

- No, nie może pani powiedzieć, że się nie starał.

- Owszem. Tylko że najpierw zżarł ser.

Patrząc na jej zirytowaną twarz, Jack pomyślał, że ma naprawdę sporo uroku. Wyciągnął rękę, posyłając jednocześnie Loli uśmiech, który zniewał tyle kobiet, ale tym razem nie zrobił żadnego wrażenia.

- W każdym razie, dzień dobry, pani Laforet. - Lekko uśmiechnął się przy nazwisku i Lola natychmiast wyjaśniła:

- Zanim wyszłam za mąż za Francuza, nazywałam się Lola March.

- Francuza. Aha. - Przyglądał się jej uważnie. - Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czyżbym słyszał coś w rodzaju niechęci w tym określeniu?

Lola przycisnęła do piersi siatkową torbę; nie miała zamiaru zwierzać się ze swoich problemów obcemu człowiekowi.

- Nie rozumiem, co ma pan na myśli - odpowiedziała niechętnie, ale Jack Farrar patrzył gdzieś ponad jej ramieniem.

- A może wie pani, dlaczego chodzi za panią facet, który wygląda na glinę?

- *Bonjour*, madame Laforet. - Detektyw Mercier, ignorując Jacka, przytknął niedbale dłoń do kapelusza. - Rozumiem, że nie miała pani jeszcze wiadomości od męża?

Lola najeżyła się ze złości.

- Czy chodziłabym spokojnie po targu, gdybym je miała?

- Uprzedzam, że musi pani zachować ostrożność, madame - powiedział Mercier. - Nie wolno pani nigdzie się oddalać. Musimy w każdej chwili wiedzieć, gdzie pani jest. Proszę o tym pamiętać. - I ponownie dotykając palcem runda kapelusza, wmieszał się w tłum.

- Brzmi to jak francuska wersja „zabrania się wyjeżdżać z miasta” - stwierdził Jack z uśmiechem. - W co się pani wplątała, madame Laforet?

Z przerażeniem spostrzegł, że Lola za chwilę wybuchnie płaczem. Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy i zobaczył Sugar przepychającą się w jego stronę.

Trudno było jej nie zauważyć. Miała na sobie kusy czerwony top bez ramiączek i białą spódniczkę zakrywającą tylko to, co niezbędne. Poza tym była w towarzystwie dwóch opalonych młodych ludzi, którzy wyglądali jak wycięci z katalogu mody. Jack pomyślał, że jego czas z Sugar chyba się kończy. W każdym razie na pewno nie jest to kobieta, która mogłaby pocieszać inną kobietę.

Popatrzył z zażenowaniem na Lolę, która wyglądała na załamana.

- O co tu chodzi? - spytał, załując, że w ogóle ją spotkał. W szeroko otwartych oczach było przerażenie.

- Policja uważa, że zabiłam swojego męża - powiedziała.

Kątem oka dostrzegł, jak Sugar wydyma czerwone wargi w niemym „łal”. Otoczył ramieniem Lolę, chwycił jej sznurkowe siatki i przywołał Niedobrego Psa.

- Mam pomysł - oświadczył. - Pójdziemy na kawę i brandy, a pani mi wszystko opowie.

## Rozdział 19

Jack znalazł spokojny stolik pod sykomorą w zawsze ruchliwej Cafe des Arts i usadowił Lolę na krześle plecami do reszty gości. Wezwał kelnera, zamówił *dewc̄fines* i dwie kawy, po czym poprosił jeszcze o dwa rogaliki, jako ostatnią deskę ratunku, gdyby drink ani kawa nie poprawiły Loli nastroju.

- Już lepiej. - Lola brała się w garść. - Dziękuję panu, panie Farrar.

Jack przyglądał się jej spokojnie.

- W porządku - powiedział. - Proszę mówić do mnie Jack.

- Jack. - Zdobyła się na uśmiech. Chwała Bogu, pomyślał, że nie będzie łez.

Wyczuwając jego niepokój, dodała:

- Możesz się nie obawiać, nie zamierzam się rozbeczeć.

- Płacz to nic złego. Normalna sprawa, kiedy człowiek się martwi.

- Skąd ty to wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Też różnie bywało.

- Ech - prychnęła. Jack odetchnął i uśmiechnął się; jakoś się pozbierała. - Wątpię. Tak czy inaczej, muszę być silna.

- Jasne - potwierdził, choć wcale nie był tego pewien.

- Silna. Taka właśnie jestem - powtórzyła. - To ja zajmuję się innymi. Jack postawił przed nią szklaneczkę z brandy. Popatrzyła bez przekonania.

- No, dalej, pani Laforet - powiedział zirytowany. - Nie zamierzam pani upić. Chcę, żeby wróciła pani do stanu, w którym nie rozbeczy się pani tylko dlatego, że mój pies zjadł pani ser.

- Wcale nie chodzi o ser.

- W takim razie o detektywa. Oraz Francuza, męża, którego być może pani zabiła albo nie. Zechce pani zauważyć, że zostawiam miejsce na wątpliwości.

- Wielkie dzięki. - Znów posłała mu spojrzenie i upiła jeden łyk. - Jack - dodała z sarkazmem.

Wsypał do filiżanki kopsiastą porcję cukru i wypił kawę jednym długim łykiem.

- A więc, Lolu, skoro jesteśmy teraz przyjaciółmi, opowiedz mi wszystko od początku.

- Po co? Żebyś miał pikantną historię do powtórzenia swojej dziewczynie przy kolacji? Przyjmij do wiadomości, Jack, że nie zabiłam swojego męża. Patrick po prostu zniknął.

Wzięła do ręki rogalik i ugryzła. Boże, jaka była głodna!

- W porządku, w takim razie opowiedz mi, co się stało.

Odgryzła jeszcze kęs, zastanawiając się, dlaczego ma opowiadać o sobie obcemu człowiekowi. Po czym wyznała mu całą prawdę. No, prawie całą.

- Szalałam, żeby go odnaleźć - zakończyła. - Próbowałam wszystkie go, nachodziłam tutejszą policję, wynajęłam nawet prywatnego detektywa, który mile spędzał czas w barach w Marsylii za moje pieniądze.

Skończyła już pierwszego rogalika i właśnie odgryzała spory kawał drugiego. Na stres najlepsza przekąska, pomyślał.

- Wypytywałam, oczywiście, przyjaciół Patricka - ciągnęła - a także jego przyjaciółki i miejscowych barmanów. I nic. Wygląda na to, że kiedy ktoś chce zniknąć, to po prostu znika.

- Chyba że coś mu się przytrafiło.

- Ale co? I dlaczego? Patrick nie był złym człowiekiem. Był tylko złym mężem. Oczywiście, że wiedziałam o innych kobietach. Rozmawiałam z nim o tym, powiedział, że to nie jego wina. Że dziewczyny same na niego lecą. I jeszcze jedna rzecz, Jack - dodała. - Gdybym chciała zabić Patricka, to byłoby właśnie wtedy. Ale nie zrobiłam tego. I zanim zadasz mi to pytanie, powiem ci, że owszem, chciałam go rzucić, ale nie mogłam

zostawić hotelu. To mój dom, moja mała oaza, piękne i bezpieczne miejsce w tym wielkim i niełatwym świecie.

- Policja uważa, że mogłaś go zabić. Co zamierzasz z tym zrobić?

Westchnęła głęboko.

- To bardzo proste. Muszę znaleźć Patricka, a wtedy udowodnię im, że jestem niewinna. - Zamyśliła się i po chwili dodała: - Jest jeszcze jeden powód, dla którego muszę go znaleźć. Chcę spojrzeć mu prosto w oczy i spytać go, co sobie myślał, do diabła, zostawiając mnie samą i narażając na wszystkie te zmartwienia, kłopoty i podejrzenia.

- A jeśli znajdziesz Patricka, będziesz chciała, żeby do ciebie wrócił?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie chcę. A wiesz dlaczego? Po pierwsze, jest zbyt przystojny; po drugie, zbyt seksowny; po trzecie, za bardzo francuski. - Roześmiała się. - Brzmi jak wymarzony ideał dla każdej dziewczyny, co? Kłopot polega na tym, że rozdaje te swoje wdzięki na prawo i lewo. Byle komu. Cóż - wzruszyła ramionami - tutaj, na plażach południowej Francji, rzeczywiście miał w czym wybierać. Wszystko tu kusi, a sięgnąć można równie łatwo jak po lody w upalny dzień.

- I tak samo to traktował.

- No, to już stary seksistowski mit. - Znów parsknęła. - Proszę to powiedzieć wzgardzonej kobiecie, panie Farrar, a dopiero pan zobaczy, co to znaczy mieć kłopoty.

- A jeżeli znajdziesz go tylko po to, by go pochować? - spytał. Patrzyła na niego przerażona i niezdolna wydusić z siebie słowa. - Przypuszczam, że naprawdę go kochałaś - dodał miękko.

- Och, oczywiście, że go kochałam. Na początku go kochałam. Wierzyłam we wszystko, co mówił. Ale wiesz co? Nawet teraz, po sześciu latach, wciąż nie wiem, kim naprawdę jest Patrick. Sądzę, że tak naprawdę nigdy go nie znałam.

## Rozdział 20

### Lola

**M**ollie Nightingale szła w naszą stronę, w słomkowym kapeluszu zsuniętym na oczy i z torebką przyciśniętą do piersi w obronie przed ewentualnym bandytą.

Popatrzyła uważnie na moją zmieszaną twarz i rzuciła surowe spojrzenie Jackowi.

- Ta młoda kobieta ma wystarczająco dużo własnych kłopotów, więc niech pan jej nie zawraca głowy - powiedziała.

- Jest pani w błędzie, madame. Pełnię rolę ratownika.

- To policja mnie zdenerwowała - wtrąciłam szybko, stając w jego obronie. - Przyjechałam na zakupy, upuściłam torbę i Niedobry Pies zjadł mój ser, a potem detektyw Mercier zapowiedział, że nie wolno mi wyjeżdżać z miasta. Powiedziałam Jackowi, że zdaniem detektywa to ja zabiłam Patricka, a on postawił mi kawę i brandy, a teraz zjadłam oba rogaliki i opowiedziałam mu wszystko o zniknięciu Patricka, a przynajmniej wszystko, co wiem na ten temat i... i właściwie nie wiem, co robić. Poza tym, że muszę znaleźć mojego męża, by im udowodnić, że go nie zabiłam. - Wszystko to powiedziałam jednym tchem.

Panna N. zwróciła się do kelnera.

- Trzy kawy z ekspresu proszę, podwójne. - A potem dodała do nas: - Oczywiście, w Anglii zamówiłabym porządną filiżankę herbaty. Nic le piej nie pomaga w rozwiązywaniu problemów.

Jack patrzył rozbawiony, ale wyciągnął do niej rękę.

- Nazywam się Jack Farrar - powiedział.

- Mollie Nightingale. Była przełożona szkoły Królowej Wilhelminy, najlepszego w Londynie zakładu dla dziewcząt. - Łyknęła kawy i zmusiła mnie do tego samego. Przyglądała się Jackowi sponad krawędzi filiżanki.

- A czym się pan zajmuje, panie Farrar?

Uśmiechnął się.

- Chyba w Anglii takie pytanie uważa się za nietaktowne?

- Możliwe, ale rozumie pan, że muszę wiedzieć, kim pan jest i co pan robi.

Jack już stał.

- Szczerze mówiąc, panno Nightingale, nie interesuje mnie ani Patrick, ani jego zniknięcie i w ogóle nic poza tym, że mój pies pożarł ser jego żony. A ponieważ moja rola w tej całej sprawie się skończyła, z przyjemnością udam się w swoją stronę.

- Nie tak szybko! - Panna Nightingale władczy gestem kazała mu usiąść. Nikt zapewne nie potraktował tak Jacka od czasu, gdy miał dziesięć lat i został wezwany przed oblicze dyrektora za wyrzucie swoich inicjałów na pulpicie.

Panna N. poprawiła okulary na nosie, by lepiej mu się przyjrzeć. Efekt oględzin ją zadowolił, kiwnęła więc głową, pociągnęła kolejny łyk kawy i stwierdziła:

- Lola ma poważne kłopoty i potrzebuje pomocy. Panie Farrar, być może wyglądam na zwykłą starszą panią, ale powinien pan wiedzieć, że

byłam żoną detektywa ze Scotland Yardu. - Posłała mu przeszywające spojrzenie. - Mój Tom był silnym człowiekiem, a także niebezpiecznym, bo nie myślał o własnym bezpieczeństwie. Często opowiadał mi o sposobie myślenia zbrodniarzy; miał swoje teorie na ten temat. Umysły wszystkich kryminalistów funkcjonują podobnie, a większość z nich wcale nie jest taka sprytna. W każdym razie pomogłam Tomowi rozwiązać kilka spraw, oczywiście pozostając w cieniu, bo żaden mężczyzna by nie zniósł, gdyby żona okazała się bystrzejsza od niego, prawda?

Jasne, niebieskie oczy za wielkimi okularami patrzyły tak niewinnie, że oboje z Jackiem wybuchnęliśmy śmiechem.

- Tak czy inaczej - ciągnęła panna N. - przyrzekam Loli *pomoc*, bo mam doświadczenie w sprawach kryminalnych. Bez względu na to, co stało się z Patrickiem, musimy odkryć prawdę. Jeżeli uciekł z inną kobietą, radzę ci, Lolu, pozbądź się go. A jeżeli stało się... to najgorsze - wyraziła to delikatnie - musimy wykryć, kto to zrobił.

To było cudowne: mieć kogoś po swojej stronie, kogoś, kto we mnie wierzy i chce mi pomóc. Pochyliłam się i objęłam dłońmi jej rękę.

- Dziękuję. Jeszcze raz dziękuję - powiedziałam, a panna N. uśmiechnęła się i uspokajająco poklepała mnie po dłoni.

- No, no, mała - powiedziała zapewne tak samo, jak tysiące razy, kiedy pocieszała zrozpaczone uczennice. - Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Jack Farrar patrzył na nas, najwyraźniej zastanawiając się, jak się z tego wyplątać.

Do dziś nie wiem, dlaczego powiedział to, co powiedział, ale tak właśnie się stało.

- Okej. Musimy więc znaleźć Patricka. Wchodzę w to.

## Rozdział 21

Jack odprowadził mnie do auta. Prawie nie otwierałam ust po drodze; byłam zmęczona i czułam, że wyszło ze mnie powietrze. Mój przedziewiały cv2 wyglądał, jakby pod brzemieniem łąt i zbyt ciężkiej pracy lada chwila miał wyzionąć ducha. Pokrywała go gruba warstwa kurzu - od ostatniego mycia minęły już tygodnie. Niedobry Pies okrążył auto, a potem z pogardą uniósł nogę przy tylnym kole. Zmarszczyłam czoło i spojrzałam na Jacka. - Hm. - Raz jeszcze popatrzył na samochód.

- Pracuje dla mnie - burknęłam. Całą postawą demonstrowałam irytację..
- Wygląda, jakby robił to od bardzo dawna. - Lekko stuknął pięścią w maskę. - Cholernie pracowite autko. Sam nigdy takiego nie miałem.
- No to nie wiesz, co straciłeś, ale w twoich kręgach szpanuje się pewnie w srebrnych kabrioletach bmw albo w czerwonych ferrari.

- Od razu widać, jak się znasz na „moich kręgach”. Powinnaś wiedzieć, że uogólnienia bywają niebezpieczne.

Otworzył drzwiczki. Skrzypnęły. Kiedy uruchomiłam silnik, auto zaczęło dygotać jak stara, spracowana kobyła. Opuściłam szybę.

- No to czym właściwie jeździsz?
- Na pewno nie bmw ani ferrari.
- Czerwoną corvette?
- Tylko kolor się zgadza. Terenowy ford F350 pikap z napędem na cztery koła. Nie tylko ty potrzebujesz auta do pracy. Ja też muszę sporo wozić, choć nie są to zakupy z targu, lecz materiały do budowy łodzi.

Zniecierpliwiona odgarnęłam włosy i przycisnęłam je odsuniętymi do góry okularami przeciwsłonecznymi; zapewne w moich rudych lokach Jack Farrar nie dopatrzył się piękna. Wyglądałam beznadziejnie. Zatrzasnął za mną drzwiczki. Zamek był obłuzowany i podobnie jak wszystko w tym aucie, tłukł się podczas jazdy.

- Jesteś pewna, że to się nie rozpadnie?
- Skoro wytrzymał przez prawie siedem lat, dlaczego miałby rozpaść się akurat teraz?
- Typowo kobiece rozumowanie.
- Typowo męska odpowiedź - westchnęłam z irytacją, która go najwyraźniej rozbawiła.
- Jeździsz na randki tym pikapem? - spytałam.
- Czasem. Ale mam jeszcze porsche.
- Ha! - prychnęłam z triumfem. - Wiedziałam!
- Ale to stary model, do szybkiej jazdy. W głębi duszy jestem piratem drogowym.

Zsunęłam okulary na nos i wychyliłam się przez okno, patrząc w górę, na jego twarz.

- Nie wiem, po co to wszystko robisz - nagle spokorniałam - ale... dziękuję.
- Prawdę mówiąc, ja też nie wiem. - Uśmiechnął się do mnie. - Chyba ma to jakiś związek z tobą.

Wycofałam się z zatoczki parkingowej, zawróciłam na ciasnej uliczce i odjechałam, pobrzękując na nierównościach. W lusterku widziałam, że pomachał mi ręką.

## Rozdział 2 2

### Jack

Hej, Jack - powiedziała Sugar - o co chodzi z tą bidułą? - Próbuję wyciągnąć ją z tarapatów gorszych, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Szli z Sugar pod rękę w stronę Quai Jean Jaures, a za nimi dreptał Niedobry Pies, węsząc skarby porzucone wśród targowiskowych odpadków. Ciało Sugar było gładkie, chłodne i świeże, jakby niedawno wyszła z morza. Co zresztą było prawdą, bo rano pływali razem w pobliżu łodzi.

- Masz już ochotę zejść na ląd? - zapytał, gdy siedzieli nad ziołowym omletem w Le Gorille. Pomaganie Loli w rozwiązywaniu jej problemów zaostriżyło Jackowi apetyt; poczuł nagle, że zgłodniał. Poza tym ta zestrewowana kobieta pochłonęła wszystkie rogaliki.

Sugar podniosła na niego swe błękitne oczy. Poprawiła skąpy czerwony top i skrzyżowała długie, opalone nogi. ~ Właśnie się nad tym zastanawiam - powiedziała obojętnie.

- Świetny moment, Sugar - powiedział.

Odpowiedziała białym, szerokim uśmiechem.

- Super. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi.

Wyciągnął do niej rękę ponad stolikiem.

- Jasne. Było cudownie, prawda?

- Bardzo fajnie - przytaknęła. - Bardzo.

Dojadł omlet i poprosił kelnera o rachunek.

- Chodź, wrócimy na łódź. Zabierzesz swoje rzeczy i odwiozę cię, gdzie tylko zechcesz.

Oczy jej błysnęły. Patrzyła ponad jego głową na idących w ich stronę opalonych na brąz młodych ludzi.

- Dzięki - powiedziała - ale nie trzeba. Chłopcy mi pomogą.

Wstał i mocno ją przytulił, a Niedobry Pies wspinał się na nich łapami i rozszczękał się z zazdrości.

- Uważaj na siebie, Sugar - powiedział Jack.

- Trzymaj się. Na razie - rzuciła mu, idąc do chłopaków.

Patrzył, jak odchodzą. Sugar w środku, objęta z obu stron muskularnymi ramionami chłopców. Baw się dobrze, Sugar, pomyślał, raz tylko jest się młodym.



Wrócił myślami do sprawy Loli Laforet, porzuconej przez męża nieszczęsnicy z oczami Bambi, nad której rudą głową zawisło oskarżenie o morderstwo. Po co on właściwie się tym zainteresował? I co tu można zrobić?

Spojrzał na Niedobrego Psa siedzącego wiernie przy nodze i czekającego na ciąg dalszy. Jego chyba nie ma sensu pytać, pomyślał Jack, drapiąc rozczochrany psi łeb. Trzeba samemu coś wymyślić.

## Rozdział 23

### Panna N.

Młody człowieku! Panna Nightingale, w nasuniętym głęboko na Moczy słomkowym kapeluszu, zdecydowanym głosem natarła na Jacka. Kapelusz przewiązała pod brodą zieloną wstążką, której odcień nie pasował do zieleni stroju w stylu safari, podobnie jak nie pasowały do niej sandały, jakie angielskie starsze panie nosiły na wakacjach: płaskie, beżowe, zawiązane powyżej kostki. Nadawały się do spacerów po nadmorskich promenadach lub, jak w tym przypadku, do dreptania po wykładanych kocimi łbami targowiskach albo do jazdy po piaszczystych drózkach na południu Francji.

- Młody człowieku! - zawołała ponownie.

Jack dotknął palcem klatki piersiowej.

- Ja?

- Oczywiście, pan. - Była trochę zasapana i brakowało jej tchu.

Roześmiał się.

- Już dawno nie nazywano mnie młodym człowiekiem.

Panna N. poprawiła okulary na swym wyrazistym nosie. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- W miarę młody. Ile właściwie ma pan lat?

- Panno Nightingale - westchnął Jack. - Pani zawsze jest tak obcesowa?

- Obcesowa?

- No, czy zawsze zaczepia pani obcych ludzi, pyta, z czego żyją, skąd przyjechali i ile mają lat? Następnym razem zapyta mnie pani o stan konta.

- Akurat to mnie nie obchodzi. Ważniejszy dla mnie jest los Loli.

- A właściwie dlaczego ją podejrzewają? Mówi się o tym wszystkim tak, jakby już-już mieli ją zatrzymać za zamordowanie męża.

- Jeszcze nie ma o czym mówić. Ciała nie znaleziono.
- Jeszcze nie znaleziono.

Stali, przyglądając się okazałym, połyskującym mosiądzem jachtom i urodziwym, opalonym ludziom, ubranym w złoto i kosztowną biżuterię.

Jack wsunął ręce do kieszeni swych starych spodni.

- Oto Saint-Tropez latem - powiedział. - Wspaniałe kobiety i mężczyźni. Za dużo pieniędzy i jachty, których nikt nie kocha. Zresztą w większości są z wypożyczalni. Nikogo nie interesuje, kto je zbudował i na co je stać - mają być tylko duże i drogie. Widać to gołym okiem w tej marinie.

Panna Nightingale też wsunęła ręce do kieszeni. Pomyślała, że dobrze to ujął.

- I dlatego zakotwiczył pan swój słup w zatoczce przy hotelu Riwieria?
- A pani myślała, że nie stać mnie na cumowanie obok tej ekstraklasy?

A może po prostu bardziej mi się tam podoba?

- Otóż właśnie tak myślałam. I myślę jeszcze, że powinniśmy szczerze porozmawiać, panie Farrar. Należy pan do tych ludzi, którzy lubią nazywać rzeczy po imieniu.

Popatrzyła mu prosto w twarz. Doceniła go tak samo, jak on ją docenił.

- Ma pan sympatyczne oczy - powiedziała. - Mój Tom też miał niebieskie, ale u niego to był nordycki błękit. Zimne, prawdę mówiąc; niektórzy mówili, że pasowały do jego osobowości. Nigdy nie był zimny w stosunku do mnie, ale tylko ja znałam prawdziwego Toma. To był nieśmiały czło-wiek, odludek. Unikał ludzi. Nie należał do takich, co lubią pogadać przy piwie, no, oczywiście, z wyjątkiem spraw zawodowych. Choć pan akurat nie wygląda na nieśmiałego, Jack - dorzuciła. - Zachowuje pan tylko pewnego rodzaju rezerwę, typową dla ludzi z Nowej Anglii. Ale nie mam nic przeciwko temu, że chce mnie pan sprawdzić. Dobrze jest wiedzieć, z kim się ma do czynienia, zwłaszcza w takich sytuacjach.

- A kim jest pani naprawdę, panno Nightingale? - Jack się uśmiechnął. Panna N. pomyślała, że dla większości kobiet jego uśmiech byłby wyjątkowo niebezpieczny.

Zapytał, czy miałyby ochotę na przejażdżkę łodzią, potem przeprosił, że nazywa ją panną N., ale słyszał, że tak zwraca się do niej Lola.

- W jakiś sposób to do pani pasuje - dodał. - Jak u Agaty Christie. Wszyscy czekają w bibliotece, żeby się dowiedzieć, czy to lokaj zabił.

Zachwycona panna N. ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu.

- Właśnie coś takiego mówił mój Tom. Nazywał mnie współczesną panną Marple. Miał na myśli tę z książek. Oczywiście przesadzał, ale zawsze byłam wścibska. Ta cecha akurat może się przydać przy tej sprawie. To zdu-miewające, jak chętnie ludzie opowiadają: sąsiedzi, przyjaciele, barmani.

- Ale nie w sprawie Loli. Wygląda na to, że nikt tu nie ma ochoty mówić, a jeśli nawet ktoś coś wie, to się z tym nie zdradzi. Wracając do sprawy - proponuję przejażdżkę po porcie. Co pani na to? Trzeba tylko przejść kawałek, bo moja dinghy jest zacumowana tam, na samym końcu. Nie chciałem zostawiać jej tutaj, w takim towarzystwie.

Panna N. zaufała swej intuicji. Rzeczywiście, Jack Farrar prezentował się zdecydowanie lepiej, niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka. Oczywiście, wciąż miała pewne wątpliwości, bo widziała, jak ścisnął tę seksowną blondynkę - niewiele brakowało, a wydusiłby ją gołą z tego czerwonego topu.

- Co to za blondynka? - zapytała ze swym wystudiowanym uśmiechem angielskiej królowej. - Pańska dziewczyna?

Jack popatrzył na nią ze zdumieniem i jęknął.

- Prawdę mówiąc, Sugar to już eks-sympatia, choć sprawa rzeczywiście jest całkiem świeża.

- Sprzed dziesięciu minut w Le Gorille? Wcale mi to nie wyglądało na pożegnalny uścisk.

- A co dokładnie pani wie o pożegnalnych uściskach?

Zaczynała go irytować, więc panna N. nie ciągnęła tego tematu, choć było to istotne. Skoro Jack Farrar chciał zbliżyć się do Loli, należało go najpierw sprawdzić. W życiorysie Loli nie było już miejsca na kolejne „pomyłki”.

- Przyłapał mnie pan, młody człowieku - powiedziała. - Rzeczywiście niewiele wiem o pożegnalnych uściskach przy rozstaniu, bo nigdy tego nie zazałam. Nie chodziłam z chłopakami, proszę sobie wyobrazić. Tom był moim pierwszym i jedynym mężczyzną.

Samo imię Toma przywołało obrazy z przeszłości. Przypomniała sobie, jak po kolacji siadywali w ogródku przy domu, patrząc na zachód słońca. W takie wieczory Tom był wreszcie zrelaksowany i spokojny. Zdejmowali buty, skarpetki i rozkoszowali się dotykiem trawy. Tom powiedział kiedyś, a zabrzmiało to bardzo romantycznie jak na niego, że w ten sposób potwierdza swoją jedność z ziemią, a przynajmniej czuje się jej częścią. Roześmiała się, patrząc na jego ogromne stopy, numer 46. „Prawdziwe nogi policjanta” żartowała, a on odpowiadał śmiechem. Włożył pulower, który zrobiła mu na drutach. Był to jego ulubiony sweter, który chronił go, jak mówił, przed tym cholernym północnym wiatrem.

- Ten wiatr zabije tulipany, a któregoś dnia i mnie - powiedział pewnego chłodnego wiosennego wieczoru.

- Nie mów tak, Tom! - krzyknęła zaniepokojona, nie mogąc znieść myśli o jego śmierci.

Szybko pocałował ją w policzek.

- Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz, najdroższa Mollie, ale żaden zimny wiatr nie da mi rady, póki będziesz mi robić pulowery i grzać mnie w łóżku. - Puścił do niej oko i zapytał z uśmiechem: - Co ty na to, mała?  
- Wskazał kciukiem na wąskie schody prowadzące do ich sypialni.

Chyba musiała wtedy zrobić się czerwona jak burak, bo zawsze była nieśmiała, kiedy chodziło o „te rzeczy”. Tak bardzo nieśmiała, jak to Jackowi Farrarowi i jego olśniewającej przyjaciółce na pewno nie zdarzyło się nigdy w życiu.

A jednak Tom nauczył ją pewnych rzeczy o seksie i miłości. To co wiedziała o seksie, nieraz pomagało jej w rozwiązywaniu „detektywistycznych” zadań. Zdawała sobie sprawę, jak to przeżywają mężczyźni, co naprawdę myślą o seksie i kobietach, i jak często nie ma to nic wspólnego z miłością.

Seks to seks. Tom mówił, że właśnie on stanowi główną siłę popychającą do zbrodni. Żaden inny motyw nie może mu dorównać, nawet pieniądze. I o tym wszystkim musiała porozmawiać z Jackiem.

- Więc co pani na to, panno N.? - nalegał Jack. Była przez chwilę nieobecna myślami i nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi. - Popływamy po zatoce? - zapytał.

- Och. Oczywiście, chętnie - odpowiedziała z uśmiechem, raczej figlarnym, bo w myślach była jeszcze gdzie indziej, z Tomem w łóżku. - Nie jestem z chińskiej porcelany - upomniała Jacka, gdy zbyt troskliwie pomagał jej wejść do dinghy. Nie znosiła, kiedy uważano ją za starą, bo w środku wciąż czuła się młoda.

- Przepraszam - usprawiedliwił się. A potem dodał z irytacją: - Od samego rana dzisiaj kogoś przepaszam. Albo panią, albo Lolę. Bez przerwy.

Zaraz po wypłynięciu z mariny przyspieszył. Panna N. wpatrywała się w czystą turkusową wodę i rozkoszowała się chłodnymi kroplami padającymi jej na ramię. Przez wszystkie te lata, kiedy przyjeżdżała na Lazurowe Wybrzeże, ani razu nie była na morzu - oglądała je tylko z brzegu. Była zachwycona.

Przekrzykując hałas małego silnika, zawołała:

- No więc ile właściwie ma pan lat, panie Farrar?!

- Do jasnej cholery! - zabrzmiało to prawie tak samo jak angielszczyzna Toma. - Czy pani zawsze tak się czegoś potrafi uczyć?

- Mój mąż uważał to za jedną z moich najlepszych cech. - Pomyślała, że Farrar jest rzeczywiście przystojnym mężczyzną, szczególnie gdy się śmieje.

Dopłynęli już do słupa i Jack wyłączył silnik, pozwalając dinghy dryfować za rufą. Chwycił linę zanurzoną w wodzie, podciągnął łódeczkę do burty i przywiązał ją solidnym żeglarskim węzłem. Panna N. miała nadzieję, że się nie urwie.

- Mam czterdzieści dwa lata, panno N. - powiedział, wspinając się na pokład. - Jestem dość młody.

- Dość młody do czego? - zapytała niewinnie.

Parsknął śmiechem, z rozbawienia odrzucając do tyłu głowę. Pomógł jej wspiąć się na pokład.

- Coś mi się wydaje, że jest z pani niezły numer. A jeśli już mam odpowiedzieć, dość młody na seks, miłość i rock'n'rolla. W tej kolejności.

- No cóż, wolałabym, żeby pan zmienił kolejność tych dwóch pierwszych pozycji, ale dobrze chociaż, że jest na tej liście miłość. - Siedziała na zwoju liny z podwiniętymi nogami. Poprawiła okulary na nosie, wyprostowała przekrzywiony kapelusz i przyjęła propozycję Jacka, który chciał ją poczęstować czymś chłodnym. - Może być lemoniada - uznała.

- Nie mam lemoniady. Może być cola, sok pomarańczowy albo woda,

- Poproszę wodę, bardzo chętnie.

Była zadowolona, że nalał jej do szklanki, zamiast podać butelkę, jak przeważnie robi się dzisiaj. Nie lekcewaźcie uprzejmości w zachowaniu ani dobrych manier, uczyła zawsze panienki w Szkole Królowej Wilhelminy. To one ułatwiają nasze codzienne kontakty i czynią nas ludźmi kulturalnymi.

- A teraz wracajmy do Loli - zmieniła temat. - A właściwie do Patricka. - Bystro spojrzała na Jacka. - Jak pan myśli, co mogło się z nim stać? Uciekł z jakąś kobietą? Może ma problemy finansowe? Albo nie żyje?

- Według mnie odpowiedź jest jedna - odparł Jack. - Nie żyje. Czuję to przez skórę.

- No właśnie. Mnie się też tak zdaje. A przecucia zwykle mnie nie zawodzą. Ale w tym miejscu, mój drogi, stajemy przed pytaniem, czy Patrick został zamordowany. I czy zrobiła to Lola.

Jack połknął spory łyk mrożonej Stella Artois.

- Myśli pani, że mogła to zrobić?

- Jasne, że nie. Musiał to być ktoś z zewnątrz, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć poszukiwania Patricka albo jego zabójcy. Po pierwsze, musi być jakiś motyw. To z całą pewnością nie była zbrodnia pod wpływem impulsu, jest na to zbyt przemyślana, a ciało ukryto bardzo starannie. Policja po sześciu miesiącach znalazła jedynie samochód, a to mi nasuwa myśl, że wstawiono go do tego garażu niedawno. Jeszcze nie słyszałam, żeby jakieś srebrne porsche stało przez pół roku niezauważone w publicznym miejscu. Mam rację?

Jack przytaknął.

- Oczywiście, znałam Patricka - dodała. - Przyjeżdżam do tego hotelu, od kiedy istnieje. Patrick kręcił się tu i tam, ciągle wyjeżdżał i przyjeżdżał. Przystojny gość, trochę czaruś, babiarcz. Był zakochany w tym samochodzie

tak samo jak w sobie. Porsche było jego wizerunkiem, robiło z niego kogoś ważnego. Bez tego samochodu nie było Patricka.

- A więc tak: znika samochód, potem znika Patrick. Znow pojawia się samochód... i co dalej?

Panna N. podniosła oczy i spojrzała na niego przez swoje okulary.

- A co pan o tym myśli?

Jack patrzył ponad błękitną, połyskującą wodą w stronę hotelu Riwier. Takie piękne i spokojne miejsce. Można się tutaj uwolnić od codziennych trosk, zostawiając to wszystko na głowie rudowłosej Loli.

- Myślę, że Loli może coś grozić - powiedział cicho. - To też czuję przez skórę.

Panna N. kiwnęła głową.

- Obawiam się, że ma pan rację - westchnęła. Jednocześnie pomyślała, że byłoby dobrze, gdyby Lola miała przy sobie jakiegoś mężczyznę. Zwłaszcza takiego jak Jack Farrar. - Trudno wyobrazić sobie lepszego ochroniarza dla tej dziewczyny - powiedziała niby do siebie.

Jack uniósł brwi.

- Mówi pani o mnie?

- A niby o kim? - Roześmiała się. - I dziękuję za gotowość - dodała. Poczul się kompletnie skołowany. Właśnie obciążono go odpowiedzialnością za bezpieczeństwo Loli Laforet.

## Rozdział 24

### Lola

Panna N. umówiła się z Jackiem Farrarem na „konferencję” przy drinku, w hotelu, o wpół do siódmej, a ja bałam się spojrzeć na tykający zegar, który cierpliwie liczył mijające minuty. Wiedziałam, że niedługo będę musiała stanąć twarzą w twarz z nieciekawą rzeczywistością.

Zrezygnowana włączyłam się po kuchni. Nadine rzuciła na mnie okiem i spytała po francusku:

- [ co, od tej pory już będziemy się wiecznie martwić? Nie jest to szczególnie twarzowe zajęcie.

- Głowa mnie boli - burknęłam. Nadine zwilżyła ściereczkę lodową wodą, wykręciła, a potem posadziła mnie na krześle i przyłożyła okład do czoła. Był tak cholernie zimny, że wrzasnęłam. Roześmiała się.

- Weź się w garść, Lolu - powiedziała. - To nie najlepszy moment, żeby się rozklejać. Musimy zrobić kolację. A poza tym - dodała sucho - Patrick nie jest wart tego zamartwiania.

Raz jeszcze rozładowałam napięcie w kuchennej krzątaninie. Pochłonęła mnie bez reszty gorączka przygotowań. Tłuczkiem w moździerzu prze-rabiałam moją opinię o detektywie Mercier na tapenadę - mieszaninę oliwek, *anchovies*, tuńczyka, kaparów i oliwy, którą zamierzałam później podać do drinków. Potem wsunęłam do niezbyt gorącego pieca pokrojone rzymskie pomidory, przyprawione czosnkiem i odrobiną tymianku, z solą i pieprzem, żeby zmiękły i nabrały słodczy, zanim ułożę je na plasterkach *focaccia*, podpieczonej pizzy chlebowej.

Marit starannie czyściła rybę Saint-Pierre, którą miałam obsmażyć z odrobiną masła i podać z aromatycznym sosem przyprawionym winem i świeżymi ziołami. I zanim zdążycie zapytać, odpowiem: tak, podobnie jak większość francuskich kucharzy, używam śmietany i masła. Goście hotelu Riwiera muszą pozbyć się na jakiś czas miejskich uprzedzeń i po prostu się delektować. W ciągu paru tygodni na pewno nie przybędzie nikomu od tego kilogramów. A poza tym od czego są wakacje?

Jean-Paul, który wreszcie zaczął ruszać się szybciej, czyścił owoce i warzywa przyniesione rankiem przez miejscowego maraichera, dostawcę warzyw na targ. Były tam drobne marchewki z maleńkimi kępkami zieleni, białe, chrupiące rzodkiewki, młodziutkie kalafioro o barwie śmietany, cukinie wielkości mojego małego palca i malutkie, kruche strączki fasoli. Na mojego pomocnika czekały stos zieleniny i składniki potrzebne do winegretu: oliwa z oliwek od monsieur Alziariego z Nicei - moim zdaniem po prostu najlepsza, ocet winny z Rheims, musztarda z Dijon; morska sól i ziarenka pieprzu z Maroka - uwielbiam ich aromat podczas kruszenia. Dodaj do tego ząbek naszego miejscowego, czerwonego czosnku i szczyptę cukru do smaku. Ucieraj to wszystko, aż otrzymasz sos o konsystencji emulsji, a sałata będzie znakomita.

Musiałam pracować bez przerwy; nie mogłam pozwolić sobie na żadne myśli o Patricku. Wsunęłam płytę CD Barry'ego White'a i nastawiłam głośniej odtwarzacz. Złapałam nóż i wykroiłam kawał mięsa z nogi jagnięcia, a potem zabrałam się do przygotowania deseru.

Specjalnością wieczoru miały być dzisiaj *clafoutis*, najłatwiejszy i najsmaczniejszy rodzaj puddingu: zwykle ciasto naleśnikowe z dodatkiem wiśni albo innych owoców namoczonych w wiśniówce i ułożonych na dnie naczynia do zapiekania, na nim warstwa piany z cukrem, a na wierzchu znów warstwa ciasta. Na to trochę wiórków masła i znów cukier. To wszystko piecze się w piekarniku nastawionym na dwieście stopni przez około

dwadzieścia pięć minut. Najlepiej podawać na gorąco, gdy ciasto ma smak kremu, a wiśnie pękają w ustach jak smakowite kulki.

Wyszłam przed dom i narwalam fig. Były dojrzałe i słodkie. Podałam je z odrobiną malinowego sorbetu i kropelką nalewki z malin.

Kręciłam się po kuchni, układając czekoladowe ciasteczka w piramidki, przecierając kafelki i doglądając potraw. W końcu wyszłam na taras, żeby odetchnąć.

Spacerowałam z rękami założonymi na piersiach, ze zwieszoną głową i spuszczonego wzrokiem. Po chwili kątem oka zaczęłam rejestrować widoki. Słup kołysał się delikatnie na kotwicy, ale na pokładzie nie było nikogo. Wyobraziłam sobie Nagiego Mężczyznę i jego fantastyczną blondynkę podczas wspólnej sjeisty i poczułam ukłucie zazdrości. Prawdę mówiąc, nie miałam do niej prawa. Prawie nie znałam tego człowieka - po prostu pozazdrościłam mu beztroskiego życia i tyle.

Usłyszałam znajome gdakanie, gdy Beza wyłoniła się zza rogu i poczępała w moją stronę. Wzięłam ją na ręce, całowałam jedwabiste piórka, a ona śpiewała mi w ucho jakąś kurczakową piosenkę.

- Kocham cię, ty śmieszny stworze - powiedziałam, przyglądając pióra zmierzwiłone od moich pocałunków. Znowu spojrzała na mnie spode łba, jak to robią kurczaki, a ja nie wiadomo który już raz zadałam sobie pytanie, czy nie przesadzam, dopatrując się w tym spojrzeniu wyznania: „Ja też cię kocham”.

Nad tarasem płynął głęboki głos Barry'ego White'a. To musi być seksowny facet, pomyślałam. Byłam ciekawa, czy Jack Farrar słyszy, jak Barry śpiewa o miłości i obiecuje, że „nigdy cię nie opuszczę, mała”. Ach, co za gość, westchnęłam, a w tym samym momencie zjawiała się na tarasie moja słodka parka nowożeńców.

- Jakież kłopoty, Lolu? - spytał pan Żonkoś.

- Wiemy, co się dzieje - dodała współczująco jego pani. - Wszyscy wiedzą. Po prostu nie chcieliśmy o tym wspominać, ale widzę, że jesteś zdenerwowana. Czy masz Jak by to powiedzieć... jakieś niedobre wiadomości?

- Ale nie te, o których myślicie - odparłam. - Po prostu ogólnie nie najlepsze.

Pan Żonkoś mocno objął mnie ramieniem.

- Lolu, *mój* tata jest adwokatem. Ma partnerów w Paryżu i w Awinionie. Mnóstwo Brytyjczyków kupiło sobie nieruchomości we Francji i wciąż mają jakieś kłopoty, więc musiał poznać tutejsze stosunki. Jeśli potrzebujesz po mocy prawnej, to już ją masz.

Byli tacy zatroskani i gotowi do pomocy. Dziękując im, pomyślałam - już po raz drugi dzisiaj - jakie to szczęście, że mam przyjaciół. I nagle przypomniałam sobie:



- Przecież mieliście dzisiaj wracać do domu?
- Rzeczywiście, ale tak nam się tu podoba, że postanowiliśmy zostać jeszcze tydzień - wyjaśnił pan Żonkoś. - Nadine powiedziała, że nie ma problemu i możemy nadal mieszkać w tym samym pokoju. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - dodał.
- Przeciwno? Skądże, to cudowne - powiedziałam. - Trzeba to oblać szampanem. Zaraz przyślę Jean-Paula.

Wróciłam szybko do kuchni. Wszystko było nieskazitelnie czyste i lśniące, niczego nie brakowało, a każda rzecz stała na swoim miejscu. Inaczej było w moim wiecznie zagraconym domku, do którego właśnie się wybierałam. Stały w nim upchane w dzbankach bukiety kwiatów, a w palenisku leżały gałązki i liście, które zbierałam podczas spacerów. W sypialni unosił się zapach rozlanych perfum, a wczorajsze ubranie leżało tam, gdzie je porzuciłam. Pod łóżkiem poniewierała się para sandałów, zasłony ze złotym lamowaniem wisiały krzywo, a ze świec o zapachu gardenii zostały tylko ogarki. Westchnęłam ze smutkiem. Oto metafora mojego życia: hotel i kuchnia - po prostu ideał. Mój domek, moje prywatne sprawy - bałagan i dno.

Powiedziałam sobie stanowczo, że pora wziąć się w garść. Trzeba skrócić włosy, zrobić pedikur, kupić jakieś nowe sukienki. Ale zaraz znalazłam starą wymówkę: jestem zbyt zajęta, teraz nie mam na to czasu.

Stałam pod prysznicem, podstawiając twarz pod zimną wodę, która zmywała ze mnie niepokój i lęk. Myślałam, że jest to chyba najdziwniejszy dzień w moim życiu. Jednak szybko miało się okazać, że może być jeszcze dziwniej.

## Rozdział 25

Było wczesne popołudnie. Naciągnęłam czarny trykot i bez entuzjazmu wykonałam parę ćwiczeń, daremnie chcąc uporządkować myśli. Miałam wrażenie, że słyszę, jak skrzypi mój kręgosłup. To przez brak ćwiczeń, pomyślałam zrozpaczona; poza tym chyba w ogóle nie mam kręgosłupa. A jednak coś słyszałam. Ktoś szedł ścieżką, kroki były lekkie. Otarłam ręcznikiem pot z czoła i odważnie wyszłam na spotkanie.

Nigdy nie widziałam kobiety, która stała przed gankiem, za to ona знаła mnie dobrze.

- Lolu - powiedziała z uśmiechem. - W końcu się spotykamy.
- Naprawdę? My? - wyrwało mi się.

Była dobrze po czterdziestce, piękna, drobna, z efektownymi zaokrągleniami, a jednak smukła; miała długie, ciemne włosy i wąskie, turkusowe oczy. Pomyślałam, że tak piękne oczy nie mogą być prawdziwe - na pewno nosi szkła kontaktowe.

- Chyba mogę mówić ci po imieniu, prawda? Wydaje mi się, jakbym cię znała od dawna.

- A znasz?

- Przez Patricka - powiedziała. - To mój stary przyjaciel.

Zastanawiając się, czemu zaakcentowała wyraz „przyjaciel”, zaprosiłam ją do środka. Nie miałam wyboru; najwyraźniej przyszła do mnie z wizytą.

- Przepraszam za bałagan - powiedziałam, poprawiając poduszki i wskazując jej najlepszy fotel.

- Dziękuję.

Miała tak uroczy francuski akcent, że trudno było jej się oprzeć. Nawet „dziękuję” zabrzmiało miękko i zmysłowo. Och, Patrick, jeszcze jedna, pomyślałam z bijącym sercem. Zapytałam, czego się napije. Mrożonej herbaty, coli bez cukru, wody? Popołudnie było upalne.

- Mrożona herbata, cudownie! - Uważnie taksowała mnie spojrzeniem spoza rzęs. - Przede wszystkim muszę się przedstawić. Jestem Giselle Castille, stara przyjaciółka Patricka. Był drużbą na moim ślubie. Teraz jestem już wdową. Znamy się z twoim mężem od dziecka. - Wbijała we mnie te swoje turkusowe oczy. - Patrick zapewne wspominał o mnie? Przyjaźnimy się od tak dawna.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem zgrzana, spocona i półnaga. Ściągnęłam trykot i szybko przepasałam się ręcznikiem. Marzyłam, żeby ta czarująca kobieta wreszcie zniknęła z mojego domku. Wolałabym przed wizytami tych Patrickowych bab mieć troszkę czasu, żeby doprowadzić się do porządku i wyglądać atrakcyjniej. Madame Giselle Castille była sporą konkurencją: seksowna, światowa, czarująca.

- Patrick nie wspominał mi o pani - odparłam - ale przecież znał tylu ludzi.

Nie powiedziałam „tyle kobiet”, jednak Giselle roześmiała się. Wiedziała, co miałam na myśli.

- Ach, mężczyźni w rodzaju Patricka są właśnie tacy, *ma chere*. Mają bzika na punkcie wolności, zachowują się jak wędrowne ptaki. Przenoszą się z kraju do kraju w pogoni za pięknymi kobietami. Choć myślę, że pani nie muszę o tym mówić.

Odetchnęłam głęboko, przeprosiłam i poszłam po mrożoną herbatę. Drżały mi ręce, gdy wyjmowałam szklany dzbanek z lodówki i ustawiałam go na tacy. Pokroiłam cytrynę na plasterki, przy okazji udało mi się zaciąć

w palec. Ustawiłam cukierniczkę, wysokie szklanki i długie srebrne łyżeczki, a potem wniosłam wszystko do saloniku.

Giselle studiowała fotografie rozstawione na konsoli za kanapą: były to moje rodzinne zdjęcia z młodości; z tatą, z naszymi psami, z moim koniem, kiedy jeszcze tata miał własne ranczo.

Trzymała portret Patricka, który zrobiłam w chmurny, mglisty dzień w ogrodach ogromnego zamku w Burgundii, gdzie spędzaliśmy noc. Miał zmrużone, roześmiane oczy i włosy wzburzone przez wiatr. Był zabójczo przystojny.

- Bardzo proszę, pani Castille - powiedziałam, stawiając tacę i nalewając mrożoną herbatę. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego powinnam panią poznać? I dlaczego pani tu przyjechała?

- Proszę mówić do mnie Giselle. - Odstawiła fotografię Patricka i usiadła z powrotem w fotelu. Wzięła cytrynę i podziękowała za cukier. - Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć, bo wciąż dochodzą mnie plotki, że policja podejrzewa cię o udział w zniknięciu Patricka. Domyślam się, że jest to stresujące, więc jako przyjaciółka Patricka chcę ci pomóc. Jeśli mogłabym coś dla ciebie zrobić, proszę cię, mów śmiało. Dla przyjaciół robi się wszystko, a żona Patricka jest mi bliska tak jak i on.

Nie dowierzałam jej, lecz z drugiej strony, po co miałaby tu przyjeżdżać?

- Dziękuję, że o mnie pomyślałaś - powiedziałam - ale ani ja, ani policja nie wiemy, gdzie jest Patrick.

- Znaleźli auto. - Zaskoczyła mnie, bo nie wiedziałam, że tajemnice śledztwa przeciekły już do wiadomości publicznej. Najwyraźniej moje prywatne życie przestało już być prywatne.

Giselle powoli mieszała herbatę. Jej długie, delikatne ręce miały kolor świeżej śmietanki, a krótko obcięte paznokcie były ciemnoczerwone. W spodniach do kostek od Pucciego, w kłapkach połyskujących ozdobnymi kamieniami, w obcisłym turkusowym topie dobranym do koloru jej oczu wyglądała jak ideał kobiety. Miała senne spojrzenie i tłumioną zmysłowość, z którą francuskie kobiety po prostu się rodzą.

- Znamy się z Patrickiem od dziecka - mówiła. - Można powiedzieć, że dorastaliśmy razem.

Popatrzyłam z zainteresowaniem. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto znał Patricka, kiedy był jeszcze dzieckiem.

- Mieszkaliśmy w Marsylii - ciągnęła Giselle. - Nasze rodziny utrzymywały się z ryb. Rodzice Patricka zajmowali się połowem, moi kupowali te ryby i sprzedawali do restauracji albo do przetwórni. Wozili je w samochodach chłodniach po Francji i krajach Europy. Moja rodzina była naprawdę bogata. Rodzice Patricka nie byli biedni, ale to już była druga liga.

Znów zamieszała herbatę i długa srebrna łyżeczka brzęknęła o kostkę lodu w szklance. Ktoś, kto słyszałby ów delikatny dźwięk, mógłby pomyśleć, że w to leniwe, upalne popołudnie dwie kobiety dzielą się sekretami na temat swoich kochanków.

- Chodziliśmy z Patrickiem do tej samej szkoły, a potem na uniwersytet w Grenoble, chociaż on nie ukończył studiów. Przeniosłam się do Paryża, a Patrick jeździł po świecie, wszędzie gdzie były łatwe życie, piękne kobiety i gdzie mógł oddawać się hazardowi. Widywaliśmy się od czasu do czasu, zazwyczaj w Paryżu, a latem tutaj, w mojej willi na wzgórzach nad Cannes. Patrick zatrzymywał się u mnie i, że tak powiem, mieszkaliśmy razem. - Spojrzała na mnie czujnie spod długich rzęs, a zestawienie turkusowego koloru oczu z ich zimnym blaskiem było szokujące. - Byliśmy zawsze... dobrymi przyjaciółmi... - Jej głos był podobny do mruczenia kotki. - Zawsze. A teraz, *ma chere* Lola, przychodzę do ciebie jako przyjaciółka. Twoja przyjaciółka.

- Naprawdę?

Znów popatrzyła na mnie tym swoim zimnym spojrzeniem.

- Widzisz, Patrick opowiadał mi o swoich problemach. Ty także możesz mówić ze mną otwarcie. Spróbuję ci coś doradzić, jeśli tylko będę mogła.

- No cóż, dziękuję. - Była moim gościem, „dobrą przyjaciółką” Patrica i nie mogłam jej kazać iść do diabła i wynosić się z mojego życia.

- Oczywiście, pożyczałam Patrickowi pieniądze - wtrąciła nagle. - Sporo tego było, nie wiem, czy wiesz, ale Patrick miał problemy finansowe. Hazard i długi. Były nawet... - urwała. - Były jakieś pogroźki.

- Pogroźki? O czym właściwie mówisz? - Byłam zszokowana. - Może powinnaś powiedzieć o tym policji.

Wzruszyła ramionami.

- Policja już wie o problemach Patrica. Ale nie martw się - uspokoiła mnie ciepłym, zmysłowym głosem. - Nie nachodzę cię przecież w sprawie pieniędzy. - Posłała mi długie, uważne spojrzenie. - Choć z prawnego punktu widzenia byłoby to uzasadnione. - Rozejrzała się wokół. -1 mam wrażenie, że ta parcela z tak zwanym hotelem byłaby sporo warta.

Czy w tych słowach kryła się groźba? Zastanawiałam się nad tym, gdy Giselle wstawała, pozostawiając niedopitą herbatę.

- Czy były jakieś pisemne potwierdzenia tych długów? - Zaczęłam się niepokoić o bezpieczeństwo mojego ukochanego hotelu.

- Nie potrzebowaliśmy żadnych podpisów - powiedziała z ledwie dostrzegalnym, kocim uśmiechem. -- Ale możesz mi wierzyć, mam inne dowody. - Wyjęła z eleganckiej torebki wizytówkę. - Tu znajdziesz mój numer - powiedziała. - Zadzwoń, jeśli będziesz miała jakąkolwiek wiadomość od Patrica.

Odprowadziłam ją do drzwi. Przyjęłam jej wyciągniętą rękę. Była chłodna, jakby już nadciągnęła zima.

- No i oczywiście - powiedziała Giselle - nadal nie wiemy, gdzie jest Patrick. I czy w ogóle jest - dorzuciła, a ja poczułam chłód i ucisk w okolicy serca.

Patrzyłam na jej plecy, gdy odchodziła lekko jak pantera. Długie włosy kołysały się rytm ruchu bioder. Patrick, ty skurwielu, pomyślałam. Gdzie tylko się ruszę, zaraz pojawiają się kobiety takie jak ta, „dawne przyjaciółki”, i ostrzegają mnie przed tobą - żywym czy martwym.

## Rozdział 26

Wyrzuciłam Giselle Castille z głowy i zaczęłam zastanawiać się, w czym wystąpić tego wieczoru. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z błękitnymi oczami Jacka Farrara. A nawet gdyby miało, i tak nigdy bym się do tego nie przyznała. W każdym razie wysuszyłam w słońcu świeżo umyte włosy i włożyłam najlepszą, koronkową bieliznę, wyłącznie dla poprawy samopoczucia i absolutnie bez związku z Nagim Mężczyzną. Wybrałam lekką morelową sukienkę, która kusząco, jak mi się wydawało, powiewała wokół moich kolan, choć spoglądając w lustro, nie zaliczyłam akurat kolan do moich atutów. Ale kto w końcu jest z siebie zawsze zadowolony? W tych sprawach najważniejsza jest pewność siebie, pomyślałam, spoglądając w lustro i malując rzęsy. Popatrzyłam raz jeszcze z wahaniem - może lepszy byłby czarny zamiast brązowego?

Odwrociłam się z irytacją. Inna nie będę. Spryskałam szyję Tendre Poison Diora, którą kupiłam, bo zachwyciła mnie zielona szklana flaszeczka, a teraz spodobał mi się leciutki, dyskretny zapach. Poprawiłam łuszczący się lakier na paznokciach, obiecując sobie, że jutro zrobię pedikiur, i wsunęłam swoje nieco za duże stopy w brązowe sandałki ze skórzanych paseczków. Kupiłam je na jednej z posezonowych wyprzedaży, które nawiasem mówiąc - gdy nie ma już turystów, a hotele zaczynają się zamykać - są w Saint-Tropez fantastyczne. Trochę niepewnie stanęłam na ośmiocentymetrowych obcasach. Zaczęłam wątpić, czy to był dobry zakup, ale tak bardzo mi się wtedy spodobały, a przy tym cena była tak śmiesznie niska, że nie zdołałam się oprzeć.

Już zapomniałam, że dbałość o strój może być ciężką pracą - może dlatego, że dawno tego nie robiłam. Ostatnie spojrzenie w lustro i uznałam, że może być. Poza tym już od kwadransa powinnam być w kuchni,

a właściwie częstować gości drinkami, informować o wieczornym menu i wypytywać, jak udał się dzień. Ruszyłam w stronę drzwi i wyobraziłam sobie, jak ich zaskoczę moim wyglądem; zawsze widywali mnie ubraną służbowo na białą albo w koszulce i spodniach do kostek.

Chyba przesadziłam. Jack Farrar miał przyjść wyłącznie po to, żeby porozmawiać o Patricku. To nie była nasza randka.

Pobiegłam do sypialni, zdjęłam sukienkę i pantofle, naciągnęłam koszulkę z logo hotelu i spodnie, wsunęłam na nogi wygodne sandały z rzeźmyków i potrząsnęłam głową, by włosy rozsypały się swobodnie. Nie patrząc już w lustro, zdecydowanie pomaszero wałam tam, gdzie było moje właściwe miejsce. Do kuchni.

Na zewnątrz na tarasie Jean Paul rozstawiał już miseczki z oliwkami i surówki, a panna Nightingale siedziała przy swoim stoliku, sącząc pastis. Pochwaliłam jej błękitno-białą suknię, mówiąc, że ma w sobie coś z porcelany Wedgwooda. Roześmiała się i mrugnęła do mnie porozumiewawczo, gdy przebiegałam obok. Zerknęłam na zatokę, w stronę „Niedobrego Psa”. Żadnego ruchu. No tak, ale była dopiero szósta piętnaście. Za wcześniej na Nagiego Mężczyznę.

Zajrzałam do Nadine i Marit, a potem ułożyłam na półmiskach grzanki z pomidorami i przybrałam je gałązkami rozmarynu. Napelniłam tapenadamiseczki i przygotowałam w koszyczkach różne gatunki pieczywa. Spróbowałam fig, sprawdziłam rybę. Potem rzuciłam okiem na jagnięcinę, sałatę i *clafoutis*. W końcu wyszłam do gości.

Ku mojemu zaskoczeniu pan Falcon rozmawiał z panną Nightingale. Musiała go zagadnąć, kiedy szedł do swego stolika.

- Widziałam pana wspaniałą maszynę pod hotelem - usłyszałam.
- No, rzeczywiście. Dziękuję, madame. Coś w moim guście.
- Mój mąż miał harleya. Był turkusowy. Trochę dziwny kolor jak na detektywa Scotland Yardu, prawda?

Falcon niecierpliwie wiercił stopą w kosztownym mokasynie. Wyraźnie czuł się nieswojo.

- Rzeczywiście, madame. Też tak myślę.
- A jednak silna maszyna pasuje do silnego mężczyzny. - Panna N. przechyliła głowę, uśmiechając się do niego, ale pan Falcon już wycofywał się w stronę stolika.
- Eh... tak... oczywiście ma pani rację, madame.
- Nazywam się panna Nightingale, panie Falcon! - zawołała za nim. - Mnie też było miło pana poznać.

W pośpiechu przedzierał się do stolika na drugim krańcu tarasu, byle jak najdalej od niej.

- Coś mi się zdaje, że go pani spłoszyła - powiedziałam, stawiając na jej stoliku tapenadę i grzanki.
- Chciałam tylko przełamać pierwsze lody - uśmiechnęła się pogodnie.
- I zobaczyć, jaki ten facet jest naprawdę.
- I co?
- Tak jak myślałam. Niebezpieczny typ. - Sięgnęła po oliwkę. - Ciekawe, czego tutaj szuka? Hotel Riwiera nie jest miejscem dla kogoś takiego jak on. Logicznie myśląc, moja droga, to musi się jakoś wiązać z Patrikiem.
- Nogi ugięły się pode mną. Usiadłam na foteliku obok.
- Ale jak? - zdążyłam zapytać. W tym samym momencie zza narożnika tarasu wyłonił się Jack Farrar.

## Rozdział 2 7

Popatrzyłam na wyblakłe, stare džinsy na mocnym, żyłastym ciele i pomiętą białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na słupie najwyraźniej nie przejmowano się prasowaniem, ale chyba mieli bzika na punkcie czystości. Zauważyłam także zdrowy odcień opalanej skóry, a może po prostu ciepłą, złocistą barwę, która była skutkiem długiego przebywania na wietrze. Twarz pociągła; mocno zarysowana, kwadratowa szczęka; niebieskie oczy - pasujące odcieniem do džinsów - a wokół nich takie same zmarszczki jak na koszuli. Ciemne włosy były przycięte krótko i zapewne własnoręcznie. Zdecydowany, męski profil z lekkim garbkiem na nosie. Z roześmianych ust wyglądały chyba najładniejsze zęby, jakie w życiu widziałam. W sumie obraz był zbyt doskonały, by mógł być prawdziwy. Ucieszyłam się, że zdążyłam zamienić sukienkę na zwykły strój. Nie dałam po sobie poznać, że mi zależy. Bo rzeczywiście tak było. A nie powinno.

- Panno Nightingale... Lola... - Jack skłonił się z dyskretną, zabawną elegancją. Zatrzymał na mnie wzrok. - Wyglądasz dużo lepiej.
- Podobna do ludzi, chciałeś powiedzieć - odpowiedziałam, myśląc z niechęcią o tuszu do rzęs i szmince. Żeby mu nie przyszło do głowy, że to specjalnie dla niego.

Wyszczерzył zęby.

- Prawie.
- Wina? - zapytałam.

- Z przyjemnością, dziękuję.

Tym razem podałam butelkę z naszej winnicy rozciągającej się na wzgórzach za domem. Może nie tej klasy co cuvee Paul Signac, ale bardzo delikatne i smaczne. Jack pokiwał głową z aprobatą, co bardzo mnie ucieszyło.

- Wygląda pan dziś bardzo elegancko, panie Farrar - powiedziała panna N. Wyczułam w jej głosie nutę uznania, która sygnalizowała, że jej zdaniem Jack jest okej.

- Panna N. ma podejrzenia wobec jednego z moich gości - wskazałam dyskretnym ruchem głowy. - Tego mężczyzny na końcu tarasu.

Jack leciutko skrzyłszy szyję i zerknął nieznacznie.

- Zwróciłem na niego uwagę już wczoraj wieczorem. Wydaje mi się, że skądś go znam, ale nie umiem sobie przypomnieć skąd. Zachowuje się, jakby czuł się tu nieswojo.

- To jego harley stoi przed hotelem - szepnęła konspiracyjnie panna N. Pochyliła się jeszcze bliżej. - Kiedy tylko go zobaczyłam, od razu powiedziałam Loli, że to niebezpieczny typ.

Wpatrywaliśmy się wszyscy w odwróconego do nas plecami Falcona, który pochłaniał grzanki ze słodkimi pomidorami, zupełnie jakby to były orzeszki podawane na pokładzie samolotu. Miał wielkie i blade dłonie, z ciemnym, matowym owłosieniem na palcach, które natychmiast skojarzyło mi się z jakimiś robalami. Wzdrygnęłam się. Do tego jeszcze miał budowę byka: szeroki kark, potężne barki, długie ramiona.

- Brutal - przyłapałam się, że wyszeptalam to słowo, choć oczywiście był za daleko, żeby je usłyszeć. - Tak właśnie wygląda. Jak bestia.

- Jestem pewna, że cię obserwuje - powiedziała panna Nightingale. - Cóż innego miałby do roboty tutaj, w hotelu Riwiera? I powtarzam: to ma jakiś związek z Patrickiem.

~ A ja ufam pani instynktowi, panno N. - zgodził się Jack. - Co innego taki facet mógłby tu robić? - Spojrzał na mnie. - Rozmawiałaś z nim?

- Zażądał pokoju. Najlepszego, powiedział. No i zamówił jedzenie. A po za tym całkiem mnie ignoruje. Prawdę mówiąc, ignoruje wszystkich, choć często chodzi na spacer. Chyba spodobał mu się nasz ogród.

- Nie wygląda mi na miłośnika ogrodów - zauważyła panna N.

Patrzyłam na opaloną grdykę Jacka, gdy przełykał chłodne, różowe wino. Pomyślałam z irytacją, że najwyższy czas ignorować tę jego zmysłowość. To prawda, od dawna nie byłam z żadnym mężczyzną, co nie znaczy, że na widok pierwszego atrakcyjnego chłopaka mam od razu padać na kolana. A poza tym była jeszcze sprawa Patricka.

- Pogadałem z kumplem w Marsylii - powiedział Jack. Uniosłam brwi, zdziwiona, że i tam ma znajomości. - W gronie żeglarzy poznaje się mnó-



stwo ludzi - dorzucił. - Przyjaciel w każdym porcie, wiesz, jak to jest. Ale mniejsza z tym. Ten kumpel jest byłym policjantem i na boku zajmuje się prywatnymi śledztwami. Zgodził się wykorzystać swoje kontakty, wywęszyć, ile się da, na temat tego porsche - gdzie stoi, w jakim jest stanie - no i sprawdzić, co zdaniem policji stało się z Patrickiem.

Popatrzył na mnie z namysłem, a potem powiedział prosto z mostu, z brutalną szczerością:

- Myślę, że rozumiesz. Może się okazać, że Patrick nie żyje.

Popatrzyłam w dół na swoje dłonie. Sama nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzę. Nie zniósłabym myśli, że mój piękny, niewierny Patrick nie żyje.

- I sprawa zamknięta - powiedziała zdecydowanie panna N.

Lekko drżącą ręką dołałam wina do kieliszków i poprosiłam Jean-Paula o następną butelkę. Potem opowiedziałam im o moim popołudniowym gościu, długoletniej przyjaciółce Patricka, Giselle Castille.

- I od dawna jego kochance. - Jack natychmiast pojął, co jest grane.

- Z całą pewnością jest zazdrosna - dodała panna N.

- Słyszałaś coś o jego długach z hazardu? - wtrącił Jack.

- Wiem tylko, że nigdy się nam nie przelewało, ale w końcu hotel jest mały i trudno się na nim dorobić.

- Za to Lola wkłada w ten hotel całe serce - dodała panna N.

- Tak jak Patrick w hazard. Na tyle, że już go szukają, jeśli można wierzyć madame Castille.

- Ja jej wierzę - powiedziałam nagle z przekonaniem. - Poznałam Patricka w Las Vegas. Często tam bywał. Oczywiście, że był hazardzistą.

- I w dodatku niefartownym - dodał cicho Jack.

W tym momencie na tarasie pojawiła się Red Shoup. Jak zawsze tak wystrojona, że nigdy nie odważyłabym się z nią konkurować. W jedwabnej sukni o barwie koralu, z zarzuconym na ramiona kaszmirowym szalem o odcieniu agatu. Szal miał chronić przed bryzą i wprowadzał jesienny akcent.

- *Bonsoir, mes amis* — przywitała nas. - Jak się pani dziś czuje, Lolu?

Podziękowałam, mówiąc, że doskonale, a ona obdarzyła z kolei swym uśmiechem Jacka. Przedstawiłam ich sobie i po chwili nadszedł Jerry Shoup. Przysiedli się, by napić się z nami wina i pogawędzić o mijającym dniu. Zostawiłam ich i wróciłam doglądać kuchni, pozdrawiając w przelocie Budgie Lampson i jej chłopaków. Z ciężkim sercem pomyślałam, że sezon już się kończy i niedługo zabraknie moich gości. Zastanawiałam się, co zrobić, kiedy wszyscy wyjadą, a ja zostanę sama z moimi problemami, węszącą policją, jakimiś karcianymi długami i tajemniczym panem Falconem,

który czai się gdzieś za moimi plecami. Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

- Duch przeszedł nad pani grobem - zażartowała beztrąsko Budgie i za raz potem w panice przytknęła dłoń do ust. - O jasna cholera, znów coś głupio chlapnęłam!

Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. Z tymi swoimi blond loczkami wyglądała jak niegrzeczna dziewczynka wycięta z czytanki szkolnej.

- Nie martw się, to nie był żaden duch, tylko chłodny wiatr. Martwię się, że jesień *może* przyjść wcześniej.

- Zawsze jest za wcześnie - powiedziała z naciskiem. - Te gnojki pojedą do szkoły, a ja od nich odetchnę. Niestety będę musiała wrócić do Londynu, znów zacznie się zimno i śnieg. O rany, jak będę tęsknić za tym miejscem. I za panią, Lolu - poklepała mnie po ramieniu, chcąc mi dodać otuchy. W tym momencie zjawił się Jean-Paul z oranżadą dla chłopaków, którzy zdążyli już zjeść pół miski bruschetty.

No i wreszcie zjawili się moi ukochani Nowożeńcy. Ona była zarumieniona, za to on wyglądał stanowczo, choć miał różowe policzki, złociste włosy i życziwe szare oczy za okularami bez oprawek. Byłam naprawdę szczęśliwa z ich decyzji, choć powiedzieli, że to zrukuje ich całoroczny budżet. Ale uznali, że warto. Posadziłam ich, kazałam Jean-Paulowi rozdać menu i wróciłam do panny N., Jacka i Sboupów. Rozmawiali o tajemniczym panu Falconie, a podejrzewam, że także o mnie i Patricku.

Przystanęłam przy nich na moment. Chyba nikomu, kto nas teraz widział, nie mogłyby się nasunąć żadne podejrzenia. Dla postronnego obserwatora byliśmy po prostu grupką szczęśliwych, rozbawionych ludzi na ukwieconym tarasie nad brzegiem Morza Śródziemnego. I na samą myśl o tym od razu poczułam się lepiej. To prawda, wczoraj w nocy, po wizycie detektywa Merciera załamalam się. Ale teraz czułam, że robi mi się lekko na sercu. Odbiłam się od dna i znów się wznosiłam.

- Madame Laforet? - Nie słyszałam, kiedy ten facet zbliżył się do mnie; inni też go nie zauważyli. Niski, przysadzisty, skradający się mężczyzna, bez charakterystycznej dla turystów opalenizny. Wpatrywał się we mnie spoza okularów w złotej oprawce jak mały, drapieżny ptaszek.

Wszyscy odwrócili się, żeby na niego spojrzeć. Nawet panFalcon przestał pochłaniać grzanki i przyglądał się mu z zainteresowaniem.

- To ja-potwierdziłam.

- Nazywam się mecenas Dumas. Jestem adwokatem z Paryża i reprezentuję mojego klienta, monsieur Laurenta Solisa.

Na tarasie zapadła złowroga cisza. Nazwisko Solis znaczyło niemal tyle samo co Onasis czy Safra. Gapiłam się zaskoczona na mecenasa Dumas.

- Muszę panią zawiadomić, madame Laforet - wyrecytował uroczyście - że monsieur Solis podjął przeciw pani działania prawne, dotyczące własności hotelu Riwiera.

Podał mi dokumenty. Dostrzegłam na nich mnóstwo urzędowych czerwonych pieczętek. Wciąż osłupiała, wyciągnęłam rękę i wzięłam od niego akta.

- Oto moja wizytówka, madame - powiedział. - Gdyby chciała się pani ze mną skontaktować, a jestem pewien, że tak będzie, można mnie znaleźć w hotelu Martinez. - Jeszcze przez chwilę przyglądał mi się przez swoje okulary. - *Eh bien*, a więc dobranoc, madame Laforet - pożegnał się i lekko pochylił głowę. - I życzę wszystkim państwu *bon appetit*.

Oddalił się tak samo cicho, jak przyszedł.

## Rozdział 28

Kolacja nagle zamieniła się w zebranie. Zsunięto stoliki, a moi goście z wyjątkiem pana Falcona, który z rykiem silnika odjechał na swym harleyu, stworzyli jedną grupę. Dolewali sobie wina, debatując nad oświadczeniem mecenasa Dumas i sprawdzając przywiezione przez niego dokumenty. Zastanawiali się nad bogactwem i reputacją Laurenta Solisa, zachodząc w głowę, dlaczego chciałby zabrać mój dom.

- To w końcu nie jest tylko twój dom, ale i źródło utrzymania - rzeczowo przypomniiał mi Jeny Shoup.

- Gdzieś za tym wszystkim kryje się Patrick. Dałabym sobie głowę uciąć - wtrąciła panna Nightingale.

Jack Farrar, który nie znał Patricka, wypowiadał się z rezerwą:

- To wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, niż myślałem.

Red Shoup roześmiała się.

- Szczyt dyplomacji! Chyba ostrożniej nie dało się tego wyrazić.

Wciąż byłam w szoku i nie potrafiłam skupić się na gotowaniu, więc Marit sama zajęła się kolacją, a Jean-Paul podawał. Po raz pierwszy wszyscy dostali to samo. Oczywiście, przepraszałam, ale i tak nikt się tym nie przejmował. Prawdę mówiąc, z każdym kolejnym kieliszkiem wina kolacja coraz bardziej przypominała towarzyskie spotkanie. Wszyscy pożerali faszerowane karczochy, risotto z owocami morza i sałatę, potem *dafoutis* i drobne, kruche babeczki z jabłkami, maleńkie słodkie kóleciska z brązowego cukru, które przygotowała Marit. Otwieraliśmy kolejne butelki wina, rozprawiając, co robić dalej.

- Mecenasa Dumas ma rację - powiedział Jack. - Jeśli chcesz się dowiedzieć, o co tu chodzi, musisz spotkać się z Solisem.

Mówiono o nim, że dorobił się fortuny na handlu bronią. Sprzedawał wszystkim, nawet wrogom własnego kraju. Ale teraz był już obywatelem świata, więc ze swego luksusowego jachtu kierował operacjami. Pieniądze zarabiał na hotelach, nieruchomościach i ropie. Mówiono o nim, że ma największą na świecie flotę tankowców.

Nie umiałam ukryć zmieszania i przerażenia, więc wszyscy zgłaszali się na ochotnika, że ze mną pójdą. W końcu stało na tym, że będą mi towarzyszyć tylko Jack i panna Nightingale. Jack odszedł, by zadzwonić do mecenasa Dumas, ale go nie zastał, więc piliśmy wino i czekaliśmy, aż oddzwoni.

Była już prawie północ, kiedy wreszcie się odezwał. Nasi Żonkosiowie sprawiali wrażenie mocno sennych, Budgie położyła już chłopców do łóżka, a Shoupowie grali w karty. Popatrzyliśmy po sobie bez słowa, a Jack poszedł do telefonu. Kiedy wrócił, wykrztusiłam tylko:

- No i co...?

- Rozmawiałem z mecenasem. Jesteśmy umówieni z Solisem o jedenastej przed południem na pokładzie „Agamemnona” w Monte Carlo. Dumas twierdzi, że łatwo go rozpoznać, bo jest największy.

- „Agamemnon” - zastanawiała się na głos panna Nightingale. - To naprawdę ciekawe. Grek nazywa swój jacht imieniem człowieka, który był bohaterem jednej z greckich tragedii. Agamemnon, jak z pewnością wiecie, był królem Myken i wodzem greckiej armii podczas wojny trojańskiej. Pojmał Kasandrę, córkę nieprzyjawnego mu króla, która została jego kochanką. Agamemnon zabrał ją ze sobą do Myken, gdzie zginął z rąk własnej żony Klitajmestry i jej kochanka.

Zdziwiłam się, dlaczego Solis wybrał akurat jego imię. Czulałam, że to spotkanie nie będzie należało do przyjemnych.

Jack odprowadził mnie do mojego domku. Z rękami w kieszeniach dzinsów stał na ganeczku przed wejściem.

- Będiesz się trzymać?

- Nie - odpowiedziałam, bo czulałam, jak żołądek ściska mi się na samą myśl o utracie hotelu.

- Wcale się nie dziwię. Czulbym się tak samo, gdybym się dowiedział, że chcą mi odebrać mój dom.

- A gdzie jest właściwie twój dom?

- Newport, Rhode Island - spojrzał na mnie i uśmiechnął się lekko. - Nie spodobałoby ci się tam. Za zimno.

- To dlaczego tam mieszkasz?

- Moja rodzina zawsze tam żyła. Tam buduję łodzie.

Oparłam się o barierkę ganku. Była bezksiężycowa noc i morze wydawało się czarne; w ciemności widziałam jedynie pozycyjne zielone i czerwone światła słupa.

- Newport - powiedziałam - domyślam się, że jesteś z jakiejś starej, bogatej rodziny.

- Sam zarabiam na własne utrzymanie i robię to, co lubię.

- Ja też.

Podszedł, stanął koło mnie z rękami założonymi na piersiach, odwrócony tyłem do morza. Czułam na sobie jego wzrok.

- Zawsze lubiłaś gotować? - zapytał.

- Od dziecka. Tata mnie uczył. - Rozśmieszyło mnie jego zaskoczenie.

- Na ogół dziewczynki nie uczą się gotowania od tatusiów, ale gdybyś go znał, zdziwiłbyś się jeszcze bardziej. Był taki światowy, przystojny, ciemnowłosy, niebieskooki, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i czarujący. Wszystkie mamy moich koleżanek leciały na niego. Zresztą koleżanki też, kiedy już trochę podrosły. - Patrzyłam w ciemność i widziałam twarz mojego ojca. Uśmiechał się do mnie.

- A więc córeczka tatusia. - Jack sprowadził mnie na ziemię.

- Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Kiedy czułam się źle, przygotowywał mi jajka na miękko, a do nich robił grzanki pokrojone w słupki. Podawał mi to do łóżka, maczał grzanki w żółtku i karmił mnie jak pisklę. Od razu czułam się lepiej. Kiedy jest się dzieckiem, wszystko wydaje się takie proste - dorzuciłam. - Kochasz kogoś i cieszysz się życiem. Gdy tata umarł, myślałam, że tego nie przeżyję.

Patrzyliśmy na siebie w słabym świetle padającym z wnętrza domu. Nagle, ku memu zdumieniu, Jack położył dłonie na moich ramionach. Trzymał mnie na odległość wyciągniętej ręki i uśmiechał się.

- Przykro mi, że nie mam grzanek, które by ci poprawiły samopoczucie - powiedział. - Do zobaczenia jutro. O dziewiątej.

- To brzmi jak randka.,

Lekko uściśnął moje ramiona i ruszył w dół ścieżką w stronę plaży.

Czekałam na ganku, póki nie zapaliły się światła na słupie. A potem położyłam się samotnie do łóżka.

## Rozdział 29

ano o dziewiątej marynarz w białych szortach i białej koszulce z granatowym napisem AGAMEMNON czekał już na nas w Saint-Tropez,

w jedenastometrowej łodzi motorowej „Sea Ray”, która mogłaby się komuś wydać szczytem luksusu. Ale tylko do czasu obejrzenia „Agamemnona” zakotwiczonego na głębszych wodach, w pewnej odległości od Monte Carlo. Wyobraźcie sobie najbardziej luksusowy jacht, a następnie pomnóżcie jego rozmiary przez dwa. „Agamemnon” miał ponad siedemdziesiąt metrów długości. Do tego dodajmy jeszcze stojące na pokładzie helikopter i wodnopłatowiec, małą flotę motorówek i przynajmniej pięćdziesięcioosobową załogę, w tym ekipę kucharzy, pracujących na zmianę przez całą dobę, o czym z dumą poinformował mnie marynarz w koszulce „Agamemnona”. Tak się prezentował jacht Solisa.

Dobrze, że wyglądałam poważnie i godnie. Włożyłam białą bawełnianą spódnicę, żółtą bluzkę i espadryle. Spięłam włosy z tyłu grzebieniem, poprawiłam wargi szminką i zabrałam ciemne okulary - na wypadek gdybym się rozplakała. Panna Nightingale była w swojej niebieskiej sukni, a Jack w tych samych co zawsze tenisówkach i wymiętej płóciennej koszuli wypuszczonej na stare szorty. Wyglądaliśmy na turystów wybierających się podziwiać jakąś fantastyczną atrakcję.

- Pływający Ritz Carlton - skomentował Jack, gdy dotarliśmy do burty „Agamemnona”, która wznosiła się nad nami jak olśniewająco biały, gładki klif. Kolejny ubrany na biało marynarz pomógł nam wspiąć się po schodkach do rajy, który już rychło mógł okazać się piekłem. Ściśnięty żołądek podpowiadał mi, że nie powinnam tu być.

Steward poprowadził nas przez korytarz wyłożony ciemnobłękitnym dywanem usianym srebrnymi gwiazdkami, a potem przez biegnące szerokim łukiem mahoniowe schody do wielkiego salonu. Zaproponował nam coś do picia, ale choć usychaliśmy z pragnienia, podziękowaliśmy, żeby nie dać się skusić wrogowi. Zapowiedziano nam, że pan Solis wkrótce się zjawi. Mogliśmy więc nieco odetchnąć w rozległym, pełnym dzieł sztuki pomieszczeniu. Przez ogromne okna chłonełam Monte Carlo. Nigdy dotąd nie widziałam miasta z tej strony i zaskoczyła mnie soczysta, bujna zieleń tej panoramy.

Rozglądałam się dookoła. Przy stołach ustawiono obite kremową skórą fotele i kanapy tak głębokie, że można było się w nich zgubić. Podziwiałam Legera, dwa obrazy Picassa, Matisse'a, rzeźbę Brancusiego oraz monumentalną i kolorową figurę pulchnej tancerki dłuta Niki de Saint Phalle. Zauważyłam stare weneckie lustra, wszystkie te rozrzucone w pozornym bezładzie bezcenne bibeloty i poczułam strach. Nie wygram z kimś tak bogatym. Nie wiadomo czemu, Solis zapragnął mojego małego hoteliku i dopiero teraz dotarło do mnie, że nie zdołam się przed nim obronić. Mógł przecież zdobyć wszystko, na co miał ochotę. Pozostawało tylko pytanie, dlaczego miał ochotę akurat na mój skromny majątek.

Jack wskazał na tancerkę Niki de Saint Phalle.

- Pamiętaj, że dopóki ta tłusta baba nie zacznie śpiewać, jeszcze nie jest tak źle.

Rozśmieszył mnie, ale w tym samym momencie do salonu wkroczył Laurent Solis.

Przez ułamek sekundy jego twarz zdradzała konsternację, bo nie spodziewał się, że zobaczy nas uśmiechniętych. W chwilę potem szedł w naszą stronę z szerokim uśmiechem i wyciągał przyjaźnie ręce. Był starszy, niż się spodziewałam; chłop jak niedźwiedź, o srebrnych włosach, w idealnie skrojonym białym garniturze i ciemnych okularach, których nie zdejmował.

- Witam, witam na „Agamemnonie” - odezwał się.

Parę kroków za nim szła zapierająca dech w piersiach blondynka, która z powodem mogłaby być jego wnuczką. W zabójczo wysokich żółtych kłapkach na nogach miała ponad metr osiemdziesiąt. Nosiła skąpe złote bikini, żółtozielony sarong, a do tego oszołamiającą ilość karatów w brylantach naszyjnika, w kolczykach, bransoletkach i pierścionkach na trzech palcach. Zerknęłam na pannę Nightingale, żeby sprawdzić, co myśli o tej kobiecie, ale jej twarz nie zdradzała żadnej emocji. W swych wedgwoodowskich błękitach i perłach skinęła z królewskim dostojeństwem głową gdy Solis przedstawił się jej pierwszy, a potem zaprezentował swą towarzyszkę:

- To jest moja żona Evgenia.

Evgenia nie zwracała sobie głowy powitaniem. Usiadła w klubowym fotelu tuż za mężem, założyła nogę na nogę, zapaliła gitanesa i obserwowała nas ze zniecierpliwieniem.

Laurent Solis rozpoznał we mnie swoją ofiarę. Uśmiechał się pogodnie, trzymając moją dłoń.

- Madame Laforet, jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać - powie dział. I ku własnemu zdumieniu byłam gotowa mu uwierzyć. - Jaka szkoda, że spotykamy się w okolicznościach tak... - moment wahania - ...tak niefortunnych. Bardzo niefortunnych.

Wreszcie odzyskałam mowę i przedstawiłam pannę Nightingale. Solis z szacunkiem pochylił głowę nad jej ręką, jakby rzeczywiście miał do czynienia z królową.

- A to jest pan Farrar - powiedziałam i dotknęłam jego ramienia, głów nie po to, żeby poczuć się pewniej. - Mój przyjaciel - na wszelki wypadek pośpiesznie wyjaśniłam Solisowi.

Solis uściśnął Jackowi dłoń i wskazał gestem, gdzie mamy usiąść. Posadził nas obok siebie rządkiem na kanapie jak kaczki, wystawione na sprzedaż i oślepię słońcem wpadającym przez okno. Sam usiadł naprzeciwko. Widział teraz dokładnie nasze twarze i reakcje, sam natomiast siedział w cieniu.

- Przede wszystkim - zaczął - czy naprawdę nie zechcieliby państwo wypić czegoś chłodnego? Taki dziś upał. Evgenia - rzucił przez ramię - zawołaj Manola. Niech przyniesie jakieś zimne drinki dla naszych gości i trochę baklavy. - Zwrócił się znów do nas. - A może woleliby państwo coś innego? Wino? Szampan? Bourbon?

Siedząca za nim Evgenia podniosła słuchawkę i przekazała polecenie. Zaciągnęła się mocno gitanezem i przelożyła skrzyżowane nogi. Solis patrzył na mnie spoza ciemnych szkieł.

- Powinienem opowiedzieć pani o moim życiu, madame Laforet - za czął, nie zwracając uwagi na pozostałych gości - żeby pani zrozumiała, z kim ma doczynienia. Jestem biznesmenem. Gdybym nim nie był, nie byłoby mnie dziś tutaj. I nie byłoby również tutaj pani.

Przyglądał gęste siwe włosy, wskazując stolik, na którym miała stać srebrna taca z chłodnymi napojami. Manolo zjawił się tak błyskawicznie, że chyba musiał cały czas czekać pod drzwiami. Zrobił, co mu kazano, a potem, chowając za plecami ręce w białych rękawiczkach, stanął i czekał na dalsze polecenia.

- Panno Nightingale? - Soils spojrział na nią pytająco. Sztywno odmówiła, podziękowała. - Może więc odrobinę baklavy? - Patrzył pożądliwie na tacę. - Po prostu ją uwielbiam. Podejrzewam, że doprowadzi mnie do zguby.

Manolo srebrnymi szczypczykami położył kawałek słodkiego przekładanka na niebieski talerzyk z chińskiej porcelany i postawił go na stoliczku koło panny Nightingale. Potem obsłużył tak samo mnie i Jacka. Cofnął się o parę kroków i znów stanął z rękami złożonymi z tyłu. Zauważyłam, że nie podał niczego swemu panu. My też nie sięgnęliśmy po talerzyki.

- Wody z lodem dla wszystkich - powiedział do Manola Solis. Był tak zachwycony sobą, jakby właśnie wręczył nam klucze do rajów. - Proszę mi wierzyć - przemówił - że w młodości nie jadałem takich przysmaków. Niestety. Przez wiele lat mogłem sobie pozwolić tylko na najprostsze jedzenie. Chleb, kuskus, ryż. - Zerknął na nas spoza swych ciemnych szkieł. - Byłem sierotą. Całkiem sam w zalewie nędzy i ciemnoty. - Napił się wody z lodem. - Kiepska sytuacja, mogliby państwo powiedzieć.

Rzeczywiście kiepska, nie mogłam zaprzeczyć.

- Nędza jest wszędzie taka sama, w każdym mieście na całym świecie - kontynuował. - Ateny, Rio, Caracas... sypia się na ulicy, zjada wszystko, co można ukraść. Trzeba dużo sprytu, żeby przeżyć. Jeśli nie masz sprytu, umierasz na ulicy. Życie jest krótkie, a śmierć bywa dla biednych wybiwaniem.

Przerwał i znów napił się wody.



— A jednak - uśmiechnął się szeroko - moja historia, jak państwo widzą, ma szczęśliwe zakończenie. Oczywiście nie brak pewnych komplikacji. Ale pozwólcie, że będę opowiadał po kolei.

## Rozdział 30

Miałem sześć lat, kiedy moja matka zginęła pod kołami ciężarówki - powiedział Solis. - Wtedy dostałem pierwszą lekcję prawdziwej biedy. Życie nie jest wiele warte. Życie mojej matki nic nie znaczyło. Nie wiem nawet, gdzie ją pochowano, pewnie gdzieś na poboczu tej zapomnianej drogi.

Musiałam wyglądać na zszokowaną, bo Solis pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, luźno splótł palce i spojrzał mi w oczy.

- Mieszkaliśmy w Maroku - powiedział - ale mój ojciec był Grekiem. Zabrał mnie z powrotem do Aten. Byliśmy biedni, jak wiecie. - Przerwał, patrząc na nas. - Tak naprawdę to chyba nie wiecie - dodał - bo tylko ktoś, kto był tak biedny jak ja, ma pojęcie, czym jest prawdziwa nędza.

Otworzył szeroko ramiona, obejmując wspaniały salon z całego ceną zawartością, luksusową żoną, cały ten niewiarygodny statek czekający na jego skinienie.

- Wszystko, co o mnie wiecie, to właśnie to - powiedział - i niestety ludzie tylko to widzą w Laurencie Solisie. Nic ich nie obchodzi poza tym, że jestem bogaty.

- Czy zamierza pan przedstawić nam jakiś powód, dla którego miałyby to nas obchodzić? - zapytała panna Nightingale ostrym głosem, najwyraźniej nieczuła na jego wdzięki.

Patrzył na nią przez chwilę spoza ciemnych okularów, a potem głęboko westchnął. Czuję, jak mięknę ze współczucia.

- Wątpię, by było to możliwe w tak krótkim czasie, jaki spędzę w pani towarzystwie, panno Nightingale - powiedział. - Ale będę się starał.

Kątem oka zerknęłam na Jacka. Ręce trzymał założone na piersi, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wyglądało na to, że tylko ja ulegam czarowi Solisa i jego smutnej opowieści.

Myliliam się, był jeszcze ktoś. Evgenia rozplatała swoje długie nogi i stała za mężem. Objęła go za szyję.

- Biedny, mój miły - odezwała się z silnym rosyjskim akcentem. Pocałowała jego srebrne włosy, a Solis ujął jej rękę i czule przytulił do policzka.

- Evgenia już słyszała tę historię - wyjaśnił nam.
- ~ Ale za każdym razem boli mnie tak samo - mruknęła, wracając na swój fotel.
- Niedługo po naszym przyjeździe do Aten ojciec mnie porzucił. A może po prostu umarł. Nigdy sienie dowiedziałem, bo potem już się nie spotka liśmy. Żyłem na ulicach Pireusu, portowego miasta na południowy wschód od Aten, chwytając się każdego zajęcia. Byłem chłopcem na posyłki, bie gałem, podawałem, dźwigałem. Harowałem jak wół, ale szybko się uczy łem i już wtedy wiedziałem, że w życiu spotka mnie coś lepszego. Mój los leżał w moich własnych, spracowanych rękach.
- Wyciągnął przed siebie dłonie, jakby chciał nam je pokazać - gładkie, wypielęgnowane dłonie bogatego człowieka, może nawet dżentelmena.
- Nie mam rodziny i nic mnie nie trzymało w Grecji, sfalszowałem więc datę urodzenia i zostałem chłopcem okrętowym - kimś w rodzaju niewolnika, na tankowcu. Wtedy tankowce były znacznie mniejsze. - Przerwał na chwilę, jakby coś sobie przypominając. - Płynęliśmy do Marsylii - dodał.
- Marsylii? - usłyszałam, że powtarzam jak echo. Solis zdjął okulary i po raz pierwszy popatrzyłam w jego oczy. Były ciemne i łagodne. Okna duszy. Poczułam, jak w nich tonę.
- Widzę, że pani wyprzedza moje myśli, madame Laforet - rzekł. - Owszem, Marsylia ma tu znaczenie. Byłem chłopakiem, który nie miał niczego na świecie, a w Marsylii pomogła mi kobieta, którą musiałem okraść. Nazywała się Nilda Laforet i na zawsze zapamiętałem, co zrobiła. Nie wydała mnie żandarmom. Dała mi jeść i rozmawiała ze mną tak, jak nikt nigdy do mnie nie mówił. Potraktowała mnie jak człowieka i nigdy jej tego nie zapomnę. Wiele lat później miałem okazję odwdziżyć się za tę dobroć - o, to było coś więcej niż dobroć. Ze strony Nildy Laforet to był akt czystej miłości. Bardzo ją szanuję, naprawdę - ciągnął, wciąż wpa trzony w moje oczy. - Choć później, po tym pierwszym roku, kiedy mi pomogła, nie miałem z nią kontaktu. Gdy dowiedziałem się, że umarła, zamówiłem marmurowe rzeźby aniołów na jej grób. - Przerwał, a potem dodał: - A Patrick Laforet był jej wnukiem.
- Evgenia wstała i patrzyła na mnie. Była piękna; miała blond włosy, jędrne piersi i nieskazitelną, złocistą skórę. Solis spojrział na nią przez ramię i znów owinęła mu się wokół szyi.
- Jesteś taki dobry, kochanie - szepnęła wystarczająco głośno, byśmy słyszeli, a potem podeszła do okna i odwróciła się do nas plecami, patrząc na błyszczące Lazurowe Wybrzeże.
- Patrick Laforet był hazardzistą - ciągnął Solis. - Kiedy spotkała go pani w Las Vegas, był już bardzo zadłużony. Miał kredyt w kasynach,

więc przez jakiś czas wszystko było w porządku. Ale hazard jest jak miłość, raz zwyciężasz, raz przegrywasz. Kiedy przyszedł mnie błagać o pożyczkę, nie miał już nic. Solis zrobił krótką przerwę i spojrzał na mnie.

- Wierzyciele mają kamienne serca, a biznes to biznes. Patrick znalazł się w sytuacji bez wyjścia. A wszystko, co mógł zastawić, to hotel Riwiera. Dałem mu pieniądze. Przypuszczam, że spłacił wierzycieli, natomiast nie zwrócił mi długu. Tak więc, jak sama pani widzi, madame Laforet, jestem teraz prawnym właścicielem hotelu Riwiera.

- To niemożliwe - wtrącił Jack. - Jako żona Patricka, pani Laforet jest współwłaścicielką hotelu.

Solis wolno pokręcił głową; jego uśmiech nagle stracił cały swój wdzięk.

- Patrick podpisał dokument jeszcze przed ślubem.

Nagle urok przysł. Solis snuł przede mną historię o tym, jak wyrwał się z nędzy, tylko po to, by na koniec zadać pchnięcie nożem.

- Panie Solis, proszę mi dokładnie powiedzieć, po co panu hotel Riwiera? - spytała panna Nightingale.

- Odpowiedź jest oczywista, panno Nightingale. Tu, na Lazurowym Wybrzeżu, ciężko znaleźć niezabudowany teren nad samym morzem. Madame Laforet zapewne nie wie, że w skład nieruchomości wchodzi także ziemia po obu stronach półwyspu. Patrick miał kurę, która mogła znosić złote jaja. Szkoda, że ją przegrał - w tej chwili Solis znów z tym samym uśmiechem rozłożył ręce - ale hazardzista nigdy niczego się nie uczy. A co najsmutniejsze, nic go nie obchodzi. Liczy się tylko hazard.

Mecenas Dumas pojawił się u boku Solisa jak duch. Nawet nie wiedziałam, że jest w pokoju. Evgenia nadal patrzyła przez okno i paliła papierosa, nerwowo strząsając popiół do kryształowej popielniczki.

- Evgenio, czy musisz tu palić? - ton pytania zadane przez Solisa był lodowaty. - To fatalnie wpływa na dzieła sztuki.

Zgasiła papierosa. Mecenas Dumas stał obok fotela Solisa w oczekiwaniu na instrukcje.

- Dumas, pokaż moim gościom dokumenty - polecił Solis.

- Tak jest, sir. - Dumas podszedł do mnie i wręczył kopię kontraktu oddającego w zastaw nieruchomość i ziemię na rzecz Konsorcjum Solis. Dokument został wystawiony pół roku przed naszym ślubem i był podpisany przez Patricka.

Podaliśmy go Jackowi.

- To podpis Patricka, jak przypuszczam? - spytał.

Kiwnęłam głową. Całe szczęście, że wypiliśmy tylko łyk tej przeklętej wody z lodem.

- Zapewne czuje pani do mnie nienawiść, madame - powiedział Solis - za transakcję, która obróciła się na moją korzyść. Pozwolę sobie przypomniać wszystkim tu obecnym, że mogło się stać inaczej. Patrick mógł wygrać pieniądze, oddać dług i byłoby po sprawie. Do niego powinna pani mieć pretensję, nie do mnie. A pożyczyłem pieniądze Patrickowi i ura towałem jego skórę wyłącznie przez pamięć jego babki. Kobiety, która wiele, wiele lat temu pomogła chłopakowi z ulicy.

Wydobyłam się z głębin kanapy i wygładziłam pogniecioną spódnice. Jack i panna N. stanęli koło mnie.

- Mój adwokat przyjrzy się temu dokumentowi, panie Solis - powiedziałam.

- Zapewniam panią solennie, że nie znajdzie w nim żadnych nieprawidłowości.

Panna Nightingale mocno chwyciła torebkę i podsunęła w górę okulary na nosie. Rzuciła okiem na nadąsaną piękność.

- A co sądzi o tym madame Solis? - spytała.

Evgenia odwróciła wzrok od panoramy Monte Carlo i smętnie popatrzyła na pannę N.

- To bardzo proste - odpowiedział Solis. - Hotel Riwiera będzie małym prezentem ode mnie dla Evgenii. Może z nim zrobić, co zechce.

Evgenia posłała mu zniewalający uśmiech, po czym oparła się plecami o okno, założyła ręce i w milczeniu wpatrywała się w sufit.

Znów, nie wiadomo skąd, pojawił się Manolo. Nasza audiencja u Laurenta Solisa najwyraźniej dobiegła końca. On sam ani nie wstał, ani nas nie pożegnał.

Odwrociłam się do niego jeszcze raz. Siedział wciąż na tym samym miejscu, ale patrzył na Evgenię. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, tylko jego żony. Wyglądała na szczęśliwą.

## Rozdział 31

Siedzieliśmy zamyśleni w ogródku małej kawiarenki w Antibes nad drinkami z lodem, którymi wciąż nie mogliśmy ugasić pragnienia, i analizowaliśmy rozmowę z Laurentem Solisem.

- Wiesz oczywiście, kochanie, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi, prawda? - odezwała się panna N.

- O co? - spytałam i spojrzałam na nią.

- No jakże, naturalnie o seks. *Cherchez la femme*, jak mówią, i sądzą, że w tym wypadku ją znaleźliśmy.

- Evgenia - powiedział Jack. Rozjaśnił się, jakby coś mu zaświtało. - Boże, teraz sobie przypominam, gdzie widziałem Falcona. W Caves du Roy. Był ochroniarzem Evgenii Solis. Trzymał wszystkich od niej na taki dystans, że nawet kelnerom trudno było się przebić.

- Zauważyłeś ją- wtrąciłam.

- Oczywiście, że zauważyłem. Nie da się jej nie zauważyć nawet na ulicy, a co dopiero w nocnym klubie, kiedy tańczy na stole.

- Przed nosem własnego męża - powiedziała w zamyśleniu panna N. — Bardzo ciekawe.

- Chyba jest nienormalna - dodałam.

- Nic podobnego - odparła panna N. - Potrafi go ustawić dokładnie tam, gdzie chce. Ona ma urodę, a on pieniądze.

- Chce mojego domu. - Byłam rozgoryczona. -I co gorsza, już go dostała. Zapewne wszystko zburzy i postawi sobie wspaniałą rezydencję z czterdziestoma pokojami i lądowiskiem dla helikoptera. Zatrudni dwudziestu słujących i będzie wydawać szalone przyjęcia z tańcami na stołach.

- Typowo kobieca przemowa.

- Bo to prawda. Jestem pewna.

- Ja też - powiedziała zaszepiona panna N. - Ale coś jeszcze się za tym kryje. Tego też jestem pewna.

- Jeśli chodzi o mnie, to wiem, że Lola ma poważne kłopoty.

Wpatrywałam się w swojego drinka, myśląc o tym, że przez Patrickę i jego miłość do hazardu straciłam swój hotelik, swój prawdziwy dom i w ogóle wszystko.

- Trzeba skontaktować się z tym prawnikiem w Avinionie, ojcem Oldroyda. - Panna N. wydawała komendy. - Potrzebna nam jest porada prawna.

Jack wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. Była wilgotna od zimnej szklanki z *citronpresse*, ale chyba nie zwrócił na to uwagi.

- Jedno co wiem - powiedział - to że sprawy prawne, a zwłaszcza do tyjące nieruchomości, tutaj, we Francji toczą się bardzo wolno. Zadał o to stary kodeks Napoleona. Upłyną całe lata biurokratycznych targów, wszystko będzie musiało przejść przez odpowiednie kanały i nawet mając duże pieniądze, trudno te kanały pokonać. Starczy nam czasu, by zastanowić się nad dalszymi krokami.

Zauważyłam, że użył słowa „my”, i odruchowo ścisnęłam jego dłoń. Chciał podnieść mnie na duchu, ale to co powiedział, nie całkiem mnie przekonało.

Zapłacił rachunek i w milczeniu wróciliśmy samochodem do hotelu. Panował tu spokój, nie było widać żywej duszy, nawet Nadine gdzieś wyszła

z kuchni. Panna N. oznajmiła, że pójdzie do siebie chwilę odpocząć i przemyśleć wszystko, Jack wracał na swoją łódź, a ja zamierzałam pomyśleć, co mogę zrobić, by uratować swój dom.

- W każdym razie dziękuję - powiedziałam do Jacka, kiedy schodziliśmy we dwójkę ścieżką.

Popatrzył na mnie i zmrużył oczy.

- Za co? Na razie jeszcze w niczym nie pomogłem.

- Ale próbowałeś. A to się liczy.

Obrócił mnie twarzą do siebie. Przez bluzkę czułam ciepło jego dłoni.

- Słuchaj, naprawdę chciałem ci pomóc. Mąż nie powinien zostawiać żony w takiej sytuacji.

- Od dawna nic nie było w porządku między nami. - Wzruszyłam ramionami. - Tak po prostu wyszło.

Staliśmy razem. Jack trzymał ręce na moich ramionach i patrzył mi w oczy.

- Jest naprawdę tak, jak mówiłem. Ta sprawa będzie się wlokła w nie skończoność przez biurokrację. Nikt cię stąd jutro nie wyrzuci.

Kiwnęłam głową, wciąż w niego wpatrzona.

- Tak - powiedziałam.

I wtedy pochylił głowę i mnie pocałował. Miał ciepłe, mocne wargi i słodki oddech. Nie był to namiętny pocałunek, raczej taki, który może zdarzyć się dwojgu zaprzyjaźnionym ludziom. Można powiedzieć, że był to wstęp do romansu. Nie zamierzałam analizować, dlaczego on mnie obchodził albo ja jego. Po prostu strzeliła między nami iskra.

- Odpocznij - powiedział. - Zobaczymy się później na tarasie, przy kolacji.

Kiwnęłam głową i patrzyłam, jak schodzi po kamieniach na pomost i do swojej dinghy. Nie odwrócił głowy, kiedy mknął przez spokojną turkusową zatoczkę.

Później, przy drinku na tarasie, przekazaliśmy moim gościom niedobre wiadomości, także i tę, że Falcon jest ochroniarzem Evgenii. Stąd wniosek, że pracuje dla Solisa.

- To po co tu zamieszkał? - spytała Red.

- Zapewne mnie sprawdza - odparłam ponuro. - Albo raczej kontroluje majątek Evgenii. Widziałaś, jak łąził i coś notował.

- Pan Falcon wyjechał dziś po południu - powiedziała panna N. - Byłam na balkonie i widziałam, jak odjeżdża, miał ze sobą torbę. Mam na dzieję, że zapłacił rachunek?

Popatrzyłam zaskoczona. Nic nie wiedziałam o wyjeździe Falcona.

- Zapewne Nadine tym się zajęła - powiedziałam.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że Falcon mógł węszyć w sprawie Patricka? - powiedział Jack i odwróciłam się do niego zdumiona, tak jak i wszyscy obecni. - Mógł sądzić, że wiesz, gdzie on jest - dodał. - Dowiedziałem się dzisiaj, że we Francji bardzo trudno przeprowadzić jakąkolwiek transakcję dotyczącą nieruchomości, jeśli brakuje którejś z zainteresowanych stron. A także tego, że nie można w tym kraju uznać człowieka za zmarłego, dopóki nie minie dziesięć lat od jego zniknięcia. To może nieco popsuć plany Solisa.

- Dziesięć lat- powtórzyłam, myśląc o Patricku. To chyba niemożliwe.

- Dziesięć lat, podczas których lepiej byłoby ci bez niego - stwierdziła zdecydowanie Red, czym mnie rozbawiła. Kurczę, wiedziałam, że ma rację.

Dolałam wina, mojego własnego rosę z winnicy na wzgórzu, gdzie jesienią wiszą dojrzałe, omszałe grona, w których przetrwał smak lata. Kiedy napełniałam kieliszek Jacka, nasze oczy na moment się spotkały, a w jego spojrzeniu znalazłam cień uśmiechu.

- Zadzwoń zaraz do ojca. - Żonkoś zdjął rękę ze złocistych ramion swojej pani. Przyglądała krótkie jasne włosy i spojrzała na niego z miłością a moje serce stopniało jak zawsze, kiedy widziałam ich razem. Och, być młodym jak oni i tak zakochanym, świeżo po ślubie, mając przed sobą całe życie i błędy, które ja popełniłam.

- A więc - powiedziałam dziarsko, wyjmując bloczek zamówień - polecam cukinię nadziewaną małymi krewetkami, w sosie z bazylii, *soupe aupistou*, jest jeszcze pasztet jarski z sosem ze śmietany i szpinaku. Poza tym domowy makaron z potrawką z perliczki albo grillowana jagnięcina z czosnkiem i rozmarynem, podawana z chrupiącą zapiekanką z cieniutko pokrojonych ziemniaków. Z ryb mamy dziś barweny, małe, grillowane ze świeżymi ziołami. Aha, i jeszcze małże po marynarsku. Na deser jak zwykle sorbety, a ponadto mrożony nugat z owocami i orzechami, z dodatkiem sosu malinowego. Oraz ciasto czekoladowe, które zrobiłam po południu.

Moją wyliczankę powitano wybuchem radości. Akurat w tym samym momencie od telefonu wrócił Żonkoś z wiadomością że ojciec mu pomoże i chciałby zapoznać się ze szczegółami sprawy. Młody człowiek mówił, że podał już ojcu „wszystkie szczegóły”, niemniej tata zadzwoni do mnie jutro.

Podziękowałam serdecznie, przyjęłam zamówienia i zniknęłam w kuchni. Beza urzędowała już w swojej doniczce z hibiskusem. Wetknęła głowę pod skrzydło, nieświadoma faktu, że lada dzień może stracić dom.

A propos domu, wszyscy moi goście mieli zamiar wyjechać podczas tego weekendu. Za kilka dni miałam zostać sama w moim małym, prywatnym rajku, który właśnie przestał być mój.

## Rozdział 32

Była północ, gdy jak Kopciuszek opuszczający bal zeszedłam w końcu z tarasu i ruszyłam do siebie. Pożegnałam się z gośćmi już godzinę wcześniej, ale jeszcze się grzebałam, sprzątając z Jeanem-Paulem i planując z Marit menu na następny dzień. Szczerze mówiąc, nie chciałam zostać sama.

Popatrzyłam na ciemne wody zatoki i na światła „Niedobrego Psa”, myśląc o Jacku Farrarze, a potem zauważyłam, że jego dinghy wciąż jest zacumowana przy pomoście.

Czekał na mnie koło domku. Siedział wygodnie, z nogą założoną na nogę, na rattanowej kanapie stojącej na ganku.

- Wiedziałem, że musisz kiedyś wrócić do domu ~ powiedział.

W błękitnym mroku nocy uchwyciłam błysk jego uśmiechu i poczułam pstryknięcie w sercu, które zawsze oznaczało kłopoty. Stop, ani kroku dalej, nakazałam sobie surowo, ten mężczyzna nie jest dla ciebie. To tylko przyjaciel, który usiłuje ci pomóc i tyle.

- No i jestem. - Padłam ciężko na kanapę obok niego.

- Tak.

Czułam, że na mnie patrzy.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Chyba tak. Dzięki, że pytasz.

- Nie ma sprawy.

Słuchaliśmy łagodnego chłupotu fal obmywających brzeg.

- Rozmawiałem ze znajomym detektywem z Marsylii - odezwał się. ~

W porście niczego nie znaleziono. Tylko odciski palców Patricka.

- Dzięki - kiwnęłam głową. Byłam szczęśliwa, że to nie krew.

- Fantastycznie gotujesz, wiesz? - Jack zmienił temat.

- To mój zawód.

- Owszem, ale czasem kucharze nienawidzą swojej pracy. Ty w gotowanie wkładasz miłość.

- Muszę coś zrobić z tą swoją miłością- stwierdziłam nonszalancko, ale Jack się nie roześmiał. - Skoro więc uważasz, że jestem tak dobrym kucharzem - przy okazji: mówi się *chef*- zapraszam na kolację jutro - powiedziałam nagle. - Mam wolny wieczór, możemy zjeść tutaj. - Nie dodałam „sami”, słowa, które tego wieczoru często pojawiało się w moim słowniku, ale Jack wiedział, co mam na myśli.

- Dziękuję, z przyjemnością. - Podniósł się; stał, patrząc w dół na mnie.

- Jesteś pewna, że dasz sobie dzisiaj radę?



- Jestem pewna - kiwnęłam głową.  
- W takim razie o której?  
- Może być dziewiąta? - spytałam. Tu na południu Francji jadamy późno; dziewiąta była właściwą porą, by nie sądził, że zapraszam go także na noc.

- Przyjdę.

Staliśmy naprzeciw siebie.

- Piękna noc - odezwał się Jack, patrząc na gwiazdy.  
- Czy tak samo wyglądają z twojej łodzi? - spytałam.  
- Ładniej.-Uśmiechnął się.  
- Sądzę, że na łodzi wszystko jest piękniejsze.  
- Nie wszystko - odparł, wyciągając do mnie rękę.

Między złączonymi palcami naszych dłoni przebiegło coś, jak elektryczna iskra. Staliśmy razem z głowami uniesionymi do nieba. Czułam, jak odwraca się powoli i patrzy na mnie. Nasze oczy się spotkały.

- Lola? - powiedział, a potem schylił głowę i pocałował moją dłoń.

To był cudowny, słodki gest, niesłychanie wytworny, ale w jakiś sposób też nieprawdopodobnie seksowny. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Przesunął dłonie po moich nagich rękach, uniósł ciężkie włosy z karku, ujął głowę i przyciągnął ją do siebie. A potem się całowaliśmy.

Mówi się, że oczy są oknem duszy, ale wargi to pierwszy, cudowny kontakt w grze miłosnej - ten delikatny, niepewny pocałunek, jakby w poszukiwaniu siebie, w oczekiwaniu na chwilę, kiedy oczy otwierają się szeroko, a dusza i ciało tworzą jedno.

Pierwszy pocałunek Jacka Farrara był czymś, czego jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam. Pragnęłam wtopić się w jego ciało, stać się jego częścią. W mgnieniu oka uleciały wszystkie problemy, już nie byłam porzuconą żoną Patricka. Byłam znów kobietą i nawet jeśli miało to trwać tylko jedną noc, Jack Farrar był, teraz moim mężczyzną.

Długo trwało, zanim oderwał wargi od moich ust; staliśmy wtuleni w siebie, słabnąc z pożądania.

- Jeszcze - wymruczałam, przesuwając językiem po jego ustach.

Roześmiał się, bo właśnie to samo chciał powiedzieć. A potem, ku memu zdumieniu, wziął mnie na ręce i przeniósł przez drzwi wprost do mojej sypialni.

- Nie tracisz czasu - powiedziałam, śmiejąc się, bo naprawdę ogarnęło mnie poczucie szczęścia. Była to chyba jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu. - Chodź - powiedziałam, zrzucając koszulę i układając się na łóżku jak prawdziwa Jezabel. Śmiał się, kiedy ściągał koszulę i spodnie, a potem bieliznę. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Tak blisko, coraz

bliżej, *mój* Nagi Mężczyzna był jeszcze bardziej doskonały niż oglądany przez lunetę.

- Nic, czego byś wcześniej nie widziała - powiedział ze śmiechem - ale twoich sekretów jeszcze nie poznałem.

- Pokażę ci je - szepnęłam, przesuwając językiem po jego uchu i drżąc z zachwyty pod dotykiem jego dłoni.

- Cudowna - mruzczał. - Cudowna. Lolu, pozwól, chcę cię dotknąć, chcę cię znaleźć...

Błądził wargami po moim ciele, czułam, jak falami przepływa przeze mnie rozkosz. Uśmiechałam się.

- Pyszny —powiedziałam- jesteś najpyszniejszymmężczyzną...

Moje stare łóżko z baldachimem kołysało się do rytmu, kiedy kochaliśmy się przez całą noc.

- Nigdy - szeptałam cicho. - Nigdy w życiu tak nie było...

Zamykał mi usta pocałunkami i znów we mnie wchodził, i znów, aż istniała tylko rozkosz i nic więcej. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Obudziły nas świt oraz sapanie i skomlenie Niedobrego Psa pod drzwiami sypialni. Leżeliśmy na wznak, Jack trzymał rękę pod moimi plecami. Odwróciłam się i uśmiechnęłam się do niego.

- *Bonjour* - powiedziałam miękko.

- Jak się miewasz? - odpowiedział rozbawiony.

A potem były śmiechy, pocałunki i musiałam pędzić pod prysznic, żeby zacząć dzień, i trzeba było ratować Niedobrego Psa, żeby nie czuł się porzucony, i wstać, zanim któryś z rannych ptaszków z mojego hotelu wybierze się ścieżką na plażę.

Jack ujął mój podbródek i zostawił na moich zmaltretowanych wargach mocny pocałunek. I już go nie było.

A ja wciąż uśmiechałam się szeroko.

## Rozdział 33

**W** głowie miałam wspomnienia z cudownej miłosnej nocy. Byłam podniecona jak dziewczyna przed pierwszym szkolnym bale. Dziś wieczorem wszystko musi być doskonałe. Łącznie ze mną.

Jeszcze raz sprawdziłam stół, choć wcześniej zrobiłam to już co najmniej dziesięć razy, wygładziłam płócienny obrus, na nowo złożyłam serwetki, próbując w palcach, czy są odpowiednio wykrochmalone. Przesunęłam ta-

lerze, obejrzałam srebra i po raz kolejny przetarłam kieliszki z zielonego szkła. Potem zajęłam się bukietami białych margerytek, niezadowolona z oględzin popędziłam z powrotem do kuchni i zamieniłam kryształowy wazon na żółty, pękaty dzbanek. Chciałam też zapalić świece, ale było za wcześnie, więc w pośpiechu rozstawiałam świece zapachowe na kamiennym kominku i pływające świeczki w wazach na stoliku do kawy.

Wszystko zapięte na ostatni guzik, oceniłam i pobiegłam ścieżką z powrotem do kuchni.

Restauracja była zamknięta, a personel miał wolny wieczór. Kuchnia w całości należała do mnie; zakreśliłam się więc dokoła, lustrując „swoją dom”. To wciąż był mój dom i nie zamierzałam myśleć teraz o żadnych kłopotach. Dziś był ten najważniejszy wieczór, a mój ukochany, Jack Farar miał przyjść na kolację.

Zapakowałam do pojemników wszystko, co było mi potrzebne do kolacji we dwoje, zaniiosłam do domku i ustawiłam na bufecie, gotowe do podania.

Potem przygotowałam sobie kąpiel, dodałam do niej zbyt dużo olejków zapachowych i leżąc zanurzona po szyję w wodzie, oddałam się pożądanym marzeniom o moim Nagim Mężczyźnie, i to takim, na które na pewno nie odważyłabym się - stwierdziłam w duchu - gdybym była damą. Wyciągnęłam więc zatyczkę z wanny, puściłam zimny prysznic i stałam pod nim tak długo, jak tylko mogłam wytrzymać.

Zmarzłam i dostałam gęsiej skórki. Wytarłam włosy, potrząsnęłam nimi, by wyschły, sięgnęłam po podkład, puder, a na końcu odrobinę perfum.

Pobiegłam do sypialni, żeby się ubrać, i rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze. Stałam. Przyglądałam się sobie długo i krytycznie. Mimo zmarszczek i gęsiej skórki zdawało mi się, że jest we mnie tego wieczoru coś promiennego. Zatrzymałam wzrok na swoim obrazie, przesunęłam dłońmi po piersiach, wciąż jędrnych i kształtnych, po brzuchu, może odrobinę zbyt zaokrąglonym i nieco rabensowskim, ale w końcu jestem kucharką, wzdłuż ud, silnych i muskularnych, jako że całe dni spędzam na nogach. Jakoś zawędrowałam w gęstwę włosów między nogami, bardziej rudych niż na głowie i rzeczywiście kwalifikujących mnie jako prawdziwego rudzielca. Patrzyłam na swoje różowe policzki i rude włosy, na siebie jaśniejącą jak świeczki, które tak starannie rozstawiałam, i znów poczułam dreszcz na wspomnienie wczorajszej nocy.

Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się z poczuciem winy. Włożyłam bieliznę- koronkową, oczywiście, ale bikini, a nie żadne sznureczki, do których nigdy nie mogłam się przyzwycząić. I kremową, nie czarną, bo uważam, że czarna informuje: hej, tu czekam, gotowa i cała twoja. Chociaż

tak właśnie było, nie zamierzałam tego obwieszczać. Dopasowany stanik był miękki i delikatny jak muśnięcie wiatru. Odetchnęłam głęboko z czystej przyjemności. Czy to tylko wspaniały seks? A może to początek zakochania? Kto wie? W tej chwili wiedziałam tylko, że to najlepsza rzecz, jaka mi się zdarzyła od bardzo, bardzo dawna.

Miałam na sobie cieniutką morelową sukienkę, którą już niemal włożyłam tego dnia, gdy Jack Farrar przybył do hotelu Riwiera, ale w ostatniej chwili zmieniłam ją wtedy na spodnie i koszulkę. Wydawało mi się, że czarująco układa się wokół kolan, zwłaszcza kiedy mam na nogach espadryle na koturnie, choć nie były przewidziane do takiego stroju. W uszach duże, złote, ale cienkie kółka; na ręce brzęcząca bransoletka z koralików kupiona na rynku w Saint-Tropez. Pozostało tylko przejechać dłońmi po włosach, żeby utrzymać je w zwykłym, lekkim nieładzie. I oto jestem. Gotowa.

Wyszłam na zewnątrz. Czekałam, póki nie zobaczyłam dinghy płynącej ku mojej zatoczce. Wróciłam do domu i zapaliłam świece.

## Rozdział 34

### Jack

Punktualnie o dziewiątej Jack wspinał się po ścieżce do domku Loli, z kwiatami w ręku. Drzwi były otwarte, koralikowa zasłona poruszała się kołysana morską bryzą i Jack był niemal pewien, że za chwilę Beza wystawi skądś głowę i rzuci na niego okiem. Ale zamiast niej pojawił się Niedobry Pies, który przygalopował z plaży, prezentując coś, co można było określić jako wielki i głupi uśmiech na pysku.

- Lepiej zachowuj się przyzwoicie - ostrzegł go Jack, odsuwając zasłonę. W tej samej chwili stanął naprzeciw Loli ubranej w seksowną, maleńką sukienkę w kolorze brzoskwini i w bezsensowne espadryle zawiązane wokół szczupłych kostek na urocze małe kokardki.

- Przepraszam, zdaje się, że powinienem się przebrać. - Spojrzał w dół na swoje pogniecione bawełniane spodnie, stare mokasyny i zabytkową dżinsową koszulę, z którą nie rozstałby się nigdy, chyba że miałoby od tego zależeć jego życie.

- Wyglądasz... przepysznie - odezwała się Lola.

- Czy tobie wszystko kojarzy się z jedzeniem?
- Jeśli chodzi o ciebie, tak. Można cię zjeść - powiedziała, wtulając się w niego.
- Ciebie też.-Obejrzał ją tak, jak ona oglądała go chwilę wcześniej. Dziewczyna i bezbronna, pomyślał i całując ją, poczuł, jak coś ściska mu gardło. Odsunęła się.
- Przez moment myślałam, że nie podoba ci się moja sukienka.
- Jest śliczna. - Wciąż stał w progu i ściskał w dłoni bukiet kwiatów. I wtedy wpadł do środka Niedobry Pies, omal nie zwalając ich z nóg. Jack wykonał nogą w powietrzu ruch, który miał udawać kopnięcie.
- Przepraszam za tego włóczkę, nie mogę go nauczyć dobrych manier.
- Hej, śliczny jesteś, chodź tu! - zawołała Lola i pies przybiegł do niej. Jack patrzył, jak obejmuje go, mruczając „dobry piesek” i niech to diabli, jeżeli ten kundel nie obdarzył jej swoim spojrzeniem pod tytułem „dobry pies” i potężnym liźnięciem, które zniszczyło Loli makijaż, ale tylko parsknęła śmiechem.
- Po czym Niedobry Pies spostrzegł Bezę przycupniętą na szczycie szafy z nieruchomo wbitym w niego wzrokiem. Minutę później wydał z siebie cichy, żalostny skowyt i oddalił się z podkulonym ogonem.
- Tymczasem... -powiedział Jack, wręczając Loli kwiaty.
- Tymczasem...
- Patrzyła na niego spod długich rzęs sarenki Bambi i przyciskała kwiaty do piersi. A za chwilę leżały już porzucone na podłodze, a oni całowali się i mówili, jak dawno chcieli to zrobić...
- Co z kolacją? - spytała, kiedy musieli zaczerpnąć powietrza.
- A z tym? - Przyciągnął znów do siebie jej usta, czuł, jak wtula się w jego ciało. Drżał, kiedy szeptał: - Na pewno jesteś gotowa?
- Usłyszał miękki, chropawy głos:
- Tak.

## Rozdział 35

### Lola

**C**zy zdarzyło się którejs z was uczucie całkowitego rozpląnięcia się w ciele mężczyzny, tak że nie wiadomo, czy jeszcze istnieję ja, czy

7 - Hotel Riwiera

już jestem częścią kogoś innego? Tak właśnie się czułam, kiedy po raz drugi kochałam się z Jackiem Farrarem.

Pod jego wędrującymi dłońmi byłam delikatna jak jedwab i gładka jak krem; byłam Kopciuszkiem, który stawał się księżniczką, byłam eksplozją gwiazd na niebie i znalazłam się daleko, och, jak daleko od tej naiwnej kuchareczki z Encino. Znowu byłam kobietą. Czułam się cudownie.

- Wiedziałam, że tak będziesz wyglądał - wyznałam, przytulając się do niego całym ciałem i głaszcząc jego złocistą skórę; dotykałam wargami policzka, szyi, wędrowałam językiem wszędzie, gdzie mogłam sięgnąć. Miał wspaniałą skórę, krótkie, rozjaśnione od słońca włosy na piersi i twarde dłonie żeglarza.

- To dlatego, że już widziałas. - Chwytał zębami moje wargi, zamykał je, by znowu całować.

Zachichotałam. To prawda.

- Tak czy inaczej bym się dowiedziała.

- Nie mogę powiedzieć tego samego - mruczał, wsuwając mi język między wargi, aż musiałam odwrócić się, żeby złapać oddech. - Jesteś całkowitą niespodzianką.

Oparłam się na łokciu.

- Miłą niespodzianką?

- Najlepszą z możliwych.

Przyciągnął mnie pod siebie, przesuwał ustami po moim ciele, wtulił we mnie twarz, pieścił ustami, dłonią, językiem. Wygięłam się ku niemu, znowu gdzieś wybuchały gwiazdy, niebo nigdy nie wyglądało tak cudownie, a rzeczywistość przestała istnieć, kiedy wchodził we mnie pewnie i delikatnie.

- Słodka. Słodka - szeptał. - Jak miód. Moja słodka. Moja cudowna Lola - dyszał, kiedy unosiliśmy się w tym samym rytmie; a potem odlecieliśmy razem gdzieś poza świat, w gwiazdzistą noc.

W chwilę potem, kiedy zsunął się ze mnie, leżałam, ściskając jego dłoń, nie wiedząc, gdzie jestem, kim jestem. Zdawałam sobie sprawę, że to Francja, że kocham się w letnią noc, przez okno wpada wiejąca od morza bryza, a obok siebie słyszę oddech mojego szczęśliwego mężczyzny.

*Zagubiona w miłości we Francji*, przeleciały mi przez głowę słowa starej piosenki; zanuciłam kilka taktów, szczęśliwsza niż dziecko zjadające loda i uśmiechnięta jak kot, który wylizał śmietankę. Albo raczej jak Niedobry Pies, który przypuszczalnie już dobrał się do naszej kolacji!

Podskoczyłam zdenerwowana. Przecież wszystko zostało na kuchennym blacie. Wyplątałam się z łóżka i popędziłam do kuchni.

Obejrzałam zniszczenia. Niedobry Pies oblizywał pysk i gapił się na mnie bez najmniejszych oznak poczucia winy. Tupnęłam nogą.

- Ty wstrętny psie! - wrzasnęłam.

Wszedł Jack. Popatrzył na porozrzucane szczątki zakąsek, na kostki z ja<sup>^</sup>gniętych kotletów, na tłustą plamę i liście kasztana, czyli to, co zostało ze wspaniałego prowansalskiego sera, i na okruchy krakersów.

- O Boże! - jęknął z rozpaczą. Wyrzucił Niedobrego Psa na zewnątrz i trzasnął drzwiami. Oboje słyszeliśmy, jak jeszcze węższy w szczelinie u dołu, przy progu.

- Dobrze mu tak - rzuciłam ze złością, ale Jack wybuchnął śmiechem. Był nagi, wyglądał wspaniale i patrzył na mnie tak, jak chciałam, by na mnie patrzono, więc też się roześmiałam.

- I tak deser już dostałem - powiedział, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Pozostaliśmy w tej pozycji przez jakiś czas, po czym przypominając sobie o obowiązkach gospodyni, oznajmiłam:

- Mam jeszcze parmezan i chleb...

Jack jęknął znowu.

- Lolu, czy ty nie możesz przestać myśleć o jedzeniu?

- Nie wtedy, kiedy mój gość jest głodny - odparłam i zaprowadziłam go za rękę do sypialni, choć nie w tym celu, jaki podejrzewał.

Wręczyłam mu biały bawełniany płaszcz kąpielowy, taki, jaki dajemy naszym gościom, drugi narzuciłam sobie na ramiona i wróciłam do kuchni. Wyjęłam z lodówki butelkę mojego ulubionego szampana, Taittinger La Francaise, napełniłam kubek lodem i poszłam do pokoju, żeby Jack otworzył butelkę. Zawróciłam do kuchni, położyłam na talerzu kawałek sera, a na drewnianej deseczce okrągły, chrupiący bochenek. Zabrałam masło, talerzyki i noże, i zaniósłam wszystko do pokoju.

Jedzenie postawiłam na stoliku do kawy i stanęłam, podpierając się pod boki. Pomyślałam, że wyglądamy bardzo rodzinnie. Szczerze mówiąc, omal nie powiedziałam tego Jackowi, kiedy patrzyłam, jak siedzi w moim domku, w szlafroku i otwiera szampana. Powstrzymałam się jednak. Powiedzieliśmy sobie *sante*, stuknęliśmy się kieliszkami i do smaku seksu dodaliśmy jeszcze smak szampana, wciąż nie odrywając od siebie oczu. Pochłaniamy się wzrokiem, pomyślałam z lekkim, rozkosznym dreszczem.

- Pewnie jesteś głodny? - spytałam. Kiwnął głową, nie spuszczać ze mnie spojrzenia.

Nie zwracaliśmy sobie głowy stołem, który tak starannie przygotowywałam; siedliśmy po prostu na dywanie i jedliśmy z małego stoliczka. Ukroiłam chleba i trochę sera.

- Nie ma nic lepszego niż szampan po miłości - stwierdził Jack i wziął mnie za rękę - chyba że jest to kawał chleba z serem.

- Pomyśl, jakie to szczęście, że Niedobry Pies me dobrał się do chleba - powiedziałam z pełnymi ustami. Jak zwykle umierałam z głodu, ale trudno było jeść jedną ręką. - A jeszcze będzie coś lepszego. Mam w lodówce sałatkę z homara, więc nie umrzesz z głodu.

- A co z deserem?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy lubisz creme brulee z lawendą.
- Żartujesz!

Zachichotałam i omal nie zakrztusiłam się chlebem. Jack najwyraźniej nie był wielbicielem creme brulee, nie mówiąc o wersji z lawendą.

- Tak myślałam, że nie będziesz zachwycony, więc zrobiłam ciasto cze koladowe.

Pocałował mnie.

- To mi się podoba.  
- Oczywiście z pralinami, kremem i paroma jeszcze dekoracyjnymi drobiazgami - dodałam - choć mogę podać je tylko z lodami.

- Dobrze, będę stuprocentowym amerykańskim chłopcem. Przynies te lody. Najpierw jednak piliśmy szampana, potem przyniosłam sałatkę z homara, która moim zdaniem doskonale smakuje po seksie albo przed.

Trafiłam na wyjątkowo smaczny kawałek homara i podałam go Jackowi. Pocałował mnie w odpowiedzi.

- Czy mówiłem ci już, że uwielbiam rudzielce? - spytał, odsuwając mi grzywkę z oczu i przesuując dłonią po włosach, co znów wywołało u mnie dreszcz gdzieś w okolicy kręgosłupa.

A potem zapomnieliśmy o deserze i znów się kochaliśmy, na dywanie, pod spojrzeniem koralikowych oczu Bezy, która nadal urzędowała na szafie.

## Rozdział 36

**B**yliśmy jeszcze w łóżku, kiedy obudziło mnie bębnienie deszczu o szyby. Odwróciłam głowę i spojrzałam na Jacka. Nie spał, patrzył na mnie.

- Deszcz - powiedział leniwie. - Kto by pomyślał, tu, na południu Francji.

- Lepiej wpuść psa - poradziłam, stwierdzając zbyt późno, że zabrzmiało to jak uwaga żony. - To znaczy, nie chciałabym, żeby zmókł - dodałam szybko.



Jack podparł się na łokciu i przyglądał mi się. Nie chciałam, żeby myślał, że zależy mi na dłuższym związku. Należał do mężczyzn, którzy cenią sobie wolność, więc muszę cieszyć się tym, co mam w tej chwili. Poza tym nie zamierzałam zakochać się po raz kolejny. Pamiętacie?

- Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia - powiedziałam nerwowo, żeby sprawa była jasna. - Wiesz, spojrzeli na siebie z dwóch krańców pokoju i od razu coś zaiskrzyło...

- To było nad wodą- przypomniał.

Zdziwiona zmarszczyłam czoło.

- Spojrzenia nad wodą, pamiętasz, luneta...

- I lornetka... Jack

kiwnął głową.

- W każdym razie, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, nie wyglądałaś nadzwyczajnie.

- Chyba nie. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie wierzę we wszystkie te historie o miłości od pierwszego wejrzenia.

- Ja też nie. - Położył się z powrotem na poduszce; twarz miał poważną.

- Dobra. A więc żadnego zakochiwania się. - Mój głos brzmiał bardzo stanowczo; mówiła to kobieta, która wie, czego chce. Panna N. byłaby ze mnie dumna.

- Dobrze to powiedziałaś.

- No właśnie.

- W takim razie - stwierdził - wiemy, na czym stoimy.

- Tak. No więc co z tym psem?

Jack wyplątał się z pościeli i powoli podszedł do drzwi, nagi tak jak w dniu, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Wyglądał równie dobrze jak wtedy, kiedy obserwowałam, jak wychodzi z morza. To był jego świat. Nic o tym świecie nie wiedziałam i chyba do niego nie należałam. Miałam rację, że postanowiłam się nie zakochać. Może nie?

I natychmiast poczułam, jak moja determinacja słabnie. Boże, mówiłam sobie, ale ze mnie idiotka. To wszystko już było i znów zakocham się w niewłaściwym facecie.

Jack wpuścił psa. Wytarłam go najlepszym ręcznikiem, a jego pan tymczasem brał prysznic (dostał czysty ręcznik, jeśli kogoś to interesuje). Potem usiadłam na krawędzi łóżka, Niedobry Pies przytulił się do mnie i patrzyliśmy, jak Jack się ubiera. Wsunął stopy w zdeптane mokasyny i stanął przede mną.

- Jedzenie było fantastyczne - powiedział poważnie.

Kiwnęłam głową.

- Szampan też.

- Mój ulubiony.

Odgarnął mi włosy z oczu.

- Lolu, jesteś piękna.

Chciałam powiedzieć: nie, to nieprawda; jestem piękna tylko wtedy, gdy trzymasz mnie w ramionach, ale zamiast tego wymamrotałam:

- Ty też. - Po czym zastanowiłam się, czy to właśnie należy mówić mężczyźnie.

- Powiedz mi - poprosił - czy myślałaś tej nocy o Patricku?

Otworzyłam usta ze zdumienia. Czy on uważa, że potrafię myśleć o jednym mężczyźnie, kiedy kocham się z drugim? Potrząsnęłam głową.

- Dzięki Bogu. - Odetchnął z ulgą.

Przyszło mi na myśl, że może Jack uważa, że traktuję nasze spotkania jak rodzaj terapii, nowoczesną wersję poradni małżeńskiej.

- Chciałbym cię zaprosić na łódź. Nie mogę ci obiecać wykwintnej kociacji, ale rejs po zatoce o zachodzie słońca jest naprawdę miły i tym razem to ja zadbam o szampana.

- Nie znoszę łodzi - powiedziałam szczerze.

Jęknął.

- Naucz się je lubić, kochanie - usłyszałam w odpowiedzi. Podniósł moje dłonie do ust, pocałował je, zawołał psa i zniknął.

Opadłam z powrotem na łóżko i wpatrzona w belkowany strop zadawałam sobie pytanie, dlaczego jestem taką kretyką. Brak wprawy, jak sądzę. A za parę minut już spałam, z Bezą na poduszce, wspomnieniem ciała Jacka i deszczem bębniącym w szyby okien.

## Rozdział 57

Następnego ranka obok mojej zatoczki przeniknęły niewielkie żaglówki, ale w miejscu, gdzie przedtem stał słup, była teraz tylko pusta, lśniąca powierzchnia turkusowej wody. Niedobry Pies i Jack Farrar zniknęli.

Nie mogłam w to uwierzyć. Czulałam kamień w miejscu serca. Z wściekłości przypominałam sama sobie, że już raz wcześniej zostałam zraniona. Trudno, poradzę sobie. Wzięłam prysznic, ubrałam się i starałam opanować. Po raz pierwszy nie zauważyłam, że moja kuchnia jest śliczna, i nie pomyślałam o tym, jak ją uwielbiam. Nie należała już do mnie i Jack Farrar też do mnie nie należał.

Wymamrotałam *bonjour* do Nadine, która uważnie mi się przyjrzała, a potem zrobiła mi kawę. Pomyślałam o tym, co mówiłam Jackowi na

temat miłości od pierwszego wejrzenia. Nawet nie pamiętałam słów, wiem tylko, że było to głupie, a wszystko dlatego, że cierpiałam przez Patricka. Czyż panna N. nie pouczała mnie, że mimo to nie powinnam rezygnować z miłości i romantycznych pragnień? No to proszę, postąpiłam dokładnie według jej wskazówek.

- Wypij kawę - powiedziała po francusku Nadine, stojąc nade mną. - A potem powiesz mi, co się tym razem stało.

- Faceci - oznajmiłam, wpatrzona ponuro w kubek.

- Raczej facet - stwierdziła. Zmarszczyła czoło i trzymała się pod boki.

- Mam tylko nadzieję, że to nie jest znowu Patrick; mam go powyżej uszu. Wszystkie twoje kłopoty to jego вина.

Przytaknęłam.

- Tylko że teraz znowu zrobiłam to samo. Wplątałam się. Spędziłam noc z mężczyzną, który dziś rano zniknął. Co takiego jest we mnie, Nadine? Co robię źle?

- Za bardzo się angażujesz - odpowiedziała. - Powinnaś więcej myśleć o sobie zamiast o innych. Dbasz o wszystkich i ludzie cię za to kochają, ale najwyższa pora, żebyś bardziej zajęła się własnym życiem i własnymi *affaires de coeur*. Zapomnij o Patricku i uporządkuj swoje sprawy.

Podeszła do zlewu i zaczęła brząkać talerzami.

- A o Jacku Farrarze też zapomnij - dodała. - Jest taki sam jak tamten, ma swoje życie i dla ciebie nie ma w nim miejsca.

Ta drobna rada, choć wygłoszona w najlepszej wierze, nie poprawiła mi samopoczucia. Gorąca kawa miała smak gorzkiej pigułki prawdy.

- Pewnie masz rację - westchnęłam. - A tak w ogóle, nasz główny problem polega na tym, że za moment będziemy bez pracy. I co wtedy zrobimy?

W ciemnych oczach Nadine błysnęło współczucie.

- Wcale nie twierdzę, że tak się stanie, ale jeżeli przyjdzie taki moment, że nie będziesz już właścicielką hotelu Riwiera, może razem otworzymy jakieś małe bistro w Antibes. Taki malutki lokalik z wejściem od ulicy. Ty będziesz gotować, ja obsługiwać, a moja siostra witać klientów, chyba że nie będzie chciała zostawić dzieciaków w domu. Wtedy podzielimy się robotą między sobą. Zobaczysz, jaki rozkręcimy interes.

Była taka dobra, okazywała mi tyle serca, więc wstałam i mocno ją objęłam.

- Dziękuję, kochana. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Weszła Marit.

- Madame Laforet - powiedziała. Zamiast codziennego roboczego stroju, czyli szortów i koszulki, miała na sobie ładną letnią sukienkę, a w ręce trzymała walizkę. - Moja *mamon* chce, żebym wróciła do domu.

- O Boże! -jęknęłam. - Czy w domu wszystko w porządku? Coś z mamą?

- *Maman* ma się dobrze, aleja zaraz wyjeżdżam. Mój chłopak pojedzie po mnie za pięć minut. - Spojrzała na zegarek. - Przepraszam, że to się stało tak nagle, ale jak mówiłam, *maman* potrzebuje mnie w Lyonie.

Kiwnęłam głową. Zrozumiałam, Marit się wyprowadzała. Zapewne znalazła lepszą pracę w Lyonie, gdzie się jada znakomicie i gdzie jest wiele dobrych restauracji. Nie miałam do niej ani odrobiny żalu, choć wołałabym wiedzieć o jej planach wcześniej. Zresztą goście wkrótce wyjadą; poradzę sobie.

- Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży, Marit - powiedziałam, wpijając jej czek. - Masz talent i dostaniesz ode mnie doskonałe referencje. - Uśmiechnęłam się do niej. - Daj mi znać, jak sobie radzisz. I dziękuję ci za solidną pracę, doceniam to.

Chyba lekko wytrąciły ją z równowagi mój spokój i moja życzliwość; zapewne oczekiwała wybuchu gniewu.

- Jest pani *tres amiable*^ pani Laforet. Wycisnęła na moich policzkach trzy pocałunki zamiast zwyczajowych dwóch, co było wyraźną oznaką wzruszenia. - *Bonne chance, madame* ~ dodała, biorąc do rąk czek i walizkę.

- Nawzajem, Marit - odpowiedziałam. Pocałowała Nadine i wybiegła.

Dwoje odeszło, ośmioro jeszcze odejdzie, pomyślałam, w chwili gdy Jean-Paul przejeżdżał na rowerze pod moim oknem. Jak zwykle, cisnął rower w krzewy rozmarynu i bez pośpiechu wszedł do kuchni z rękami w kieszeniach i sennym spojrzeniem.

- Co się stało? - Nadine znów trzymała ręce na swych obfitych biodrach.

Jean-Paul zatrzymał się i popatrzył na nią.

- *L'amour* - rzekł zwięźle, a potem dodał: -*Bonjour, madame Laforet*. Zaraz zajmę się stołami.

Przeszedł wolno do swojego pokoju za kuchnią i chwilę potem usłyszałyśmy odgłos prysznicza.

- Miłość to przekleństwo - powiedziałam do Nadine.

Przenikliwy dźwięk telefonu nałożył się na brzęki talerzy ustawianych przez Nadine. Podniosłam słuchawkę. Dzwonił Freddy Oldroyd, prawnik i ojciec naszego Żonkosia. Dokładnie opisałam mu sytuację, obiecałam, że jeszcze tego samego dnia wyślę mu kopie dokumentów. Powiedział, żeby się nie martwiła, bo wszystko się wyjaśni. Odezwie się do mnie, kiedy tylko zapozna się z dokumentacją. Podziękowałam mu, ale w nic już nie wierzyłam. W głębi serca wiedziałam, że nie ma sposobu, bym mogła zatrzymać moją małą *auberge*. Tydzień nie zapowiadał się najlepiej.

## Rozdział 38

Dni upływały jeden za drugim, zlewając się w jeden ciąg zakupów, szykowania, gotowania i zajmowania się gośćmi. Jean-Paul też odszedł. Znalazł sobie pracę na zimę w Cannes.

- Wrócę w lecie przyszłego roku, madame Laforet - obiecał. Poradziłam mu, żeby raczej wrócił do szkoły albo poszedł na praktykę do dobrej firmy, gdzie mógłby się rozwijać i awansować. Ale on nie był ambitny. Dziwne, lecz wiedziałam, że będzie mi go brakowało.

Zanim się zorientowałam, moi goście byli gotowi do wyjazdu. Zbierali się w holu przy wejściu, otoczeni stosami walizek, regulowali rachunki u Nadine, wymieniali adresy i obiecywali utrzymywać kontakt. Pomagałam ładować bagaże do samochodów i już było po sezonie. Nadszedł moment, którego się panicznie bałam.

- Uszy do góry - powiedziała Budgie Lampson, a obaj chłopcy rzucili mi się na szyję, zapewniając, że będą tęsknić do mnie i do moich czekoladowych ciasteczek. Roześmiałam się i wręczyłam im całą torbę tych pyszności. Pochłaniali je radośnie, zanim na dobre usadowili się w samochodzie. - Hej, mieliście to dostać w samolocie! - protestowała Budgie, ale było już za późno, więc ruszyła przed siebie ze śmiechem.

- Będziemy trzymać kontakt przez tatę - zapowiedział Żonkoś, całując mnie na pożegnanie, a jego połowica przytuliła się do mnie mocno i szepnęła: - Jesteśmy z tobą, pamiętaj, i na pewno przyjedziemy za rok.

Pomachałam im na do widzenia i odwróciłam się do Red Shoup, która stała i patrzyła na mnie.

- I co teraz? - spytała, odrzucając swoje rude loki i zaglądając mi w oczy. Nigdy nie owijała w bawełnę; nie okazywała fałszywego współczucia ani nie obiecywała, że wszystko będzie dobrze.

Wzruszyłam ramionami.

- Muszę się zorientować, co mam w kartach - odpowiedziałam, bezmyślnie używając karcianego określenia.

- To oczywiste, kochanie. Ale pozwól, że udzielę ci pewnej rady. Zrób sobie wolne, zajmij się przez chwilę sobą i przestań troszczyć się o innych. Zwłaszcza o mężczyzn. - Rzuciła mi bystre spojrzenie. - A co się właściwie stało z Jackiem Farrarem?

- Odpłynął.

- Na pewno nie na długo, możesz mi wierzyć. - Ucałowała mnie w oba policzki, mocno uścisnęła, powiedziała: -*Bonne chance*, maleńka- i wskoczyła do auta.

Jerry Shoup, przystojny i sympatyczny mężczyzna, który upychał bagaż w samochodzie i dziwił się, ile to rzeczy jego żona potrafiła zgromadzić przez miesiąc, podszedł i wziął mnie w ramiona.

- Wszyscy cię kochamy, Lolu. Jesteś najlepsza, pamiętaj o tym. - Wsiadł za kierownicę i uruchomił silnik.

- Do zobaczenia za rok! - wołała Red, machając z okna.

Oby, pomyślałam. Och, oby tak było.

Odjechali.

Tylko panna Nightingale została jeszcze tydzień. Na razie wybrała się na samotną wycieczkę wzdłuż wybrzeża.

- Potrzebujesz trochę czasu, moja droga - mówiła mi. Wiedziała, co zaszło między mną i Jackiem. - Wszystko się w końcu ułoży - stwierdziła

i odjechała małym, wynajętym fiacikiem.

Czy na pewno? - pomyślałam. Stałam na pustym podjeździe, patrzyłam na mój opustoszały pensjonat i czułam się przeraźliwie samotna.

## Rozdział 39

Niedługo byłam sama. Na podjeździe pojawił się jaguar, srebrno-błękitny kabriolet z Giselle Castille za kierownicą. Dach samochodu był opuszczony, Giselle miała na włosach szyfonowy szal, a oczy zasłoniła wielkimi, bardzo ciemnymi okularami, jak Grace Kelly w *Złodzieju w hotelu*.

Stałam na frontowych schodach i patrzyłam, z jakim wdziękiem wysiada z auta: najpierw wysunęła długie, piękne nogi, poprawiła krótką spódniczkę i wstała, nie pokazując niczego, czego nie należałoby pokazać, z perfekcją gwiazdy opuszczającej limuzynę przed premierą w Hollywood.

Na fotelu pasażera siedział jakiś mężczyzna: młody, w ciemnych okularach i czapeczce baseballowej. Popatrzył na mnie, ale nie ruszył się z miejsca.

- Lola - odezwała się Giselle, idąc w moją stronę, świetna i elegancka, w prostej, białej płóciennej sukience.

- Giselle - odpowiedziałam. Stałyśmy zakłopotane, przyglądając się sobie.

- Musimy porozmawiać - stwierdziła.

- Zapraszam do środka - kiwnęłam głową.

Kiedy weszłyśmy, rozejrzała się dokładnie po gościnnym holu. Przeszła pod łukowatym sklepieniem do salonu, a potem usłyszałam stuk obcasów na płytkach tarasu.

Popatrzyłam dokoła i nagle mój czarujący hotelik okazał się za mało elegancki i trochę podniszczony. A przecież zawsze wydawało mi się, że niedobory luksusu nadrabia urokiem.

Giselle najwyraźniej nie dostrzegła jego uroku. Widziała podniszczone antyki, tanie prowansalskie tkaniny w wesołe wzory, szczyrby na palisandrowym stole i więdnące kwiaty w srebrnych urnach.

- A więc to jest hotel Riwiera - powiedziała.

- Istotnie - przytaknęłam.

- Cały majątek Patricka - dodała, siadając na podrabianym „ludwiku”, poślaczanej sofie, którą pokryłam materiałem w żółte i niebieskie pasy.

- Tak było - potwierdziłam po raz drugi.

- Słyszałam jakieś plotki, że Solis kupił to od ciebie dla swojej żony?

Było to pytanie, a nie stwierdzenie. Odpowiedziałam jasno:

- Patrick był winien Solisowi pieniądze. Zastawił nieruchomości, a potem nie zwrócił długu. Solis zgłasza prawa do hotelu. Ma zamiar podarować go swojej żonie.

- Ach, Evgenii. - Popatrzyła na mnie znacząco. - Kiedy w grę wchodzi Patrick, zawsze *cherchez la femme*.

To samo powiedziała panna Nightingale. Zastanowiło mnie to: czyżby chodziło o Patricka i Evgenię? A jeśli nawet, to skąd Giselle o tym wie?

- W każdym razie - odezwała się - madame Solis będzie musiała walczyć o to ze mną. Mam tu spis tego, co jest mi winien Patrick. Zawsze wypisywałam mu czeki. Mam ich numery i sumy— wszystkie były wystawiane na jego nazwisko. Jestem pewna, że mają daty wcześniejsze niż dług u Solisa. Pożyczałam Patrickowi pieniądze od wielu lat.

- Czy przyjechałaś po to, żeby mi to powiedzieć? - Trzymałam głowę podniesioną wysoko, tak jak mi kazała Budgie Lampson. Byłam wyniosła, zimna i wściekła na tę bogatą, kombinującą dziwkę, której nie wystarczyło, że miała mojego męża; chciała jeszcze odebrać mi dom.

- Z grubsza tak, droga Lolu. No, może jeszcze jeden drobiazg.

- Okej - powiedziałam znużona, ponieważ w tym momencie życie Patricka komplikowało się już w stopniu trudnym do wyobrażenia. - O co chodzi?

- Powiedz mi, gdzie jest Patrick - zażądała, ku memu zdumieniu. - Tylko powiedz mi, gdzie on jest, a zrezygnuję ze wszystkich roszczeń. Obiecuję.

Patrzyłam na nią skamieniała.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Och, wiesz. - Wstała, skierowała się w stronę wyjścia; nienaganna w białym Inie i białym szyfonowym szalu na długich, ciemnych włosach. Wyglądała jak opalona Madonna. - Ostrzegam cię- dodała - dla własnego dobra powinnaś mi powiedzieć, gdzie on jest.

Poszłam za nią do drzwi.

- Co to znaczy: dla mojego dobra? - spytałam ostro, już naprawdę zde nerwowana.

- Ponieważ, droga Lolu, Patrick należy do mnie. Zawsze był mój.

Zostawiła mnie na progu, całkowicie osłupiała. Oczywiście, w tej samej chwili, kiedy ją zobaczyłam, wiedziałam, że musiała być kochanką Patricka, ale co to znaczy: należy do mnie? Ta kobieta oszalała.

Jakby na potwierdzenie tego faktu, zza rogu domu wyłoniła się Beza. Przez chwilę obserwowała scenę przed sobą, a potem z potężnym gdakaniem i machaniem skrzydłami popędziła w stronę Giselle. Start odrzutowej kury, pomyślałam. Giselle wrzasnęła, opędzała się rękami i rozdawała ciosy na oślep, ale Beza atakowała dziobem jej ramiona i nogi - wszędzie tam, gdzie mogła sięgnąć.

- Zabierz to! Zabierz to ode mnie! - wołała Giselle, dodając jeszcze wiązanek bardzo niestosownych dla damy epitetów.

Stałam z założonymi rękami i myślałam: bierz ją, Beza! Sama chętnie wy drapałabym jej oczy.

Z samochodu wyskoczył młody facet. Złapał Giselle i wymierzył kopniaka w stronę Bezy. Chwyciłam ją i wtuliłam pod pachę.

- Jazda stąd - powiedziałam stanowczo. - Nie chcę was tu widzieć.

Kiedy odjeżdżali, Giselle wciąż się darła, ale nie zwracałam na to uwagi. Miałam jednak niemiłe uczucie, że nie było to nasze ostatnie spotkanie. Wróci i poszuka okazji do zemsty.

Weszłam z powrotem do hotelu. Nagle zapanował spokój. Irytujący spokój.

Ściskając pod pachą Bezę, która nie przestawała gdakać, poszłam ścieżką w dół, do swojego domku. Kiedy wyszłam zza żywopłotu z oleandrów, zobaczyłam go.

Czarny słup stał zakotwiczony w zatoczce. Tak jak za pierwszym razem.

## Rozdział 40

Stałam i patrzyłam, a serce waliło mi jak młotem. Usta miałam zaschnięte od gniewu. Beza wyfrunęła z moich ramion i pomaszerowała na taras do swojej doniczki z hibiskusem.

A więc wrócił, tak? Minał prawie tydzień. Gdzie był? Dlaczego wyjechał bez pożegnania? A przede wszystkim, dlaczego nie padło żadne sło-



wo po tamtej nocy? Być może nie zachowywałam się dokładnie tak, jak przystało na damę, ale nie jestem panienką na jedną noc. Jeżeli myśli, że po prostu znów zacumuje w moim życiu, jakby nic się nie stało, to się myli. Mam dość mężczyzn. Wszystkich. Łącznie z Jackiem Farrarem.

Rzuciłam się na rattanową kanapkę stojącą na ganku. Oparłam głowę na poduszkach i zamknęłam oczy. Tłumaczyłam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Życie zadało mi jeszcze jeden cios.

Chwilę później usłyszałam kroki Jacka na ścieżce. Nie otworzyłam oczu, nawet się nie poruszyłam. Ale dźwięk jego głosu przyprawił mnie o dreszcz.

- Lola? Lolu, nic ci nie jest?

Czułam jego obecność, słyszałam oddech. Wyobrażałam sobie, jak marszczy czoło, patrząc na mnie.

- Odejdź - odezwałam się wreszcie.

- Ale właśnie przyjechałam.

- Phi - parsknęłam.

- Hej, co się dzieje, kochanie? - spytał.

Odrobinę podniosłam powieki i popatrzyłam na niego zmrużonymi oczami. Nigdy wcześniej nie powiedział do mnie „kochanie”. Wyglądał tak samo jak zawsze: zbyt atrakcyjnie.

- Właśnie wróciłem ze Stanów.

- Aha. Akurat. - Założyłabym się, że włóczył się z kumplami gdzieś po portach wzdłuż wybrzeża.

Uniosł moje stopy z sofy, usiadł obok i ułożył z powrotem moje nogi na swych kolanach.

- Był wypadek w Newport - powiedział. - Carlos z załogą wypłynęli dużym słupem, którym mieliśmy płynąć do Afryki Południowej. Z niewiadomych powodów obłuzował się ster, właściwie odpadł od łodzi i zostawił po sobie gigantyczną dziurę. Próbowali pompować wodę, ale dziura była zbyt duża i woda za szybko napływała. Łódź zatонуła na głębokości piętnastu metrów. Musiałem wracać. Złapałem pierwszy samolot z Nicei do Paryża, a stamtąd do Bostonu.

- Carlosowi nic się nie stało? I całej reszcie? - Patrzyliśmy już na siebie, ale wciąż zachowywałam dystans.

- Mieli szczęście, bo jeszcze nie zdążyli dobrze zmoknąć, jak wyciągnęli ich ratownicy.

- Dzięki Bogu.

- Tak, to dobra wiadomość. Musiałem szybko wracać, znaleźć ekipę nurków, którzy sprawdzą uszkodzenia, i załatwić dźwigi do podniesienia łodzi. Sporo roboty. A moja piękna łódź jest wrakiem.

Usłyszałam smutek w jego głosie, więc powiedziałam:

- Przykro mi.
- Ujął mój podbródek twardą, ciepłą dłonią.
- Lolu, przykro mi, że jesteś zła i czujesz się urażona. Dzwoniłem, ale cię nie było. Zostawiłem wiadomość u Jean-Paula, powiedziałem mu, że mam pilną sprawę i wrócę za tydzień.
- Uśmiechnęłam się krzywo. Mój eks-pomocnik podchodził do wszystkiego tak samo.
- Jeśli chodzi o Jean-Paula, to jednym uchem mu wpada, a drugim wypada - stwierdziłam.
- Najwyraźniej. Ale ty nie wpadłaś mi w życie jednego dnia i nie wypadłaś drugiego. Uwierz mi, to nie tak. Myślałem o tobie cały czas, kiedy leciałem z Paryża przez Atlantyk. I z powrotem.
- Naprawdę? - czułam, jak mięknę. „Roztapiam się" byłoby w rzeczywistości lepszym określeniem. Twarz Jacka pochylała się nade mną, a potem poczułam na wargach delikatny pocałunek, jak muśnięcie skrzydeł motyla.
- Naprawdę. I wtedy, i teraz. - Głaskał moje nogi leżące mu na kolanach; nie było w tym nic z seksu; po prostu coś miłego i łagodnego. - Co mam zrobić, żebyś mi wybaczyła? - spytał.
- Spuściłam stopy i szybko usiadłam.
- Wiem, *co możesz zrobić* - powiedziałam z błyskiem *rozpaczy* w oku.
- Wszyscy wyjechali, nawet panna Nightingale wybrała się na wycieczkę. Muszę się stąd wyrwać. Czy zabrałbyś szefa kuchni na lancz?
- Super. - Jack posłał mi uśmiech, który mógłby roztopić lód na Antarktydzie. Znów podnosiłam się i zbierałam swoje pogruchotane szczątki, i zaczynałam patrzeć w przyszłość na pewno inaczej, *niż* powinnam. Ale jakoś w tej chwili mnie to nie obchodziło.

## Rozdział 41

Pojechaliśmy do Saint-Tropez - Jack prowadził moje auto i przez całą drogę narzekał na dźwignię biegów. Najpierw zajrzeliśmy do Le Bar Stube, ulubionego lokalu żeglarzy, na piętrze małego hoteliku przy Quai Suffren. Było pełno klientów, głównie miejscowych, a całe wnętrze zastawiono klubowymi fotelami pokrytymi skórą i dziesiątkami modeli żaglowców.

- Jak w domu, choć daleko od domu; chyba tak się tu czujesz, prawda?
- powiedziałam. Sadowiłam się przy stoliku na balkonie wychodzącym na basen jachtowy z zacumowanymi żaglówkami.

- Nie tak dobrze, jak u ciebie na tarasie.
- Dzięki za komplement. Ale zaczynam wątpić w jego atrakcyjność.

Popatrzył na mnie lekko zdziwiony, opowiedziałam mu więc o drugiej wizycie Giselle Castille i o tym, jak jej krytyczne spojrzenie sprawiło, że nagle zobaczyłam swój mały hotel w zupełnie innym świetle.

- Nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Po prostu urządzałam go tak, jakby to był mój dom. Mieliśmy bardzo mało pieniędzy, a i tak większość z nich trzeba było przeznaczyć na remont. Chciałam zrobić basen na dole, nad zatoczką, wiesz, taki, który wygląda, jakby woda bez przerwy przelewała się przez krawędź. Miał być ciemnoniebieski. - Wzruszyłam ramionami. - Ale zabrakło pieniędzy. Teraz oczywiście wiem dlaczego.

- Patrick - powiedział. - Są jakieś wiadomości z frontu?

Znów wzruszyłam ramionami.

- Żadnych. - Popatrzyłam na niego nad stołem. Kelner napełniał kieliszki do szampana. - Tęskniłam za tobą - wyznałam szczerze, choć być może nie należy mówić tego mężczyźnie, którego niedawno się podejrzewało o to, że zostawił mnie na lodzie po jednej upojonej nocy.

- Ja też. - Mocno ścisnął moją dłoń, przygotowując mnie o rozkoszny dreszcz. Kiedy rozluźnił uchwyt, podniósł kieliszek: -Zdrowie Loli March, kobiety o wielkim sercu.

- To serce bije teraz z prędkością dźwięku - odparłam. - Przez szampana.

- Mam nadzieję, że nie. - Uśmiechaliśmy się do siebie szczęśliwi.

Dokończyłam opowieść o wizycie Giselle i o tym, że zaatakowała ją Beza, że boję się kolejnej wizyty, a Jack stwierdził, że Beza najwyraźniej wyczuła złe zamiary Giselle i że on zrobiłby to samo, gdyby był przy mnie.

Trzymając się za ręce, wróciliśmy wolnym spacerkiem do samochodu, a potem pojechaliśmy do Tahiti Beach i do Millesim, cudownie spokojnego klubu na plaży, gdzie nie ma całego tego blichtru Saint-Tropez, zwłaszcza pod koniec sezonu. Niedługo wszystkie kluby na plaży zostaną zamknięte, podobnie zresztą jak większość hoteli i restauracji. Wkrótce dmuchnie mistral, a na szczytach Alp Nadmorskich pojawią się czapy śniegu. Niebo będzie szare i zamglone albo zimowe, jaskrawoniebieskie. Jack znów spuści na wodę „Minutkę”, a potem popłynie do Afryki Południowej ze swoim przyjacielem Carlosem. Niedługo zostaną sama i może się okazać, że nie mam już domu.

Ale trzeba było nadal żyć, dlatego zamówiłam melona Charentais z szynką parmeńską, a Jack poprosił o *moules marinières*.

Lokal był prawie pusty; prócz nas siedziała jeszcze jakaś para sącząca wino rość i obserwująca ludzi, którzy spacerowali po plaży. Podeszedł do nas uroczy biały piesek, stanął na tylnych łapkach i prosił o poczęstunek. Oczywiście nakarmiłam go parmeńską szynką, sobie zostawiając melona,

a kiedy zjadł wszystko, opuścił mnie i poszedł gdzie indziej po następną porcję. Zostawił mi też rządę śladów po ukąszeniach pełnej na lewej nodze - bardzo miły rodzaj podziękowania, stwierdziłam z rozbawieniem.

Oparłam się wygodnie i rozkoszowałam się chwilą. Słyszałam szum morza, patrzyłam na błękit i zielenie pięknego półwyspu, czułam ciepło promieni słońca przenikających przez markizę. Gdzieś w tle cicho śpiewał starą piosenkę Aznavour. To jest właśnie szczęście, pomyślałam.

Potem pochłonięłam całą miseczkę truskawek, a Jack w tym czasie opowiadał mi o Cabo San Lucas w Meksyku, o tym jak różni się to miejsce od naszego wyrafinowanego południa Francji.

- Małe, rozrywkowe miasteczko, kilka hałaśliwych dyskotek, parę lokali ze striptizem, trochę dobrych hoteli, kilka tańszych - mówił. - Mam tam swoje miejsca, w których lubię jadać, na przykład Mocambo, gdzie podają najlepszego na świecie czerwonego snappera, rybę smażoną w całości w głębokim tłuszczu, i salsę tak palącą, że może zwęglić człowiekowi wnętrzności. Najlepszy bar nazywa się Office i stoi na plaży Medrano: siedzi się tam z nogami w piasku, jedzenie jest pyszne, pizza margarita ma wielkość piłki plażowej, a obok, po całym dniu spędzonym na Morzu Corteza, piją rybacy, na których zerkają atrakcyjne kobiety... coś w tym rodzaju.

- Muszę tam kiedyś pojechać.

- Nie spodziewaj się zbyt wiele, to po prostu małe meksykańskie miasteczko nad morzem; prawdziwy Meksyk. Tyle że już buduje się tam wielkie hotele i zaczynają płynąć duże pieniądze. - Westchnął z żalem. - Szkoda, że takie miejsca, które człowiek odkryje i naprawdę polubi, szybko się zmieniają.

~ Tak, rzeczywiście - przytaknęłam, patrząc na niego z przyjemnością.

Spojrzałyśmy sobie w oczy, a to, co w nich wyczytaliśmy, było dla nas oczywiste. Jack wziął mnie za rękę i poszliśmy do samochodu. Było później, niż sądziłam; spędziliśmy razem kilka godzin, ale nie miało to znaczenia. Goście już wyjechali. Miałam wolne. Mój czas należał do mnie.

## Rozdział 42

Jechaliśmy powoli drogą wzdłuż plaży, ściśnięci w moim maleńkim autku tak, że czułam ciepło ciała Jacka. Ogarnęła mnie nagle ochota, by przesunąć palcami po jasnych od słońca włosach na jego rękach.

Zapadła między nami cisza pełna napięcia, które jest wstępem do miłości. Skręciliśmy na cienisty podjazd do hotelu. Jack zaparkował pod plataniną niebiesko kwitnącego powoju; pomyślałam wtedy, że po raz pierwszy

będziemy tu razem, zupełnie sami. Cały dom należał do nas. Mogliśmy zjeść kolację na tarasie, obserwując maleńkie jaszczurki, patrzeć na błękit nieba przechodzący w niebieską barwę morza. Mogliśmy trzymać się za ręce, oddychać słodkim od jaśminu powietrzem i popijać wino rosę. A gdybyśmy mieli ochotę, mogliśmy o północy kąpać się nago w zatoce. Tego wieczoru świat należał do nas.

Rozprostowałam nogi i wystawiłam je z auta, mając w pamięci wdzięk, z jakim robiła to Giselle, ale ona wysiadała z jaguara, a ja z deux chevaux. Ona za to nie miała obok siebie Jacka Farrara myślącego o seksie.

Weszliśmy na taras. Jack przypomniał sobie, że zostawił na łodzi psa i powinien go stamtąd zabrać. Uśmiechnął się do mnie, położył mi ręce na ramionach, tak jak robił to wcześniej i podniósł mój podbródek, aż spojrziałam mu prosto w oczy.

- A potem zajmiemy się resztą- mruknął, ocierając wargi o moje usta.

Patrzyłam, jak schodzi ścieżką w dół, na drewniany pomost. Przy żywopłocie z oleandrów odwrócił się i pomachał do mnie. Zsunęłam sandały, z przyjemnością dotykając gołymi stopami ciepłych terakotowych płytek. Wciąż się uśmiechałam, kiedy przeszłam przez taras do kuchni, gdzie zawsze w końcu trafiałam\* bez względu na to, czy byli goście, czy nie. Szklane koraliki zasłony zadzwoniły nagle pod powiewem wiatru. Jesień była coraz bliżej.

Poczułam pod palcami coś mokrego i śliskiego. Spojrzałam w dół, przyklekłam i przejechałam palcem po podłodze. Krew! Rozejrzałam się dookoła, nie wiedząc, skąd mogła się tu wziąć. I wtedy zobaczyłam Bezę.

Leżała koło doniczki z hibiskusem. Miała poderżnięte gardło. Uklekłam obok niej, próbowałam zetknąć brzegi rany, ale było za późno.

Łzy potoczyły mi się po policzkach. Była moim kochanym maleństwem, dziwnym małym zwierzątkiem, żółtym kurczaczkiem, który przyglądał mi się odważnie, siedząc na mojej dłoni. Głaskałam jej piórka i cicho płakałam.

## Rozdział 43

### Jack

**J**ack pogwizdywał wesoło. Uwiązał dinghy przy pomoście i wchodził ścieżką z powrotem pod górę. Niedobry Pies biegał obok i rozśmieszał pana, chodząc na tylnych łapach.

8 - Hotel Riwiera

- Radzę ci zachować się przyzwoicie *dziś* wieczorem, stary - powiedział i obdarzył go potężnym, przyjacielskim klepnięciem. - Tym razem żadnego wyzerania kolacji. Ani innych kawałów - dodał. Miał w oczach obraz Loli wysiadającej z samochodu, falę rudych włosów, niecierpliwy ruch ręki od garniającej grzywki z oczu, nagie, opalone kolana i śliczną linię ust, kiedy odwracała do niego głowę i uśmiechała się lekko i tajemniczo.

Podczas tygodniowej podróży do Stanów tęsknił do niej bardziej, niż mógł przypuszczać. Głowę wypełniały mu niespokojne myśli o zatopionym jachcie, ale w ciągu długiego lotu nad Atlantykiem, kiedy z zamkniętymi oczami leżał w fotelu, Lola przesłaniała w jego wspomnieniach inne obrazy. Widział jej spojrzenie, czuł pod palcami gładkość jej skóry. Pamiętał piwne oczy, nagle zdumiewająco okrągłe, gdy z ust Solisa padła szokująca wiadomość, że zamierza podarować hotel swojej żonie, Evgenii, i dumną reakcją Loli, która wstała i oświadczyła mu, że zajmą się rym jej adwokaci.

Lola March Laforet tak łatwo się nie poddawała. Podziwiał ją za to. A także za ciężką pracę, za sprawne prowadzenie tego małego hoteliku, za miłość, którą w to wkładała, i za poświęcenie.

Należało, oczywiście, zostać w Newport i zająć się interesami. Miał na głowie sprawę kosztownego wraku i nie powinien siedzieć teraz na południu Francji, by pomagać Loli Laforet układać życie na nowo. Dobrze byłoby zająć się własnym życiem. Ale tym razem biznes zszedł na drugi plan. Jack zostawił wydobytą łódź i wszystkie problemy w rękach Carlosa, obiecując sobie, że spędzi we Francji raptem kilka dni, najwyżej tydzień, tylko tyle, by upewnić się, że u Loli wszystko jest w porządku. A potem wróci i przygotuje „Minutkę” do podróży na południe Afryki.

Obszedł różowy oleander rosnący przy narożniku domku Loli i ruszył w stronę tarasu; odwrócił się jeszcze i spojrzał za siebie. Gdzieś daleko ciemne niebo łączyło się z morzem, nie widać było linii horyzontu, tylko niekończący się błękit; w drzewach szumiał wiatr, a Niedobry Pies węszył w krzakach. Wokół panował idealny spokój.

Jack uśmiechał się, wchodząc po stopniach na taras. Byli teraz sami, a warsztat szkutniczy i pilne remonty odplynęły gdzieś niewiarygodnie daleko.

- Lolu! - zawołał, przechodząc przez taras. - Lolu, nie mów mi tylko, że znowu siedzisz w kuchni.

Zobaczył ją, gdy klęczała przy Bezie, twarz zakrywała dłońmi.

- Jezu - szepnął. Wiedział już: Giselle wróciła, żeby się zemścić.

Ukląkł, dotknął ramienia Loli i poczuł, że drży.

Odwrócił ją do siebie, oderwał jej rękę od oczu, ścisnął je mocno.

- To Giselle - mówiła. - Nienawidziła mnie za Patricka.

Jack zaprowadził ją do salonu i ułożył na kanapie. Podparł głowę poduszkami, przyniósł chusteczki, wodę z lodem i ścierkę z kuchni.

- Wytrzyj nos -polecił. Namoczył ściereczkę i starł z Loli krew Bezy.

Podniosła głowę i patrzyła na niego. Długie, sarnie rzęsy posklejały się jak u płaczącego dziecka. Była zupełnie bezbronna.

- Muszę ją pochować - powiedziała. - Pod oleandrem koło mojego domu.

- Zrobimy to razem.

Oczyścił pióra Bezy i zawinął ją w stary, błękitny kaszmirowy sweter Loli, zmył taras i wyrzucił zakrwawioną szmatę. Znalazł łopatę i wykopał dół w miejscu, które wybrali. Lola siedziała na rattanowej kanapie, trzymając w ramionach owiniętą w sweter Bezę.

- Chyba wystarczy - rzekł. Dół musiał być dość głęboki.

Lola przyklękła przy małym grobie. Ułożyła w nim zawiniątko.

- Żegnaj, moja mała przyjaciółko - wyszeptała, podniosła się i odeszła.

Jack zasypał ziemię, wykopał niebiesko kwitnący ołownik i posadził go na szczycie kopczyka.

Lola siedziała wyprostowana na kanapie i patrzyła w przestrzeń.

Przykucnął przed nią, ujął jej ręce w swoje dłonie, przyglądał się zaniepokojony.

- Chodź, kochanie - rzekł łagodnie. - Pójdziemy do domu.

## Rozdział 44

# Jack

Siedzieli na pokładzie. Pies rozciągnął się obok nich i cicho pochrapywał. Na atramentowym niebie błyszczały gwiazdy i półksiężyc, który wyglądał, jakby ktoś przypiął go szpilką do granatu. Morze marszczyło się łagodnie i kołysało niewielką łódkę, a w linach dźwięczał lekki wiatr.

- Spałaś kiedykolwiek na pokładzie łodzi? - zapytał Jack.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Leżał na wznak z rękami podłożonymi pod głowę, wpatrzony w gwiazdy.

- Nie.

- To coś fantastycznego. Jesteś tylko ty, niebo i wiatr. Kiedy słońce wschodzi, dotyka twoich powiek jak ciepły pocałunek.

Przetoczyła się na brzuch, podparła dłonią podbródek, patrzyła na niego.

- Naprawdę tak jest?
  - Mhm.
- Znów położyła się na plecach.
- Chcę, żeby słońce całowało moje powieki - westchnęła. - Chcę poczuć ten pocałunek.
  - W takim razie poczujesz go, Kopciuszk - zdecydował i poszedł po koce i poduszki. Ułożył je na pokładzie, przykrył Lolę i przykleknął przy niej.
  - To była Giselle - powiedziała. - Jestem pewna. Jest zazdrosna o Patricka.
  - Raczej przysłała tu swojego przyjaciela.
  - Nie odchodź. - Chwyliła rękę Jacka. ~  
Jestem przy tobie.
  - To dobrze - szepnęła i zamknęła oczy.
- Kiedy upewnił się, że śpi, poszedł na dziób. Patrzył na ciemne morze i z niepokojem myślał, co jeszcze może się zdarzyć.
- Chwilę później nalał sobie brandy i wrócił do Loli. Patrząc na nią, w przypływie czułości pomyślał, że tak musiała wyglądać, gdy była małą dziewczynką.
- Położył się obok. Lubił dotknięcia wiatru i znajome uderzenia fal w kadłub łodzi. Myślał o Sugar, o wszystkich dziewczynach, które były przed nią, o tym, jak dobrze mu było z każdą z nich na pokładzie „Niedobrego Psa”. Ale nigdy dotąd nie czuł się tak jak teraz.
- Obudził się, zanim słońce pocałowało powieki Loli. Usiadł, widział ją teraz w miękkim, szarawym świetle. Jeszcze spała. Wstał po cichutku, zszedł na dół do kabiny, wziął szybki prysznic i nastawił kawę. Zaczynała wrzeć, kiedy wyszedł z powrotem na górę. Słońce już wychylało się zza horyzontu. Lola uśmiechała się, choć wciąż miała zamknięte oczy.
- Poczułam to - powiedziała. - Czułam pocałunek słońca.
  - Jak było?
  - Świetnie. Poczułam się... świetnie.
  - Teraz wiesz, dlaczego lubię żyć na łodzi.
- Usiadła i przejechała dłońmi po zmierzwionych włosach.
- Nie patrz tak. Okropnie wyglądam - poprosiła. Wiedziała, że to prawda.
  - Wcale nie patrzę- odpowiedział. - Jestem tylko z obsługi hotelowej.
- Lola spojrzała na tacę, którą przyniósł. Dzbanek z kawą, dwa niedobre do siebie kubki, dwa ugotowane jajka wetknięte w kieliszki do wódki, papierowy talerzyk z grzanką pokrojoną w słupki i roztopiające się masło. Popatrzyła na Jacka.
- Zjedz. Poczujesz się lepiej - rzekł.
- Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.
- Na pewno - odparła.



## Rozdział 45

### Panna N.

Panna Nightingale z zachwytem prowadziła małego fiata, którego wynajęła z myślą o wycieczce wzdłuż wybrzeża. Przypominał jej własnego minicoopera, choć jej autko było czerwone jak wóz strażacki, a nie mdło srebrzyste, jak to. Ani przez chwilę nie miała wątpliwości co do koloru, kiedy przed ponad rokiem kupowała samochód. Wyobrażała sobie, jak jej Tom mówi: Mollie, po co ci ta czerwień, zauważy cię każdy gliniarz od Blakelys do Londynu, a przy twoich prędkościach zbierzesz więcej mandatów niż paragonów na zakupach. Ale oczywiście nie było przy niej Toma, który by ją ostrzegł, a poza tym Mollie rzadko teraz wybierała się do Londynu. A jeżeli już tam jechała, to pociągiem z Oksfordu na dworzec Paddington. Było to znacznie łatwiejsze niż szukanie potem miejsca do zaparkowania.

Auto było więc ogniście czerwone i znali je wszyscy mieszkańcy wioski. Machali do niej, uśmiechali się tak samo jak wtedy, gdy siedziała na tylnym siodełku ryczącego, turkusowego harleya Toma. Wiatr odsłaniał zapewne więcej nogi, niż wypadało w jej wieku, a twarz zakrywał kask, który zawsze budził w niej uczucie klaustrofobii. Nie była w stanie pozbyć się harleya; polerowała go co tydzień, aż wyglądał jak eksponat z wystawy, a nie z jej małego garażu, który kiedyś był szopą na narzędzia ogrodnicze.

Jadąc autostradą w kierunku Cap-Ferrat, myślała jednak o Loli. Chciała jeszcze raz rzucić okiem na starą willę Leonie Bahri, zaniedbaną i niemal ukrytą przed ludzkim okiem w gęstwinie pnączy. Na wielkiej żelaznej bramie wisiała tablica: TEREN PRYWATNY. NIE WCHODZIĆ, ale panna N. zlekceważyła ją w przekonaniu, że nikt nie oskarży kobiety w jej wieku o kradzież. Nie zamierzała wchodzić do domu; to byłoby niestosowne. A przez brudne i zasłonięte pnączami okna nie mogła nawet zajrzeć do wnętrza.

Willa Leonie intrygowała ją niemal tak samo, jak zniknięcie Patricka Laforet, choć oczywiście nie chodziło tu o żadne skojarzenia z tym, co mogło się przydarzyć mężowi Loli. Leonie Bahri należała do przeszłości, jednak czytelnik zainteresowany jej historią mógł w każdej chwili poczytać o niej w redakcyjnych archiwach. Były tam nawet zdjęcia, robione zmiękczającą soczewką, stare i nieostre, na których uwieczniono wysoką postać z burzą jasnych włosów spływających do pasa, jak u kobiet na obrazach Dantego Gabriela Rossettiego. Niektóre fotografie ukazywały ją w kapeluszach,

rękawiczkach i w czymś, co zapewne było kiedyś najnowszą paryską kreacją, ale zawsze unosiła się wokół niej aura tajemniczej przeszłości.

Willa Leonie, niegdyś La Vieille Auberge, czyli zwyczajnie stara obozowa, była prostym, białym budynkiem z zielonymi okiennicami. Stała w bujnym ogrodzie, na opadającym ku morzu skalistym stoku porośniętym oliwkami. Popękane kolumny świadczyły o zaniedbaniu, a przez dziury po opadłych dachówkach niewątpliwie wpadały do środka zimowe deszcze.

Jest jednak w tym miejscu coś magicznego, myślała panna Nightingale, wędrując na pół zarośniętymi ścieżkami przez kiedyś zadbane i efektowne tarasy ogrodu. Cisza i spokój na zawsze pokryły tutejsze tajemnice.

Wiedziała, że Leonie sama zajmowała się ogrodem. Zamieniła też stary dom w uroczy hotel, zupełnie tak samo jak Lola, i podobnie jak Lola została porzucona przez ukochanego. Czy coś jeszcze łączyło losy tych dwóch kobiet? Panna Nightingale żałowała, że tak mało wie o życiu Leonie. Były to tylko informacje, które wyczytała w lokalnych gazetach - że była sławną gwiazdą scen muzycznych, że jej kochankiem był człowiek o wysokiej pozycji, a ona sama kochała zbyt często i niezbyt mądrze.

Nieważne. Panna N. otrząsnęła się ze wspomnień o Leonie; zrzuciła z kamiennej ławki zeschnięte liście i usiadła w cieniu kwitnącej dalbergii. Dochodził tu tylko śpiew ptaków i daleki odgłos fal uderzających o skalisty brzeg. Przymknęła oczy; poczuła spokój i zadowolenie z życia.

Kiedy obudziła się, złociste, poranne niebo przeszło już w jaskrawy błękit upalnego popołudnia. Odświeżona i wypoczęta zerwała się z ławki, choć w kolanach coś jej zatrzeszczało. Boże, pomyślała, pora lanczu już na pewno mija, a wiadomo, jak jest z tymi Francuzami. Jeśli człowiek nie pojawi się dziesięć minut przed drugą, to już go nie obsłużą. Zapewne sami idą wtedy coś zjeść. Dlatego panna N. porwała się na zuchwały plan i postanowiła wybrać się za granicę, do Włoch. Tam nikt nigdy nie odmówił kobiecie posiłku, niezależnie od pory dnia.

Odchodziła już, kiedy kątem oka dostrzegła pod drzewem niewielką marmurową figurkę. Przyklękła, oczyściła kamień płócienną chusteczką i włożyła okulary.

Zobaczyła posążek małego kotka. Smukłe zwierzątko ze spiczastymi uszkami i trójkątnym pyszczkiem leżało brzuszkiem do góry, lekko zwinęte, z kokieteryjnie przekrzywioną główką i zgiętymi łapkami. Wyglądało tak czarująco, że panna N. nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nachyliła się, żeby odczytać napis. BEBE, głosił. NA ZAWSZE W MOIM SERCU.

Bebe była zapewne kotem Leonie; zwierzątko miało nawet w sobie coś z wyglądu kobiety z fotografii: spiczasto zakończona twarz, wdzięk, poza wiecznej kokietki. A więc Leonie pochowała swoje „dziecko”, bo to właś-

nie znaczyło imię kotka, pod tym samym drzewem, gdzie być może siadywała z nim tak, jak dziś siedziała Mollie.

Panna Nightingale poklepała na pożegnanie kamiennego kotka, a potem wróciła przez ogród na cichą, boczną drogą. Starannie zamknęła za sobą rdzewiejącą bramę; nie chciała, by ktoś obcy naruszył miejsce, które odkryła i uznała za swoje. Wsiadła do samochodu i wróciła na autostradę. Ruszyła na wschód.

Włochy, powiedziała sobie w duchu, rozbawiona. Proszę, cóż za przystępna.

## Rozdział 46

**M**aleńki fiacik pracowicie warczał na stromych wzniesieniach nadmorskiej trasy, pokonując miejsca, gdzie droga zakręcała o sto osiemdziesiąt stopni. Widok, który się z niej rozciągał, mógł przyprawić o zawrót głowy, z tragicznymi konsekwencjami dla kierowcy. Panna Nightingale nie miała jednak takich problemów, po krętych drogach mogła prowadzić samochód całymi dniami, a może i nocami, całkowicie obojętna na urwiska po prawej i ryczące ciężarówki po lewej stronie. Podróż okazała się jednak dłuższa, niż panna N. przypuszczała, więc dusiła pedał gazu, poganiając autko do szybszej jazdy.

Kiedy przekroczyła granicę w Ventimiglia, uświadomiła sobie, że jest zbyt późno, by wybierać się gdzieś dalej. Zjechała w stronę nadmorskiego bulwaru, wcisnęła fiacika w wąskie miejsce na parkingu i pogratulowała sobie doskonałej jazdy. Znalazła niewielką, schludnie wyglądającą kawiarnię, zamówiła lasagne i szklanę lemoniady.

Nie ma nic lepszego od lemoniady w gorące popołudnie, pomyślała, rozglądając się po sąsiednich stolikach. Nie było turystów; tylko kilku miejscowych robotników pochylało się nad szachownicą; prócz nich dostrzegła jeszcze dwie starsze panie. Najwyraźniej babcie, podobne do mnie, stwierdziła, tyle tylko, że mają szczęście i mogą po południu opiekować się wnukami. Och, przez tyle lat panna Nightingale też miała „swoje dziewczynki” ze szkoły Królowej Wilhelminy, a wspomnienia o nich zajmowały w jej pamięci miejsce należne wnuczkom.

Ledwie skubnęła lasagne. Po raz pierwszy trafiła we Włoszech na niesmaczne jedzenie, choć przez wiele lat zatrzymywała się w tym kraju w przeróżnych *pensiones* i *albergos*. Nawet lemoniada była niedobra -

ostra, kwaśna i za ciepła. Mała przygoda traciła urok, zwłaszcza w perspektywie drugiej podróży do domu. Panna N. z westchnieniem uregulowała rachunek i zostawiła stosowny, choć jej zdaniem niezasłużony napiwek. Przed czekającą jazdą postanowiła jeszcze rozprostować nogi.

Nowe ducati 748S, zaparkowane w pobliżu kawiarni, natychmiast przyciągnęło jej uwagę. Na pewno podobałoby się Tomowi, pomyślała. Smukłe, lśniąco i mocne; szczytowe osiągnięcie designu w dziedzinie motocykli. „Ducati kosztuje fortunę”, mówił jej Tom, „w motorach to odpowiednik ferrari”.

Panna Nightingale obchodziła szarą maszynę z jaskrawoczerwonymi kołami, podziwiając ją ze wszystkich stron. Ciekawe, do kogo to cudo należało. Z uśmiechem ruszyła przed siebie. Dziesięć minut szybkiego marszu i można będzie wracać.

Mocno zawiązywała pod brodą wstążki słomkowego kapelusza i rozglądała się po placu w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby zaczepić wzrok: pomnika, sklepu czy starych rzeźbionych drzwi, ale nie znalazła niczego i poszła z powrotem w stronę parkingu.

Właściciel ducati właśnie sadowił się na siodełku. Panna Nightingale zatrzymała się, żeby jeszcze raz rzucić okiem. I wrosła w ziemię. Jak słup soli.

Motocyklista włożył kask. Rozejrzał się na boki, sprawdził, co się dzieje za nim. Przez ułamek sekundy patrzył w kierunku panny Nightingale, a potem wystartował na ulicę i zniknął.

Nozdrza panny Nightingale zwięzły się jak u węszącego charta. Zdjęła i przetarła okulary. Założyła je z powrotem i wpatrywała się w brukowaną ulicę, jakby oczekując, że motocykl znów się na niej pojawi. Wyjęła z torbki mały, oprawiony w skórę notesik i zapisała w nim numer rejestracyjny. Czegoś w końcu nauczyła się od Toma.

Mogłaby przysiąc, że kierowcą kosztownego ducati był nie kto inny, tylko Patrick Laforet.

## Rozdział 47

### Patrick

**P**atrick Laforet kochał kobiety, ale niemal tak samo uwielbiał prędkość. Zwłaszcza kiedy siedział na takiej maszynie, a z rur wydechowych wydobywał się ryk podobny do odgłosu startującego odrzutowca.

Ducati 748S było cudem. Lśniące jak niewidzialny dla radaru samolot, z dodatkiem matowych szarości i czerwieni felg wykonanych ze stopów magnezowych. Nic nie mogło go prześcignąć, chyba tylko jego porsche. Żałował, że musiał się z nim rozstać, ale Evgenia postanowiła, że trzeba się go pozbyć. Zanadto rzucał się w oczy. Miała rację, oczywiście. Jak zawsze. Poruszała się w tych sprawach z taką łatwością, że go to fascynowało.

Dodał gazu, kiedy wyjechał na autostradę, przemknął obok konkurentów, okrywając ich kurzem. Nie przywiązywał do tego wagi, bo to byli zwykli ludzie, a zwykły znaczy tyle co biedny. Patrick zaznał biedy i jej nienawidził. Wiedział, że brak pieniędzy wyklucza szczęście. Lubił mieć w życiu to, co najlepsze i lubił szacunek, jaki budziły pieniądze. Walczył o to od dawna; raz mu się udawało, innym razem nie, ale wreszcie przyszłość zaczynała się rysować lepiej.

Dotknął koperty wciśniętej do wewnętrznej kieszeni dzinsowej marynarki; czuł na piersi jej twarde krawędzie. Evgenia zrobiła to jeszcze raz; ich kapitał rósł, ale jej zdaniem zbyt wolno. Była równie ambitna jak on, ale dwa razy bardziej bezwzględna. Patrick na przykład nigdy, nawet za sto lat, nie wyszedłby z takim planem, jaki wymyśliła Evgenia. Może trzeba być Rosjanką, żeby dojść do czegoś takiego. A może wystarczy być piękną kobietą, by zrealizować każdy pomysł.

To jej uroda, oczywiście, przyciągnęła jego wzrok, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na lanczu w Club 55, ulubionym miejscu popołudniowych plażowych spotkań śmietanki towarzyskiej. Każdy, kto był kimś i przebywał akurat w Saint-Tropez albo na swoim jachcie w pobliżu, przychodził na lancz na taras do Cinquante-cinque. Na stołach stały kwiaty, szampan chłodził się w srebrnych kubelkach i można było oglądać najpiękniejsze na świecie ciała w bikini, szortach i sandałach. Wszystko od najlepszych projektantów.

Zaczął się rok temu. Patrick siedział samotnie przy stoliku, pod białą płócienną markizą, ponieważ facet, od którego zamierzał pożyczyć większą sumę, wcale się nie pokazał. Pewnie zwęszył pismo nosem, myślał ponuro Patrick, popijając piwo.

Teraz będzie musiał postawić sobie lancz, bo choć wszyscy go tu dobrze znali, kelnerów nie zachwycił fakt, że zajmował dobry stolik, który mógł przynieść dużo większe zyski. Rozumiał ich, sezon był krótki i każdy zarabiał, jak mógł.

Dopił piwo i zamierzał właśnie wyjść, bez lanczu, kiedy spostrzegł sunącą po wodzie motorówkę. Kierowała się najwyraźniej w stronę klubu. Była to „Riva”, smukła łódź pokryta jaskrawożółtym lakierem znakomicie dopasowanym do koloru bikini stojącej na dziobie blondynki. Wysokiej jak tancerki z Las Vegas. Miała na sobie tyle brylantów. Fantastyczna.

Bogactwo miała wypisane na czole, ale był to jedynie atrakcyjny dodatek. Przeszła za szefem sali obok stolika, przy którym siedział Patrick. Jak pies myśliwski idący górnym węchem, wysunął w jej stronę swoje męskie radary. Stała w miejscu i popatrzyła mu w oczy.

- Czy to miejsce jest wolne? - spytała, kładąc rękę na oparciu.

Kiwnął głową.

- Jestem sam.

- Nazywam się Evgenia - powiedziała i w tym momencie przebiegła między nimi jakaś iskra. Jej głos był słodki i gładki jak lejący się miód. - Aty?

W końcu w ogóle zapomnieli o lanczu. Wymknęli się z klubu, wsiedli do porsche i popędzili do małego pied-a-terre, które Patrick utrzymywał na wzgórzach nad miastem właśnie na takie okazje. „Kochali się”, ale żadnej elektryczności już w tym nie było. Jakies bardziej dosadne słowo lepiej by określało to, co robili - krzyki pożądania mieszały się z namiętymi słowami Evgenii. Patrick nie miał nigdy kobiety takiej jak ona; Evgenia nigdy nie miała nikogo takiego jak on. I chciała go zatrzymać. Na zawsze.

Byli już kochankami od trzech miesięcy, kiedy po którymś namiętym spotkaniu w jej głowie zrodził się właśnie ten plan. Leżeli w pogniecionej pościeli; Evgenia paliła swoje ulubione gitanesy z filtrem, Patrick wyciągnął się obok niej, z rękami założonymi pod głowę, jeszcze mokry od potu.

- Sprawa jest bardzo prosta - powiedziała gardłowym szeptem, z rosyjskim akcentem, który czasem brzmiał niemal komicznie, jakby grała rolę pięknego szpiega w parodii hollywoodzkiego filmu. Po czym wytłuma czyła, na czym ta prostota polega. Patrick odzyska swoją ziemię i hotel. Wiedziała, że to dla niego ważne, bo powtarzał jej to bez końca. Ona sama zajmie się Solisem, który w tej chwili jest tak zadurzony, że zrobi dla niej wszystko. Ale to nie potrwa długo, zwłaszcza kiedy odkryje, zapewne dość szybko, że sprzedała wszystkie klejnoty, samochody, futra i schowała pie niądze. - Wtedy będę musiała się go pozbyć - stwierdziła.

Patrick się roześmiał. Nie brał tych opowieści poważnie. Evgenia jednak wszystko przemyślała starannie. Wybierze się z Solisem na nocny rejs wzdłuż wybrzeża, tak jak to często robią. Załoga „Agamemnona” zawsze wcześniej znika w swoich pomieszczeniach. Solis lubi zostawać wtedy z nią sam na pokładzie. Wybierze bezkسیężycową noc, może podprowadzi go do relingu i zaproponuje, żeby popatrzyli na delfiny. Zadba o to, by Solis sporo wypił; może doda odrobinę czegoś do jego drinka; to stary człowiek i chociaż jest dobrze zbudowany, ona na pewno ma więcej siły, a poza tym będzie działać z zaskoczenia. Wystarczy jedno mocne pchnięcie i po wszystkim. Odzyska wolność. Plan wydawał się bardzo prosty.

- A potem - powiedziała, siadając okrakiem na Patricku i patrząc mu w oczy - ty pozbędziesz się swojej żony.

Patrick w brutalny sposób został wyrwany z marzeń o namiętności i pieniądzach. Nagi i wściekły przemierzał pokój tam i z powrotem, zastanawiając się, kim jest ta kobieta i jak mogło jej coś takiego przyjąć do głowy. Rozwieść się z Lolą może, zabić - nigdy.

Ale Evgenia pomyślała o wszystkim.

- Popatrz na to z mojego punktu widzenia, kochanie - wyjaśniała. - Jeżeli z tobą ucieknę, zostanę bez niczego. A wierz mi, złotko, nie należę do kobiet, które potrafią żyć w biedzie. Muszę zabić Solisa.

Jęknął; odepchnęła go.

- Nie udawaj, Patrick. Jesteśmy do siebie podobni. Odchodzę od Solisa. Nie mam nic. Ty rozwodzisz się z Lolą; przez całe lata będziesz się włóczył po sądach, a na koniec żona puści cię z torbami. Będziemy biedni, Patrick. A jak sądzisz, ile czasu potrwa wtedy nasza „miłość”? Rok, pół roku, tydzień?

Schował twarz w poduszce. Evgenia uklękła przy nim i szeptała mu do ucha.

- Bądź realistą, kochanie. Najwyższy czas. Jeżeli zabiję Solisa, będziesz jedynym człowiekiem, który o tym wie. Pewnego dnia, kto wie, może wpadnie w szal zazdrości. Pobjemy się i powiesz policji, co zrobiłam. Oskarżysz mnie o morderstwo. Ha! Nie jestem taka głupia, żeby na to pozwolić. O nie, coś za coś. Ja zabijam i ty też. Ja nigdy nie doniosę na ciebie, a ty na mnie. I razem bierzemy całe pieniądze. - Leżała obok niego, głaszcząc go po plecach j składając delikatne wilgotne pocałunki na ramionach. - Mam rację, Patrick?

Wyskoczyła z łóżka, naciągała bieliznę.

- Jeżeli sądzisz, że mam zamiar marnować życie dla żonatego kochanka, to się mylisz.

Zatrzymała się przy drzwiach i popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

- Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Patrick pomyślał przez chwilę o Loli.

- Zastanowię się nad tym - powiedział, żeby zyskać na czasie. Nie mógł znieść myśli o stracie Evgenii. Miała tę moc, jaką niektóre kobiety obez władniają mężczyzn na zawsze. A on był jej własnością.

## Rozdział 48

Potężne ducati Patricka połykało kolejne kilometry, bez trudu przeciskając się przez tłum samochodów wyjeżdżających z Mentony. Granicę

z Włochami przekroczył w Ventimiglia i tam w małym barze zatrzymał się na szybką kawę. Wkrótce dotarł do niewielkiego nadmorskiego miasteczka San Remo, gdzie stał wielki hotel Rossi.

Z rykiem skręcił gwałtownie na kolidy podjazd, ustawił motocykl na wygodnym miejscu zarezerwowanym dla niego przy wejściu, obok jego własnego, nowego mercedesa w kolorze metallic blue, wyłączył silnik, przeczucił nogę przez siodełko i przeciągnął się.

- Witamy, signor March. - Portier z uśmiechem zdjął czapkę.

- *Grazie, Nico* - powiedział Patrick, wsuwając mu w dłoń parę euro, choć Nico jedynie otworzył przed nim wielkie szklane drzwi.

Wszyscy znali tutaj pana Marcha. Prawo jazdy, dowód tożsamości i wszelkie papiery informowały, że nazywa się Cosmo March, jest Francuzem i przyjechał z Paryża. Włosy miał teraz krótko przycięte, niemal zgolone, co w zdumiewający sposób zmieniło jego wygląd. Nie miało to żadnego znaczenia, bo nikogo we Włoszech nic nie obchodziło, że naprawdę nazywał się inaczej. Nawiasem mówiąc, Cosmo March było imieniem i nazwiskiem ojca Loli. No, może niedokładnie. Ojciec Loli nazywał się Michael Cosmo March, ale przejmując jego tożsamość, Patrick zrezygnował z Michaela.

Dla mieszkańców tego małego kurortu był po prostu jeszcze jednym bogatym facetem, który miło spędzał czas w nadmorskim hotelu, choć nie wiedzieli, dlaczego nie wybrał żadnego ze wspaniałych hoteli w którymś z modniejszych miejsc, takich jak Portofino albo Santa Margherita di Ligure.

Patrick zdecydowanie chciałby mieszkać właśnie tam, ale z San Remo miał tylko pół godziny jazdy do Monaco i w pobliżu jachtu Solisa. A tym samym do Evgenii, która mogła wymknąć się pod pretekstem zakupów na spotkanie w małej willi, którą wynajął w Mentonie. Jeździł tam tylko na spotkania z kochanką. Wolał poza tym miejskie rozrywki hotelu i lokali San Remo, a zwłaszcza klub plażowy, gdzie spotykał piękne kobiety. Umowa z Evgenią zawierała klauzulę wierności, choć dziewczyna pewnie by go zabiła, gdyby się o tym dowiedziała. Natura ciągnie jednak wilka do lasu, a Patrick nie miał zamiaru się zmieniać.

Poza tym było tam oczywiście kasyno, drugie po Monte Carlo, w którym był stałym bywalcem. Hazardzista jest się na całe życie.

Hotel Rossi był wytworną budowlą w stylu początku XX wieku, kiedy obowiązywały w architekturze przepych i luksus. Wysoki hol wejściowy, z masywnymi kolumnami, był przykryty kopułą malowaną w obłoki, cherubiny i promienie słońca. Na marmurowych posadzkach stukały wysokie obcasy, słychać było gwar trąkających dzieciaków, które wybiegały z rodzicami na promenadę, by zjeść *wieczorną Apasagiata*. Następowyły powi-



tania ze znajomymi, ciepłe uściski i poklepywanie się po ramieniu oraz czujna obserwacja nowych twarzy, ocena ubrań, fryzur i biżuterii. We Włoszech *bella figura*, prezencja kobiety, jest niezwykle istotna dla jej pozycji.

Wzdłuż ścian hotelowego holu wisiały ogromne lustra, a na połączonych konsolach stały ogromne bukiety kwiatów. Wokół porozstawiano ciężkie kanapy i krzesła pokryte złotym jedwabiem, ale dotąd nikt na nich nie siedział. Zupełnie inaczej niż w hotelu Riwiera.

Patrick poszedł do baru, którego okna wychodziły na zarośnięte podwórko na tyłach. Barman w białej marynarce przywitał go po imieniu i postawił przed nim jak zwykle campari z wodą sodową.

- Czy dobrze minął dzień, signor March? - spytał, a Patrick z uśmiechem odparł, że owszem, *grozie*, całkiem miło. Zamienili parę słów o pogodzie, najnowszych wynikach futbolowych i konkursie młodych talentów, który miał się odbyć tego wieczoru w klubie na plaży. Po czym Patrick wjechał windą do swojego apartamentu na najwyższym piętrze; może nie najwięksięższego w hotelu, ale stosownego dla samotnego, bogatego mężczyzny.

Wyjął z marynarki pakiecik i sprawdził plombę. Paczuszkę przesała firma przesyłkowa do Banque du Soleil w Monaco, dla pana C. Marcha; pieczęć była nienaruszona. Położył kopertę na biedermeierowskim biurku i poszedł do łazienki, zrzucając po drodze ubranie. Przez dziesięć minut stał pod zimnym prysznicem; zmywał z siebie brud całego dnia, a także wyczerpanie i niepokój, które zawsze towarzyszyły jego wyjazdowi do Francji. Za każdym razem się bał, że zostanie rozpoznany i nie będzie umiał nic wytłumaczyć.

Uspokojony, włożył hotelowy płaszcz kąpielowy z miękkiej, grubej bawełny, ze znaczkiem hotelu na górnej kieszeni. Z dobrze zaopatrzonego barku wyjął butelkę pellegrino, rzucił się na fotel i pociągnął długi łyk wody.

Obracał w palcach kopertę. W końcu rozerwał ją i przejrzał zawartość. Plik banknotów pięćdziesięcio- i studolarowych, z przyklejoną żółtą karteczką z zapiskiem: \$110.000. Plus para kolczyków z wielkimi perłami w kształcie łzy, zawieszonymi na wisiorkach z brylantów. Owinięte były w kawałek szyfonu w kolorze zachodzącego słońca. Podniósł go ze śmiechem. Evgenia przysłała swoje figi, które miała na sobie wczoraj, gdy wysyłała do niego paczuszkę. Przytknął je do twarzy, wdychał jej zapach.

Podszedł do okna; patrzył na ruchliwą ulicę i rząd pasiastych kabin stojących wzdłuż pasa plaży po drugiej stronie. Było już późno, kabiny

opustoszały, chłopcy z obsługi czyścili, trzepali poduszki, ustawiali w rzędach krzesła, opróżniali popielniczki i grabili piasek. Na samym brzegu morza bawiła się mała dziewczynka. Goniła cofające się fale, a potem z krzykiem radości uciekała na piach przed nadpływającą z powrotem wodą. Jej jasne włosy lśniły w słońcu; Patrick z przyjemnością słuchał dobiegających go okrzyków zachwytu. Zastanawiał się, jak będzie wyglądało dziecko jego i Evgenii. Może jak jasnowłosa miniaturka Evgenii, taka słodka i niewinna jak ta mała...

Zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze. Dla niego czasy niewinności minęły.

Spacerował nerwowo po pokoju. Nie wytrzyma tego dłużej. Spokojne życie w małym, nadmorskim miasteczku, nawet w luksusowym hotelu, absolutnie mu nie odpowiadało. Potrzebował swobody, chciał wrócić do życia.

Patrzył na stos pieniędzy na stole. A potem wrócił do łazienki, ubrał się, wyszczotkował włosy i wklepał odrobinę wody kolońskiej w swój kilkuniedniowy zarost.

Sięgnął po pieniądze, rozdzielił je na banknoty po pięćdziesiąt i sto dolarów i włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Trzeba korzystać z życia. Ruszył do kasyna w San Remo.

## Rozdział 49

### Lola

**N**ie chciałam opuszczać tej łodzi. Marzyłam, by zawsze kołysało mnie morze, że zostawię gdzieś za sobą problemy, schowam się w ramionach Jacka i nie będę myśleć o przyszłości. Ale minęły dwa dni; mój czas uciekał.

Popatrzyłam na Jacka śpiącego obok mnie w łóżku. Na zewnątrz, za dwoma iluminatorami spokojnie pluskała woda. Tylko Morze Śródziemne potrafi być tak łagodne w nocy. Wszystkie okienka i drzwi były otwarte, bryza docierająca do kabiny mierzwiła włosy na głowie Jacka. Dotknęłam ich; czułam pod palcami, jak są sztywne, sprężyste, pełne życia. Taki właśnie był Jack. Pełen życia. A teraz wniósł całą swoją energię w moje życie. Przeżyjemy kilka wspaniałych, namiętych nocy, a potem odpłynię.

Jak każdy prawdziwy żeglarz - najszcześniejszy, gdy jest sam na morzu, tylko w towarzystwie psa.

O czym myśli w samotności? Czy o znajomych dziewczętach? Czy będzie też myślał o mnie? Jak szybko stanę się wspomnieniem, zjawą z przeszłości? Westchnęłam. Przyszłość Jacka Farrara była wykuta w kamieniu, podczas gdy moja rozsypywała się jak zamek z piasku.

Zastanawiałam się, skąd mogłabym wziąć pieniądze na otwarcie restauracji. Tego lata zarobiłam niewiele. Zysk, jeśli w ogóle tak to można nazwać, miał mi pozwolić na przeżycie pustych miesięcy do następnego sezonu, choć nie wiem, jak dałabym sobie radę, gdybym musiała opuścić hotel i szukać innego mieszkania. Po prostu nie miałam pieniędzy.

Jack odwrócił się; wtuliłam się w niego i mocno go objęłam. Był moim rycerzem w lśniącej zbroi. Przybył, żeby uwolnić księżniczkę, i zrobił wszystko, by mi pomóc. O miłości jednak nie mogło być mowy.

Leżałam w jego ramionach, wdychałam męski zapach jego skóry, myślałam o naszych namiętnych dniach i nocach. Pod szorstką naturą marynarza krył się czuły, wrażliwy mężczyzna, który potrafił przynieść mi śniadanie, żebym poczuła się lepiej, a także pochować moją Bezę i posadzić kwiatki na jej grobie. Mężczyzna, który zabrał mnie na kilka dni w swój świat, na morze i dbał o mnie tak, jakby naprawdę mnie kochał. A jeśli... pomyślałam, zapadając w sen, choć tylko na chwilę przemknęła mi przez głowę taka myśl, bo wiedziałam, że Jack po prostu taki jest.

Kiedy się obudziłam, słońce stało już wysoko, a Jacka nie było. Niedobry Pies stał w nogach łóżka z wywieszonym językiem i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Poklepałam łóżko. Wskoczył natychmiast i nosem trącał moją twarz,

- Jesteś dobre psisko i wiesz o tym - powiedziałam, przeczesując palcami szorstką sierść. Było coś takiego w spojrzeniu kundla, że musiałam się uśmiechnąć.

Jack stał przy schodkach, półnagi i bosy. Przyglądał mi się uważnie.

- Jak się czujemy o poranku? - spytał, podchodząc i składając pocałunek na moich wargach. Skórę miał wilgotną po niedawnej kąpieli, pachniał świeżością, morską wodą. Kojarzył się ze wszystkim, co proste i dobre.

Odrzuciłam pościel i zsunęłam się z łóżka.

- Idę pływać - zapowiedziałam. - Złap mnie, jeśli potrafisz. - Wypałam z kabiny po kilku schodkach na górę, na pokład. Stałam tam, naga, z rękami wyciągniętymi ponad głowę, tak jak Jack, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. A potem skoczyłam. Przejrzysta, chłodna woda zamknęła się nade mną, nagle budząc śpiące jeszcze ciało. Każdym nerwem odczuwałam rozkosz tej chwili.

Otworzyłam oczy, przyglądałam się krystalicznemu światu, który mnie otaczał. Ze wszystkich stron przemykały małe rybki, najwyraźniej przerażone moją osobą. Zostałam pod wodą tak długo, na ile pozwalał mi oddech, a potem wystrzeliłam na powierzchnię jak korek od szampana, ze śmiechem i krzykiem. Wtedy z pokładu skoczył Jack, a za nim Niedobry Pies. Chlapałiśmy siew wodzie, goniliśmy się roześmiani. Dobrze było rozkoszować się beztroskim, szczęśliwym życiem. Chciałam, żeby tak było wiecznie.

Ale, jak niewątpliwie powiedziałyby panna N., wszystko co dobre ma swój koniec. Miałam cichą nadzieję, że to nieprawda, jednak w tym momencie wiedziałam, że taka jest rzeczywistość. Pod prysznicem na słupie splukałam z siebie morską wodę, naciągnęłam szorty i koszulkę Jacka - nie zabrałam ze sobą żadnych ubrań, gdy pod wpływem impulsu podjęliśmy decyzję o wyprawie. Przejechałam grzebieniem po długich, mokrych włosach, odgarnęłam grzywkę z oczu i wszystko razem związałam w koński ogon. Potem poszłam do Jacka, który siedział na pokładzie.

- Skończyły nam się kawa i jedzenie - powiedział. - Masz ochotę na śniadanie w Saint-Tropez?

- Brzmi zachęcająco - zgodziłam się. Wskoczyliśmy do małej dinghy, pies za nami i popłynęliśmy w stronę miasta. Obejrzałam się za siebie. Hotel Riwiera stał samotny i opuszczony na ślicznym cyplu. Przysięgłam sobie, że będę o niego walczyć do końca.

## Rozdział 50

### Evgenia

Evgenia Solis przeszła obok męża, zaledwie rzucając okiem w jego stronę. Oparła się o reling i patrzyła na małą łódeczkę złobiącą pienisty szlak w spokojnych, błękitnych wodach Morza Śródziemnego. Słyszała za sobą Solisa, ale nie odwróciła się na powitanie. Nie chciała nawet na niego patrzeć, choć była jego własnością, tak samo jak bezcenne dzieło sztuki. Jeśli kobieta jest żoną bogatego człowieka, to nie znaczy, że sama też jest bogata.

Urodziła się jako Jewgenia Muldowa w Rosji, w biednej rodzinie, gdzie było siedmioro dzieci - same dziewczynki. Ojciec i matka pracowali w fabryce i cała dziewiątka mieszkała w dwóch pokojach, uważanych za ogrom-

ne mieszkanie. Tylko Evgenia uważała inaczej. Najmłodsza i najpiękniejsza ze wszystkich siostr, z niezrozumiałych dla wszystkich powodów inna niż sześć pozostałych: niskich, ciemnowłosych, o ziemistej cerze. Tamte, podobnie jak rodzice, poszły do fabryki.

Evgenia zamyśliła się nad ich losem. Czuła, jak z przerażenia sztywnieje. Była przeznaczona do lepszego życia. Kiedy miała piętnaście lat, uciekła bez słowa. Nigdy więcej nie zobaczyła swojej rodziny. Skłamała, że jest starsza i dlatego mogła pracować w petersburskich klubach jako tancerka lub hostessa. Tak przynajmniej wołała to nazwać.

O mężczyzn było łatwo, ale nie o takich, którzy chcieliby jej pomóc. W końcu jednak coś zarabiała, a pieniądze mogła wydawać na ciuchy, czasem jakieś błyskotki - nie miały wielkiej wartości, ale jej się podobały, bo była młoda i od nikogo nie dostawała prezentów.

W końcu trafiła do Europy dzięki mężczyźnie, który „handlował” takimi kobietami jak ona, i tam spotkała Laurenta Solisa.

Było to w Saint-Tropez, w klubie Les Caves du Roy, w hotelu Byblos. Jak zwykle było tłoczno i nie miała gdzie tańczyć, więc zniecierpliwiona, wspięła się po siedzącym samotnie srebrnowłosym mężczyźnie na jego stolik i tańczyła dalej.

Była świadoma własnej urody i efektu, jaki wywołała. Wszyscy patrzyli na nią. A zwłaszcza człowiek, którego stolik wybrała do tańca. Z rękami wyrzuconymi nad głowę, w srebrzystej sukience błyszczącej w światłach, z rozpuszczonymi włosami, całkowicie zatopiona w muzyce zdołała jednak zarejestrować nieskazitelną białą koszulę, ciemne okulary, kosztowny zegarek i wciąż nieotwartą butelkę drogiego szampana. Zauważyła jeszcze jedno - siedział przy najlepszym stoliku w lokalu, gdzie liczyły się przede wszystkim pieniądze i sława. Nie był młody, ale wyglądał na kogoś z pozycją i majątkiem.

Przerwała taniec i stała z rękami opartymi na biodrach, kołysząc się lekko w takt muzyki i patrząc na niego.

Laurent Solis spojrzał w górę, na blond boginię na swym stole; odnotował długość smukłych nóg i lśnienie młodego, spoconego ciała. Pragnął jej. Zabrał ją na swój jacht, pokazał, że jest bogatym człowiekiem, a świat leży u jego stóp. A Evgenia, bystra mała wiejska dziewczynka, odmówiła przespania się z jednym z najbogatszych ludzi świata, choć obiecywał jej futro, brylantowy naszyjnik i niemal wszystko, czego zapragnie. Evgenia chciała ślubu i dopięła swego.

Zabrakło jej tylko - co zrozumiałe, zważywszy na jej nieznajomość prawdziwego świata - sprytu, by wyegzekwować ważną rzecz: umowę przedślubną. Dlatego była teraz tylko „żoną bogatego człowieka”.

Oczywiście wolą to od życia w biedzie. Miała nieograniczony kredyt w każdym magazynie w Monaco, Cannes, Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Mogła kupować u najlepszych projektantów. Była stałą klientką najdroższych jubilerów, choć zakupy powyżej pewnej kwoty wymagały zgody Solisa. Ale zdawała sobie sprawę, że stary mąż, chcąc ją utrzymać, musi nieco ograniczać jej swobodę. Kupił jej ferrari, ale nie odrzutowiec gulfstream; futro z soboli, ale nie własny dom.

Niejedna kobieta uznałaby, że Evgenia powinna wiedzieć, jak to sobie załatwić, ale jej umysł opracowywał inny plan. Chciała wyciągnąć od Solisa tyle pieniędzy, ile się tylko da, ponieważ w każdej chwili mógł ją zamienić na inną piękność Riwiery. Ożenił się przecież nie po raz pierwszy; Evgenia była jego piątą żoną. Jej czas był ograniczony, więc musiała działać szybko.

Zacząła od drobiazgów. Kupowała kreacje na pokazach mody w Paryżu i Mediolanie, po czym natychmiast je sprzedawała, zwykle za połowę ceny, co w sumie złożyło się na ogromną sumę. Kupiła parę drogich samochodów, ale wkrótce zaczęła grymasić, że właściwie jej sienie podobają. Ponieważ zadbała o to, by kupić auta na własne nazwisko, mogła je sprzedać, a pieniądze złożyć w banku. Wreszcie dotarła na szczyt; zajęła się biżuterią, tyle tylko, że bez wiedzy Solisa kupowała ją sprzedawała. Zawsze jednak miała parę błyskotek, którymi mogła się afiszować, kiedy mąż chciał ją widzieć w pełnej gali. Miała też mnóstwo brylantów. Wystarczająco dużo, by czerpać z nich radość, a jednocześnie mydlić oczy mężowi. W każdym razie drogie kamienie były równie cenne jak pieniądze w banku.

Solis jednak nie był idiotą. Evgenia wiedziała, że musi działać ostrożnie. Na dłuższą metę nie da się podkraść drobnych sum - wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw. Zdołała już odłożyć parę milionów, ale to nie wystarczało. Potrzebowała większych pieniędzy. Chciała się pozbyć Solisa. Zupełnie poważnie myślała o zepchnięciu go z jachtu którejś ciemnej nocy. Pamiętała, jak znaleziono w morzu ciało magnata prasowego Roberta Maxwella - to przecież było gdzieś tu, w pobliżu? Ale zanim się na to zdecyduje, musi mieć pewność, że zagarnie lwią część majątku męża.

I właśnie wtedy spotkała Patricka Laforet. Uznała go za swoje przeznaczenie. Teraz miała już plan. Wiedziała, że nie tylko z powodu Loli, Patrick nie chce się jej do końca podporządkować. Wszystkiemu winien był ten obrzydliwy hotel Riwiery. Należał do ojca Patricka, a wcześniej do jego dziadka, a na dodatek Patrick go kochał. W słowniku Evgenii nie było pojęcia „sentymenty”. Kiedy nie będzie hotelu, skończą się też wszelkie „rodzinne wspomnienia”. Nie będzie też Loli, bo po prostu wypadnie z gry. Zresztą Lola też może zniknąć, tak samo jak hotel, nawet kto wie,

czy me razem z mm - dałoby się to przecież zorganizować. Trzeba tylko zadać pierwszy cios; resztą zajmie się Falcon.

Nadal nie zwracając uwagi na męża, Evgenia przeszła przez pokład, a potem po schodach w górę, do basenu. Po drodze zrzuciła z siebie sarong.

Solis podniósł jej ubranie. Obserwował jej długie, muskularne nogi, gładkie, wzniesione okrągłości pośladków w figach i delikatną linię piersi, kiedy na szczycie schodów zdejmowała górę od bikini. Przytknął sarong do twarzy, wdychał jej zapach.

Czuła na sobie jego wzrok. Pożerał ją jak sęp. Pozowała przez chwilę; niech widzi, za co płaci. A potem precyzyjnie, czysto skoczyła w gładką, roziskrzoną wodę marmurowego basenu.

## Rozdział 5 1

### Panna N.

**P**anna Nihgtingale nie zdołała zapamiętać numerów ducati; wiedziała tylko, że tablica miała włoską rejestrację. Zabrakło jej czasu, a poza tym oczy nie były już tak sprawne jak kiedyś. Zmartwiona „niedopatrzniem obowiązków”, jak to sama nazwała, ruszyła z powrotem do Saint-Tropez i na szosę do Ramatuelle.

Odetchnęła z ulgą, kiedy skręciła na wąską drogę do hotelu; czuła się, jakby wracała do domu. Zaparkowała pod powojem, obok starego cv2 Loli. Zauważyła, że inne samochody już odjechały. Jeszcze przed wyjazdem pożegnała się z gośćmi, obiecując, że odwiedzi Red i Jeny'ego Shopów w ich domu w Dordogne i skontaktuje się z młodą parą, zakochanymi z Riwiery. Mimo wszystkich kłopotów miała za sobą piękne lato; grono gości w hotelu było urocze, widoki cudowne, a Lola jak zawsze opiekuńcza i miła.

Jedynym zgrzytem w tym rajy byli Evgenia i Laurent Solis, a także tajemnicze zniknięcie Patricka. Tyle że to ostatnie właśnie przestało być tajemnicą. Patrick Laforet żył, miał się dobrze i jeździł bardzo kosztownym motocyklem. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Loli i Jackowi.

Drzwi frontowe były otwarte. Panna Nighthingale ściągnęła z głowy kapelusz i weszła do chłodnego, cichego holu. Hotel na tydzień został zamknięty z powodu „renowacji”, jak powiedziała Lola, choć właściwie nie

wymagał niczego poza starannymi porządkami po sezonie i drobnymi poprawkami malarskimi.

- Jahuuu - zawołała. - Jahuuu, Lolu, wróciłam!

Odpowiedziała jej cisza. W powietrzu unosił się zapach metalu. Panna Nightingale, zdziwiona, wyszła na taras.

- Jahuuu - odezwała się jeszcze raz. Nic. Lola pewnie była w swoim domu i ucieła zasłużoną drzemkę. Panna N. zastanawiała się przez chwilę, czy powinna ją budzić, i uznała, że wiadomość, którą przywiozła, jest tego warta.

Okrążając żywopłot z oleandrów, zauważyła świeży kopczyk ziemi pod oknem sypialni Loli i posadzone na nim kwiatki, więdnące z braku wody. Dziwne, pomyślała, dlaczego Lola zadała sobie trud, żeby coś posadzić, a potem zapomniała o podlaniu?

Zastukała w przeszkłone drzwi, ale nie otrzymała odpowiedzi. Przecież Lola musi być w środku, skoro stoi jej samochód. Drzwi nie były zamknięte. Panna N. weszła, ale mały domek okazał się pusty.

Zmęczona, opadła na kanapę na ganku. Trudno, poczeka, choć z trudem panowała nad emocjami.

Chwilę później wstała. Nie ma sensu tracić czasu; pójdzie się wykapać i przebrać, a potem posiedzi na tarasie. Lola zapewne niedługo wróci.

Szła z powrotem ścieżką w stronę hotelu, kiedy znów poczuła ten dziwny zapach. Zatrzymała się. I wtedy zobaczyła smugę czarnego dymu wijącą się nad dachem kuchni i unoszącą się wysoko w błękitnym powietrzu.

- Boże! O Boże! Pożar! - wrzasnęła. Ale nikt jej nie słyszał.

Na drżących nogach wbiegła na taras, a stamtąd do kuchni. Płomienie strzelały przez drzwi i okna, które nagle rozprysły się na kawałki.

Pobiegła z powrotem, do holu przy wejściu. Tu ogień jeszcze nie dotarł. Chwyliła słuchawkę, wystukała numer straży pożarnej.

- Pożar - powiedziała, starając się opanować, póki nie przekaze informacji. - Pożar w hotelu Riwiera, w bok od drogi do Ramatuelle. Pali się...

## Rozdział 52

# Lola

racaliśmy ze śniadania. Właśnie siedzieliśmy w dinghy, kiedy usłyszałam syreny straży pożarnej, a na południu Francji ten dźwięk



zawsze źle się kojarzy. Pożary niszczyły tysiące hektarów ziemi i trzeba dziesiątków lat, żeby spalone tereny odzyskały dawną urodę. Wozy jechały ze wszystkich stron. Osloniłam dłonią oczy, żeby przyjrzeć się brzegowi. Zobaczyłam kłęby czarnego dymu, niesione szybkim wiatrem i rozwiewające się nad małymi miasteczkami wybrzeża.

- Wygląda na coś dużego - powiedział Jack.

Znieruchomiałam z przerażenia.

I wtedy zobaczyliśmy dym buchający z hotelu i pomarańczowe płomienie, które wydobywały się z okien kuchni.

- Dom! - wrzasnęłam.

To hotel - dodał Jack, ale już kierował łódź do pomostu.

Wyskoczyłam na ląd, zanim zdążył przywiązać linę. We włosach miałam popiół, piekły mnie oczy, kiedy biegłam w stronę tarasu. Krępy strażak gniewnie odpędził mnie ruchem ręki.

- Proszę stąd odejść.

Krzyknęłam w jego stronę z paniką w głosie:

- Musicie go uratować, proszę, och, proszę...

Twarz strażnika była czarna od sadzy i dymu.

- *Chere madame*, zrobimy co w naszej mocy. W tej chwili jest tu niebezpiecznie, drzewa mogą się zająć w każdej chwili. Proszę zawrócić.

Od strony parkingu biegła do mnie panna Nightingale. Kaszlała i miała zaczerwienione oczy.

- To ja wezwałam straż - mówiła. - Szukałam wszędzie Bezy, ale nie mogłam jej znaleźć.

Kolana się pode mną ugięły. Najpierw Beza, teraz to. Objęłam pannę N.

- Dziękuję, kochana - powiedziałam - ale dla Bezy jest już za późno.

*Pompier* znowu krzyknął, że mamy odejść, bo ryzykujemy życie.

Nie mogłam nawet patrzeć za siebie. Wzięłam za rękę pannę N. i pobiegłyśmy ścieżką w dół, nad morze.

Wróciliśmy na słup. Usiedliśmy na pokładzie i patrzyliśmy, jak hotel Riwiera się dopala. Dwa małe samolociki zrzuciły na dach i drzewa wodę z dodatkiem jakiegoś środka, który miał zmniejszyć palność. Mały zwęglony kawałek uniesiony wiatrem mógł przenieść ogień na drzewa i wzdłuż brzegu, a potem w poprzek drogi dalej na wzgórze.

Popijaliśmy wodę, przyciskając do rozpalonych twarzy zimne butelki. Nie mówiliśmy wiele. Parę godzin później było po wszystkim. Strażacy przeszukiwali szczątki, wycierali poczerwiałe twarze, zwijali węże, długimi łykami pili wodę i rozmawiali między sobą.

Wsiedliśmy znów do dinghy, podплыliśmy, żeby zorientować się w sytuacji. Moja piękna kuchnia była kompletnie zniszczona. Oszołomiona,

ściskałam dłonie strażaków i dziękowałam im, że nie dopuścili do katastrofy. Nigdy im tego nie zapomnę.

Komendant wziął mnie na stronę i stwierdził, że było to podpalenie. W kuchni rozlano benzynę. Spytał, czy orientuję się, kto mógłby to zrobić.

Patrzyłam na niego zaskoczona. O tak, pomyślałam, to mogła być Giselle Castille. Albo Evgenia Solis, albo Jeb Falcon, albo ktokolwiek kto w ostatnich kilku miesiącach zniszczył moje życie.

- Przykro mi, madame - powiedział na koniec komendant - ale ciąg dalszy należy już do policji.

## Rozdział 53

### Lola

Tydzień, który nastąpił po pożarze, był jedną wielką torturą. Zaczęły się przesłuchania na policji, znów pojawił się detektyw Mercier, a po nim inni żandarmi. Podpalenie było oczywiste. Najpierw rozlano benzynę w kuchni, potem zapalono gaz; w rezultacie wszystko stanęło w płomieniach. Kuchnia została całkowicie zniszczona, a dym, który dotarł do każdego zakątka hotelu, też zrobił swoje.

Nie wiedziałam, czy ubezpieczenie pokryje straty, ale ponieważ stwierdzono podpalenie, mój wniosek i tak będzie długo rozpatrywany. Podejrzewam, że aż do chwili, kiedy udowodnią, że to nie ja podłożyłam ogień. Nie było śladów, świadków ani żadnych dowodów. Już byłam podejrzana o zamordowanie męża, a teraz dojdą oskarżenia o podpalenie. Kto by mi uwierzył, gdybym powiedziała, że to żona Solisa podłożyła ogień pod mój hotel, ponieważ chciała się mnie pozbyć? Albo zrobiła to Giselle Castille, bo pragnęła Patricka? A może Jeb Falcon wypełnił w ten sposób polecenie Laurenta Solisa?

Kiedy minął pierwszy szok po pożarze, panna Nightingale odpaliła swoją bombę i powiedziała mi, że spotkała Patricka.

- To był on, cały i zdrowy, moja droga - oznajmiła - więc przestań się martwić oskarżeniem o morderstwo. Patrick żyje, ma się dobrze i jeździ bardzo drogim motocyklem.

W pierwszej chwili odczułam ulgę, że Patrick jednak żyje. A potem przyszedł gniew, ten sam bezsilny gniew. I na koniec tylko jedno pytanie. Dlaczego?

- Oczywiście przez kobietę - powiedziała panna N., wygładzając na kolanach swoją biało-niebieską sukienkę. - Jeśli idzie o mężczyzn takich jak Patrick', w grę zawsze wchodzi kobieta. A ponieważ Giselle najwyraźniej nie wie, gdzie on się podziewa, stawiam na Evgenię Solis.

- Ależ Patrick jej nie zna - zaprotestowałam.

- A skąd wiesz? - zapytała panna N.

Miała rację, nie wiedziałam. Zdaje się, że w ogóle niewiele wiedziałam.

- Jeśli to była Evgenia - powiedziała panna N. - to Patrick podjął bardzo niebezpieczną grę.

Panna N. podała Jackowi informacje na temat ducati, dodając, że nie zapisała numeru.

- Obawiam się, że nie mam już takiego refleksu jak kiedyś - stwierdziła - ale może dobrze by było zajrzeć do dilerów ducati na wybrzeżu i sprawdzić, czy któryś z nich nie sprzedał ostatnio 748S, ciemnoszarego z czerwonymi kołami ze stopu magnezowego. Piękny; gdyby dawniej były takie, mój Tom byłby zachwycony.. A propos Toma, czas wracać do domu. Rozmawiałam wczoraj wieczorem z panią Wormesly z pubu; Mała Neli staje się nieznosna. Obawiam się, że została zupełnie rozpuszczona. Tak więc, moi kochani - ogarnęła Jacka i mnie ciepłym spojrzeniem - jestem pewna, że przez jakiś czas poradzicie sobie beze mnie, ale dzwońcie w razie potrzeby.

- Czy musi pani jechać? - spytałam i czułam, że zabrzmiało to egoistycznie. - Tak, jasne że tak - dodałam stanowczo. - Ma pani swój dom, piesek za panią tęskni i zanim pani się zorientuje, przyjdzie Boże Narodzenie.

- A może pojedzie pani ze mną, moje dziecko? - powiedziała nagle, patrząc na mnie, jakbym była jedną z jej dawnych uczennic, która potrzebuje opieki. - Zapraszam do mojego domku. Będę zachwycona, jeśli dotrzymasz mi towarzystwa, a przy okazji pomożesz rozpuścić Małą Neli jeszcze bardziej. Poza tym w Blakelys Arms podają, niezłe piwo z limetą, a mięso z cynaderekami zapiekane w cieście, jakie robi pani Wormesly, jest doskonałe.

Roześmiałam się, wyobrażając sobie przez chwilę, że siedzę w pubie w Blakelys, ale pokręciłam głową.

Nie mogę - odpowiedziałam - muszę zostać tutaj i pilnować interesu.

- Dlaczego nie? - spytał Jack. Odwróciłam się i popatrzyłam na niego. - Roboty w hotelu i tak się nie zaczną, dopóki nie dostaniesz pieniędzy z ubezpieczenia - dodał a poza tym musisz odpocząć.

- A co z Patrickiem?

- Będę trzymał rękę na pulsie. Zadzwoń i zawiadomię cię natychmiast, jak tylko czegoś się dowiem. Poza tym, przez najbliższe kilka tygodni będę bardzo zajęty. Czekają mnie wyjazdy do Stanów i praca przy jachcie.

Posłuchałam go. Mojego przyjaciela i ukochanego.

## Rozdział 54

### Evgenia

Evgenia Solis siedziała za kierownicą niskiego i szerokiego hummera w kolorze wojskowej zieleni. Jechała szosą A8 na wschód, do Mentony. Obok niej, wciśnięty w fotel pasażera, tkwił Jeb Falcon. Evgenia przycisnęła pedał gazu i gwałtownie zmieniła pas, wyprzedzając potężną ciężarówkę, po czym równie gwałtownie wróciła przed nią na prawy pas. Falcon chwycił się fotela i zaklął.

- Tchórz - powiedziała, rzucając mu lodowate spojrzenie zza okularów przeciwsłonecznych.

- Na Boga, Evgenio! - Pocił się coraz bardziej, w miarę jak samochód mknął po ruchliwej drodze - Po co ten cholerny pośpiech?

- Nie lubisz ryzyka, co, Falcon? - roześmiała się. - Nie rozumiesz, że i tak niedługo będzie z tobą koniec? Szkoda, że to się nie stało w pożarze hotelu Riwiera. Spartaczyłeś robotę, wiesz o tym?

Milczał i patrzył na drogę przed sobą. Wszystko przez Patricka. Nie przyłożył się do swojej części zadania, nawet się nie pokazał - zresztą Loli nigdzie w pobliżu nie było, choć przecież ją znał i wiedział, że tego popołudnia powinna być sama w domu.

Nienawidził Evgenii Solis każdym nerwem. Żałował, że kiedykolwiek ją spotkał i że został jej ochroniarzem. Ta baba to chodzące kłopoty. Już i tak zmieniła całe jego życie. Do diabła, ciągnął z tego Solisa wcale nieźle pieniądze. Po co dał się przekupić? Przyłapał ją z Patrickiem w Mentonie i wtedy zaoferowała mu więcej pieniędzy niż jej mąż. Teraz był podwójnym szpiegiem. Pracował dla Evgenii i dla Solisa, i nienawidził obojga.

Jakby czytając w jego myślach, odezwała się:

- Jesteś dziwką, Falcon, każdy może cię mieć, jeśli zapłaci. Dlatego teraz jesteś ze mną. I dlatego nie możesz pójść do mojego męża i powiedzieć mu tego, co wiesz, bo obydwoje bylibyśmy skończeni. Gramy razem, Falcon. Lepiej o tym pamiętaj.

- Pieprzę to — powiedział Falcon i usłyszał jej westchnienie.

- Masz bardzo ograniczone słownictwo, wiesz? - odparła. Zjeżdżali z autostrady w Mentonie. Skrećili na dobrze znaną drogę pod górę i zaparkowali obok skromnej willi. Evgenia wysiadła. Nie obejrzała się nawet na Falcona. - Podjedź o trzeciej, ale się nie spóźnij.

Zawahał się przez chwilę, a potem zawołał ją po imieniu. Popatrzyła niecierpliwie przez ramię.

- Co?
- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Szczególny ton w jego głosie sprawił, że zatrzymała się.

- Co? - powtórzyła, ale tym razem cofnęła się do samochodu.

Falcon wysiadł od strony pasażera, obszedł auto i zajął miejsce za kierownicą.

- O twoim facecie - powiedział. - Średnio sobie radzi w kasynie w San Remo. Raz wygrywa, raz przegrywa. Wszystko za twoje pieniądze, Evgenio.

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Kłamca - wysyczała.

Wzruszył ramionami.

- Możesz go zapytać. Spojrzała

w dół, na swoje stopy.

- Jeżeli kłamiesz, zabiję cię własnoręcznie - powiedziała cicho, ale w jej tonie była groźba.

Falcon uśmiechnął się krzywo. W pojedynku na chytryść i obelgi wygrał tę rundę.

- Och, nie zrobisz tego, Evgenio. Potrzebujesz mnie. Znajdziesz kogoś, kto będzie dla ciebie podpałał hotele, okłamywał twój męża i pomagał ci przeprowadzać wszystkie inne plany? Tylko ja to zrobię, mała Evgenio. I tylko wtedy, kiedy mi dobrze zapłacisz. Myślę, że o tym pamiętasz. - Trzasnął drzwiczkami i uciął silnik. - Będę o trzeciej - obiecał, zawrócił samochód i pojechał w dół ze wzgórza.

- Jest jeszcze Patrick! - krzyczała za nim. - Wystarczy mi Patrick! Już cię nie potrzebuję! - Ale Falcon nie słyszał.

Patrick wysunął głowę przez wejściowe drzwi.

- Co się dzieje? - spytał. - Co to za wrzaski?

Evgenia wzruszyła ramionami i przeszła obok niego. Dzwoniła obcasami po wyłożonej terakotowymi płytkami podłodze małej willi. Zatrzymała się i rozejrzała wokół, a na jej twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

- Nienawidzę tego domu - powiedziała. - Mam dość potajemnych spotkań. Dłużej tego nie wytrzymam. Najwyższa pora coś zrobić.

Patrick westchnął. To był chyba jeden z gorszych dni Evgenii.

- Chodźmy do łóżka, *cherie* - zaproponował. Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni.

- Słyszałeś o pożarze? - spytała.

- Jakim pożarze, skarbie? - Już otaczał ją ramionami, całował szyję, włosy, uniesioną w górę twarz; pomalutką kierując ją w stronę łóżka.

- Hotelu Riwiera - odpowiedziała.  
Patrick nagle oprzytomniał.  
- Co powiedziałaś?  
- Był pożar w hotelu Riwiera. Wszystko się spaliło.  
Przez chwilę patrzył na nią zaszokowany. A potem w jego wzroku pojawiła się taka wściekłość, że Evgenia cofnęła się ze strachem. Chwycił ją mocno za ramiona.  
- Lola - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Co zrobiłaś Loli?  
Odgarnęła długie jasne włosy.  
- Powinam to wziąć pod uwagę. Tylko Lola się dla ciebie liczy. Nigdy się nie zastanawiasz nad tym, co ja robię dla ciebie. Myślisz wyłącznie o Loli i przegrywaniu moich pieniędzy.  
Odepchnął ją. Podszedł do okna, patrzył na zarośnięty krzakami skrawek więdnącego ogrodu.  
- Zrobiłaś jej coś? - powtórzył cicho, ale Evgenia wyczuła narastającą agresję w jego głosie.  
- Och, nie, drogi Patricku, twoja droga Lola jest cała i zdrowa. Będzie tylko musiała wynieść się teraz z tego słodkiego hoteliku, ponieważ niewiele z niego zostało.  
Patrick nie odchodził od okna, stał odwrócony do niej plecami. Nie chciał, by zauważyła wyraz ulgi na jego twarzy.  
- Ale kiedyś to się musi stać - ciągnęła ponagłajaco; wciąż go ponaglała. - Albo ja, albo Lola, Patricku. Wiesz o tym. A „ja” to znaczy: pieniądze. O tym też wiesz. A w końcu hazardzista potrzebuje pieniędzy. Prawda?  
Odwrócił się, patrzył na nią. Leżała na łóżku, w ich tandetnym gniazdku, z rozrzuconymi rękami i nogami.  
- Nie możemy tego ciągnąć tak jak dotychczas, kochanie - mówiła swoim miękkim, gardłowym głosem z rosyjskim akcentem. - Jesteśmy przeznaczeni do czegoś lepszego, dużo lepszego niż kradzione popołudnia w tym okropnym domu. Będziemy w najwyższych sferach, wszędzie. Ty i ja, i cały świat. - Nie odrywała od niego wzroku, patrzyła tymi swoimi oczami zielonymi jak morze. - Ty, ja i cały świat dla nas.  
Wyciągnęła rękę, ujął ją. Położył się obok na łóżku. Wciąż patrzyli na siebie jak zahipnotyzowani.  
- Och, Evgenio - jęknął w końcu i wziął ją w ramiona.  
Odetchnęła z poczuciem satysfakcji. To był trudny moment. Ale wygrała.

## Rozdział 55

### Lola

Kiedy pociąg z dworca Paddington wjeżdżał na stację w Oksfordzie, z szarego nieba sączyła się mżawka.

- Typowe - westchnęła panna Nightingale, kiedy wysiadałyśmy, razem z setką innych pasażerów, śpieszących się gdzieś w swoich sprawach. Wyciągnęłam brązową, staroświecką walizę panny Nightingale i mój neseser na kółkach, po czym przeszliśmy przez peron na ulicę.

- Ach, oto i panna Nightingale - powiedział ktoś. Odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy krzepkiego, brodatego mężczyznę w niebieskim skafandrze. Wycierał krople deszczu z okularów i uśmiechał się do nas. - Miło panią widzieć z powrotem, choć przykro mi z powodu pogody - dodał.

- To było do przewidzenia, Fred. - Panna Nightingale ścisnęła mu dłoń. - Kiedy wracam z wakacji, zawsze pada. To jest Lola March Laforet, moja przyjaciółka z Francji. Lolę, to Fred Wormesly, opiekun mojej Małej Neli, właściciel Blakelys Arms oraz posiadacz wielu tutejszych sekretów.

Fred wybuchnął śmiechem, chwycił nasze walizki i poszedł przodem do ciemnoniebieskiego volvo kombi stojącego na parkingu.

- Niewiele przybyło sekretów w Blakelys, panno Nightingale - stwierdził. - Ostatnio jest tu cicho i spokojnie.

- Ha, dzięki Bogu i za to - powiedziała, siadając na fotelu dla pasażera. - Miałyśmy z Lolą zbyt dużo atrakcji.

Fred Wormesly wiózł nas przez Oksford, miasto gotyckich cudów, choć w ulewnym deszczu, w który przemieniła się mżawka, trudno było docenić urodę starych kamiennych budowli uniwersyteckich. Panna N. obiecała mi jednak, że „kiedy pogoda się poprawi”, przywiezie mnie tutaj i oprowadzi po mieście, na co Fred zauważył, że prognoza nie jest najlepsza i może lepiej było zostać na południu Francji.

Objechaliśmy rondo i nagle znaleźliśmy się w wiejskim krajobrazie, między gęstymi żywopłotami i polami, na których pasły się owce o czarnych pyskach. Mijaliśmy stacje benzynowe z wysokimi cenami paliwa i sklepy z chipsami, papierosami i zimnymi napojami. Wąskie boczne drogi prowadziły do miejscowości o nazwach w rodzaju Witney, Eynsham i Widford.

Zjechaliśmy do uroczej wioski Burford, gdzie wzdłuż głównej ulicy stały staroświeckie sklepy z oknami w wykuszach, herbaciarnie i puby,

przemknęliśmy małym kamiennym mostkiem nad rzeką Windrush, jeszcze raz skręciliśmy i oto byliśmy w Blakelys.

- Nareszcie w domu - mruknęła panna Nightingale, kiedy jechaliśmy wioską ulicą ocienioną wielkimi, starymi platanami, obok sklepu spożywczego. Pokonaliśmy niewielki strumyk, przeprawiając się przez niego, jak robiły to zapewne stare dylizanse, skręciliśmy w prawo i stanęliśmy przed Blakelys Arms, domem z beżowozłotego kamienia, z niskim okapem i wesołym szyldem kołyszącym się na wietrze. Na tablicy stojącej przy wejściu napisano:

Dzisiaj polecamy: makaron zapiekany z serem; lancz oracza z serem stilton i domowym chlebem, a także najlepsze w Oksfordshire mięso i cynadereki zapiekane w cieście.

- Weźmiemy trochę na kolację - powiedziała panna Nightingale, z trudem wysiadając z samochodu. - Jak dobrze być w domu. - Z wyrazem szczęścia wystawiła twarz na delikatny, chłodny deszcz. - A Mała Neli czeka na mnie?

- Tak jest, panno Nightingale - przytaknął Fred. Otworzył mi drzwiczki auta. - Witamy w Blakelys, panno March.

Bar był niskim pomieszczeniem, ze starymi, poczerniałymi belkami sufitu i ścianami, na których także krzyżowały się słupy i belki. W wielkim kamiennym kominku płonął ogień, siedziało przed nim paru dziadków w sztruksach, tweedowych marynarkach i płaskich czapkach, pociągając ciemnobrązowe piwo z kufli. Popatrzyli w naszą stronę, poznali pannę N. i podnieśli czapki ze słowami: „Miło panią widzieć w domu, madame”.

Mała Neli, suczka rasy york, z jazgotem wpadła w ramiona panny N. i gorliwie oblizywała jej twarz. Zza baru wysunęła się okazała blondynka z powitalnym uśmiechem na twarzy.

- No, w końcu pani wróciła - powiedziała. - Cieszę się, że panią widzę.

- I ja się cieszę, Mary - odparła panna Nightingale, serdecznie ściskając panią Wormesly. - Dzięki za opiekę nad moją Małą Neli. Choć oczywiście, jak zawsze ją rozpuściłaś. Popatrz, jaki się z niej zrobił tłuścioch.

Mary Wormesly roześmiała się i podrapała Małą Neli pod brodą.

- Jest pierwsza do piwa, panno Nightingale, proszę lepiej zabrać ją do domu, żeby wytrzeźwiała. A może coś panie zjedzą? Po tak długiej podróży człowiek robi się głodny.

Panna N. przedstawiła mnie i powiedziała, że owszem, poprosimy o dwie porcje zapiekanego mięsa i cynaderek oraz dwa piwa z limetą.

Rozsiadłyśmy się wygodnie na sosnowej ławie z czerwonymi aksamitnymi poduszkami, które wyglądały, jakby je wyniesiono kiedyś z kościoła. Mała Neli siedziała między nami. Panna N. dokonała formalnej prezentacji i zapowiedziała terierce, że ma się przyzwyczaję zachowywać i być



dla mnie miła, bo inaczej popamięta. Mała Neli badawczo obwąchała mi rękę, potem polizała dłoń, a na koniec usiadła i uśmiechnęła się do mnie. Wiecie przecież, że psy potrafią się uśmiechać.

- Tak tu miło - powiedziałam, popijając zimne piwo. Odpoczywałam. W palenisku trzaskało drewno, a starsi panowie rozpoczęli grę w domino.

- Na razie jest pustawo - odezwała się panna N. — Ale w taki wieczór jak dziś przychodzi sporo ludzi.

Taki wieczór jak dziś, pomyślałam z obawą. Szary, zimny i deszczowy wieczór, z dala od domu i słońca. A także od Patricka. Odsunęłam jednak te myśli i zabrałam się za zapiekankę, gorącą i aromatyczną, z gęstym sosem i chrupiącą skórką. Była pyszna, nawet dla mojego krytycznego podniebienia szefa kuchni.

- Właśnie tego nam brakowało - powiedziała panna Nightingale. Kar miła Małą Neli kawałkiem skórki nasączonej sosem. Jak na miniaturowe go terierka, suczka rzeczywiście była za gruba. - Wiem, że nie powinnam - przyznała - ale Neli została tu całkiem rozpuszczona, więc nie chcę od razu być dla niej surowa. Będę musiała odzwyczajając ją od tego wszystkie go i zachęcić do psiego jedzenia. I żadnego piwa. To trochę potrwa, tak zawsze jest każdego roku - dodała z szelmowskim uśmiechem. - Podej rzewam, że Mała Neli tak samo czeka na swoje wakacje w Blakelys Arms, jak ja na wyjazd do hotelu Riwieria.

Najadliśmy się, siedzieliśmy w ciepłe i odpoczywałyśmy po męczącej podróży. Trzeba było jednak wyruszyć do domu. Panna N. zabrała Małą Neli, pożegnaliśmy się i Fred przewiózł nas z powrotem przez wieś. Przez rzekę i las, do domku babci, myślałam z rozbawieniem.

Domek ogrodnika był zupełnie w stylu Cotswolds; zbudowany z miejscowego kamienia o złotawej barwie, ze spadzistym dachem, stał w wiejskim ogrodzie, otoczonym niskim kamiennym murkiem. Miał mansardowe okna na piętrze, a łukowate i podzielone na małe szybki na parterze. Drewniane, deskowane drzwi wisiały na żelaznych zawiasach; po przybudowanym garażu pięła się ostatnia żółtawa róża. Na tle zalesionego zbocza pagórka z maleńkim strumyczkiem, który sforsowaliśmy, stał przed nami idealny domek z pocztówki.

- To kompletny miszmasz - tłumaczyła panna Nightingale. Otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka. - Część z epoki elżbietańskiej, trochę neogotyku z czasów królowej Wiktorii, a między nimi cała reszta.

Znalazłam się w saloniku o belkowanym stropie. Był zastawiony bibelotami, wśród których odkryłam srebrne puchary za sukcesy w grze w polo i sepiowe fotografie wytwornych mężczyzn w tweedach, ze strzelbami w rękach i upolowanymi bażantami. I jeszcze mnóstwo innych zdjęć w starych

srebrnych ramkach oraz pięknie malowany chiński serwis do herbaty, ustawiony w prześlicznej, oszklonej starej serwantce. Na ścianach wisiały olejne wizerunki koni i psów oraz kawałek czerwonego jedwabiu haftowany w smoki i oprawiony w heban. Przed kamiennym kominkiem stały dwie przepastne kanapy pokryte perkalem w różę. Jakaś poczciwa osoba, zapewne Mary Wormesly, rozpałała ogień, przywitał nas więc miły odgłos trzaskającego drewna. Podłogę z ciemnych szerokich desek, z kasztanowca, jak objaśniła mnie panna N., ocieplał orientalny dywan utrzymany w czerwieniach i błękitach.

Książki były wszędzie. Książki i jeszcze raz książki - upchnięte na wbudowanych półkach, ułożone w stosy na podłodze, spadały z krzeseł i podpierały lampy.

- To moja biblioteczka - powiedziała panna N., skromnie określając zbiór lektur z całego życia. - W długie zimowe wieczory lubię sięgnąć po dobrą książkę.

W koszykach i koszyczkach leżały kolorowe włóczki i druty do robótek, a psie zabaweczki i kości do żucia porzucane były po całym salonie. To był prawdziwy dom, miał w sobie miłość i trochę bałaganu.

W kuchni mruczał miękko jaskrawoczerwony, ciepły piecyk; obok stało posłanko Małej Neli: pastelowo niebieska poduszka, na którą suczka natychmiast wskoczyła. Okręciła się trzy razy, po czym zwinęła się w małą kuleczkę i z główką ułożoną na łapkach obserwowała nas bystrymi, ciemnymi ślepkami.

Kuchnia była przytulna i łagodnie oświetlona. Przy długim sosnowym stole swobodnie mogło siedzieć osiem osób; stała tam ponadto para starych, obitych skórą foteli, pochodzących - jak powiedziała panna N. - z dworu, a w gotycko sklepionych oknach wisiały zasłonki w biało-czerwona kratkę.

Niewielki korytarz oddzielał salonik od kuchni i schodów wyłożonych czerwonym chodnikiem. Czerwień była najwyraźniej ulubionym kolorem panny N. Na ścianach klatki schodowej wisiały zdjęcia szkolne; jak się okazało, były to fotografie każdego kolejnego rocznika dziewcząt ze szkoły Królowej Wilhelminy z czasów, gdy panna Nightingale była tam przełożoną.

W jej własnym pokoju stało chińskie łoże małżeńskie, polakierowane na czerwono i zamykane w bardzo ozdobnej szafie, która sama w sobie była małym pokoikiem. Panna N. opowiedziała mi, że spała w tym łóżku jeszcze jako dziecko, w Szanghaju, gdzie -jak się ku mojemu zdumieniu okazało - przyszła na świat.

Podniosła wieko starego skórzanego kufra i pokazała mi jedwabne kobiece ubiory, stare wachlarze i maleńkie pantofle. Była tam wspaniała skrzynka z epoki królowej Anny, starannie polerowana przez kolejne pokolenia, miękkie perskie dywany i ciężkie lniane zasłony w różę, podobne

do tych na kanapach stojących przy żelaznej kracie kominka. Tuż obok mieściła się wygodna, nowoczesna łazienka, a za nią, kilka stopni wyżej, był mój mały pokój na poddaszu, z ukośnym sufitem i dwoma mansardowymi oknami o małych szybkach -jak z bajki.

Stało tam zwykle łóżko przykryte zielono-białą narzutą i stosem poduszek. Do tego biały włochaty dywan na ciemnych deskach podłogi, czarująca stara toaletka z owalnym lustrem, wygodny fotel, lampa do czytania i mały stoliczek przy łóżku ze stosem książek. Rzuciłam okiem na tytuły: *Justine* Lawrence'a Durrella, wiersze Edny St.Vincent Millay, *Steps in Time*, biografia Freda Astaire'a z 1960 roku, pierwsze wydanie z autografem bohatera, oprawione w skórę wspomnienia Nightingale'ów z Blakelys, *The Leopard Hat* - opowieść o stosunkach matki z córką i ich życiu przy Park Avenue w latach sześćdziesiątych, napisana przez Valerie Steiker, a prócz tego parę najnowszych powieści Anity Shreve i Nory Roberts.

- Spory wybór - uśmiechnęłam się lekko.  
- Czasami noce bywają bardzo długie, moja droga - powiedziała panna N. - A oto twoja osobista łazieneczka. - Zaprowadziła mnie do maleńkiego pomieszczenia, w którym strop opadał tak stromo, że nie dałoby się tam wyprostować bez uderzenia głową o masywną dębową belkę.  
- Wszystko, o czym może zamarzyć dziewczyna - stwierdziłam. - Jak w domku z bajki.  
- Może jednak nie jest dokładnie tak - powiedziała ze śmiechem, a potem zeszyliśmy na dół. Zaproponowała filiżankę herbaty. Ogień miło trzeszczał i strzelał, przechodził w prześliczny pomarańczowoczerwony żar, który ogrzewał nam stopy. Zbliżała się pora odpoczynku i miałyśmy sobie powiedzieć dobranoc.

- Jak się pani odwdzięczę? - zapytałam, ściskając pannę N. - Tak tu pięknie, tak inaczej...

- Dobrze jest wyjechać na trochę, kiedy sprawy zaczynają się komplikować - stwierdziła panna N., dokładając drewna do kominka. - Odrobina dystansu pozwoli ci spojrzeć na problemy świeżym okiem.

Zwinięta w łóżku, z głową na pachnących lawendą poduszkach, które były tak stare i delikatne, że w dotyku przypominały jedwab, myślałam o moim życiu, o kłopotach i o Patricku, który jak się okazało, jednak żył.

Zastanawiałam się, czy to on podłożył ogień. Czy miał coś wspólnego ze śmiercią Bezy? Czy wciąż związany był z Giselle, czy z Evgenią Solis? Nie umiałam znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań; wiedziałam tylko, że teraz się go boję. Nie miałam pojęcia, co może zrobić. Ale tu, w tym przytulnym pokoju z zaciągniętymi zasłonami i deszczem, który bębnił w okna, z kołdrą podciągniętą pod brodę, czułam się bezpieczna.

## Rozdział 56

### Panna N.

Mollie Nightingale siedziała na sofie przed kominkiem i zapatrzona w płomienie myślała o przeszłości. Powroty do domu zawsze budziły w niej wspomnienia dawnych dni, kiedy w tym domku mieszkał pan Hemstridge, główny ogrodnik w Blakelys Manor, którego ona, panna z dworu i wnuczka sir Blakely Nightingale'a, odwiedzała na swoim kucyku. Zatrzymywała się na pogawędkę z panią Hemstridge i na szklankę mleka prosto od krowy, jeszcze ciepłego i pachnącego. Mleko było równie cudowne jak świeże cytrynowe ciasto, które pani Hemstridge zawsze miała w swojej spiżarni i które Molly uwielbiała.

- Jakże zmieniły się czasy - powiedziała panna Nightingale do Małej Neli, która otrzepała swoją długą brązową sierść i spojrzała małymi, ciemnymi oczkami, nastawiając czujnie jedno ucho. - Nigdy nie byłaś w Blakelys Manor, Neli. To był wytworny dom - mówiła, a mała terierka wskoczyła jej na kolana i ułożyła się, zapewne w przewidywaniu długiego wieczoru wspominków. - Choć na pewno nie rezydencja - ciągnęła panna Nightingale - ot, po prostu pełna zakamarków siedemnastowieczna góra kamieni otoczona parkiem.

Ziemi było oczywiście znacznie więcej, ale działo się to w dawnych czasach, kiedy dziadek Mollie, sir Blakely Nightingale, otrzymał tytuł baroneta za wierną służbę krajowi. Służba ta sprowadzała się w gruncie rzeczy do wystawnego przyjęcia, jakie wyprawił na cześć królowej Aleksandry, gdy składała wizytę w pobliżu i zgodziła się otworzyć doroczne wiejskie święto w Blakelys. Ale potem w krótkim czasie nastąpiły w rodzinie cztery zgony, a kolejne podatki spadkowe pochłaniały rodzinny majątek.

Ojciec panny Nightingale został zastępcą brytyjskiego komisarza w Szanghaju, a Mollie, jak ją nazwano, dorastała w brytyjskim sektorze eksterytorialnych koncesji - gdzie wówczas mieszkali cudzoziemcy - pod czułą, troskliwą opieką chińskich służących, którzy ją rozpieszczali. Zapewne dlatego jej rodzice, należący do najwyższych sfer, sporo podróżowali, a Mollie zostawiali tylko w towarzystwie łagodnych, ubranych w *cheongsam* niań, podczas gdy sami bawili się na balach w rezydencji gubernatora w Hong-kongu, żeglowali z przyjaciółmi po wielkiej, żółtej rzece Jangcy albo uczestniczyli w wyszukanych przyjęciach w nocnych lokalach Szanghaju.

Nawet kiedy byli w domu, zdarzało się, że Mollie nie widziała ich przez wiele dni. Ojciec bywał „zbyt zajęty”, a matka wybierała się często na zakupy do eleganckich sklepów przy Nankin Road albo na popołudniową herbatę z przyjaciółmi w hotelowych lokalach, w ogromnych drapaczach chmur, a czasem na całonocne dansingi, bo Szanghaj był wtedy jednym z najbardziej roztańczonych miast świata. Parę razy rodzice wyjechali nawet do Europy, a Mollie zostawała z nianiami, które powoli zaczęła uważać za swoje prawdziwe „mamy”.

I tak pierwsze słowa, jakie poznała, były w języku mandaryńskim. Przez kilka lat używała tylko tego języka, poznając go z przerażających historii o duchach, które do dziś wspominała ze strachem. Chińscy służący nauczyli ją z szacunkiem odnosić się do starszych, a także kłaniać się nisko, zginając się w pas, co jej rodzice uznali za komiczne. Pokazywali ją swoim gościom na przyjęciach - „oto nasza mała chińska córeczka”, mówili, a Mollie rumieniła się, nie wiedząc, co zrobiła złego.

Wszystko się skończyło, kiedy zmarł ojciec i Mollie wróciła do Blakelys.

Rozstanie z „małymi matkami” złamało serce sześciolatniej dziewczynce; Mollie nigdy nie przyzwyczaiła się do wilgotnego angielskiego lata ani do przejmującego chłodu zimy. Zwłaszcza w popadającym w ruinę Blakelys, gdzie nieliczne grzejniki mogły zaledwie roztopić szron na wewnętrznej stronie wielkich okien w wykuszach, a kominki, którymi zajmował się sędziwy służący nazywany Ogniwym Bobem, pozostawiały warstwę czarnego pyłu na wszystkim, łącznie z babeczkami podawanymi do popołudniowej herbaty.

Lady Teresa oczywiście nie miała pomysłu na kształcenie córki. Dzieliła czas między robótki, herbatki i lokalną dobroczynność. Samotna Mollie spędzała długie dni (a czasami i pół nocy z latarką) na lekturze wszystkiego, co wpadło jej w ręce w domowej bibliotece, albo na wiosłowaniu łódką po jeziorze w Blakelys. Nazwała swą łódeczkę Li Taj Po na pamiątkę mistrza poezji z epoki dynastii Tang, którego czytywała w wolnym czasie - a tego ostatniego miała bardzo dużo.

Małą wysepkę na jeziorze nazwała domem. Zbudowała tam domek na drzewie i umeblowała go kanapowymi poduszkami wyniesionymi z salonu. Stół powstał z drewnianej kuchennej tacy ustawionej na czterech ceglach. W jadalni, w przeszklonej serwantce z porcelaną Mollie odkryła chiński serwis do herbaty, przywieziony, jak sądziła, przez jej ojca i przypuszczalnie bardzo drogi. Nikt go nigdy nie używał, dopiero teraz ona sama piła w nim swoją własną, domową mieszankę herbaty albo lemoniadę, zagryzając imbirowymi herbatniczkami, z nosem wetkniętym w kolejną książkę z obszernej biblioteki dworu Blakelys.

Sprawy przybrały inny obrót dopiero dzięki interwencji kogoś z przyjaciół. Lady Teresa usłyszała wyraźnie, że powinna zrobić coś z dzieckiem, bo w przeciwnym razie mała nie przystosuje się do życia w społeczeństwie. Tak więc lady Teresa raz w życiu zrobiła dla swojej córki coś sensownego i wysłała ją do szkoły z internatem.

Mollie radziła sobie dobrze; polubiła towarzystwo innych dziewcząt, zachwycała się lekcjami, a zwłaszcza łaciną. Stamtąd było już niedaleko do Oksfordu, potem do nauczycielstwa i stopniowo najpierw do prowadzenia szkoły dla małych dziewczynek, a wreszcie do „perły w koronie”, czyli funkcji przełożonej szkoły Królowej Wilhelminy.

Była miłą dziewczyną, pospolitą i solidną, która wyrosła na taką samą kobietę, choć miała w sobie coś władczego. To pewnie błękitna krew, mówiła ze zdumieniem jej matka.

Kiedy lady Teresa zmarła, dwór sprzedano, a pieniądze poszły na podatki. Mollie zachowała perły babci i tyle pieniędzy, by kupić najmniejsze mieszkanie na Sloane Square w Londynie i stary, podupadły domek ogrodnika we wsi Blakelys.

A potem pojawił się Tom. „Jej Tom”, jak zawsze o nim myślała z czułością. Tom. Wielki mężczyzna z własnymi poglądami i rezerwą typową dla klasy robotniczej z północy kraju, trudną do przeniknięcia i zdecydowanie odpychającą. Panna N. Szybko odkryła, że cały problem polega na jego nieśmiałości. Był bardzo nieśmiały, zwłaszcza wobec kobiet. Ona nigdy nie należała do osób niezdecydowanych, co w połączeniu z jej silną osobowością sprawiło, że wkrótce temperamenty ich obojga znakomicie ze sobą współgrały.

Spotkali się w barze Royal Court Theatre przy Sloane Square, zaraz za rogiem domu, w którym mieszkała Mollie. Było to w przerwie przedstawienia *Prwate Lives* Noela Cowarda, jej ulubionej sztuki. A także Toma, co odkryła ze zdumieniem.

Była sama; sączyła mały gin z tonikiem, kiedy przypadkiem ją potrafił. Drink się wylał; Tom nalegał, by mógł postawić jej następnego, zaczęli rozmawiać. Przynajmniej Mollie mówiła - Tom przeważnie słuchał. Ale po spektaklu czekał na nią przy wyjściu. Zapytał, czy ma ochotę na kawę, i od tamtej pory wszystko powolutku zaczęło się układać. Dopiero cztery lata później poprosił ją, by za niego wyszła, a kiedy minęło jeszcze sześć tygodni, powiedziała „tak” w małym kościółku w Blakelys, gdzie się wychowała.

Wszyscy mieszkańcy wsi stawili się na ślub „panienki z dworu”. Zapełnili sosnowe ławki ubrani w niedzielne garnitury, najlepsze suknie i „weselne” kapelusze, z radością wspominając, jakie było życie, kiedy we dworze mieszkali Nightingale'owie z Blakelys, a nie tak jak teraz, potężny diler samochodowy. Byli szczęśliwi, że Mollie w końcu znalazła sobie męża.

Mały normański kościółek z szarego kamienia kipiał od irysów i zonkili. Była wiosna, oczywiście chłodna i kwiaty wyglądały jak zmrożone, jakby z zimna nie mogły opuścić nawet jednego listka. Panna N. miała na sobie jedwabną srebrzystoszara sukienkę i odziedziczone perły (dzięki Bogu urząd skarbowy ich nie zabrał; była to jej jedyna prawdziwa biżuteria) i trzymała w ręce bukiet straszliwie drogich w tym sezonie lilii, które pachniały bosko. Ten zapach Mollie będzie pamiętać do końca życia.

„No i tak, kochanie”, powiedziała później, a Tom rozpromienił się, elegancki w swoim ciemnym garniturze i szarym, jedwabnym krawacie (sama go kupowała). „No i tak, kochana”, powtórzył po niej, „teraz jesteś panią Tomową Knight”. Oczywiście ten drobiazg później sobie wyjaśnili i pozostała panną Nightingale. Tak już będzie do końca jej dni.

I odtąd żyli szczęśliwie, dwoje ludzi z odmiennych światów, oczarowani sobą, troskliwi, zakochani miłością prawdziwą, która-panna Nightingale to wiedziała - będzie trwała wiecznie.

A potem Tom umarł. Pochowała go tutaj, na dziedzińcu kościoła Blake-ly i posadziła na jego grobie pierwiosnki i zonkile, które tak lubił. W końcu pogodziła się z tym i właśnie wtedy zaczęła podróżować.

To przez pamięć cudownego dzieciństwa w słońcu i upale Szanghaju i z niechęci do ponurych, samotnych zim angielskich, kiedy trzęsła się w lodowatym pokoju, pociągało ją Morze Śródziemne. Teraz, oczywiście, jeździ tam dlatego, że znalazła hotel Riwiera. I dlatego, że pokochała Lole jak własną córkę.

I to wszystko. Życie Mollie Nightingale. Z Chin do Cotswolds i na południe Francji. Ido nierozwiązanej tajemnicy zniknięcia Patricka Laforet. I jego równie tajemniczego ponownego pojawienia się.

Żałowała, że nie było już Toma, jego doświadczenia i jego głębokiej wiedzy o ludziach.

Ach, trudno. Tę sprawę musi rozwikłać sama.

## Rozdział 57

### Jack

Jack był właśnie w Saint-Tropez; siedział jak zwykle w cieniu kasztanowców w Cafe des Arts, popijał poranną *café au lait* i zagryzał

rogalikiem. Place des Lices sprawiał wrażenie opustoszałego. Chłodny północny wiatr, pozostałość po gwałtownym mistralu, szeleścił liśćmi drzew i unosił trzepoczące papierowe serwetki. Sezon się skończył, miejscowi wrócili do zwykłego życia, zostali tylko tacy jak on - ludzie, którzy nie wiedzą, kiedy trzeba wrócić do domu.

Teraz, kiedy „Minitka” zatonała, powinien oczywiście siedzieć u siebie, w Stanach; w innej sytuacji nie trzeba byłoby mu tego tłumaczyć. Ale pojawiła się Lola Laforet. Jak ta dziewczyna zdołała się wpakować w takie kłopoty? I dlaczego czuje się zobowiązany jej pomagać?

Zamówił dużą kawę w nadziei, że nieco rozjaśni mu umysł i wyostrezy spojrzenie na te sprawy. W tej chwili musiał przede wszystkim panować nad emocjami, ostudzić gwałtowną reakcję na kobietę, za którą szalał tak, jak za żadną inną od czasów pięknej Meksykanki Luisy. Tamten związek trwał dokładnie trzy miesiące; Jack zastanawiał się, czy tak samo będzie w przypadku Loli. Trzy miesiące i wróci do własnego świata, zajmie się doprowadzaniem „Minitki” do stanu idealnego, kompletowaniem załogi i wyprawą przez pół świata w poszukiwaniu przygód. Taki właśnie jest. Zgadza się? Więc dlaczego miałby się zmieniać? Westchnął głęboko, przełykając kawę. Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Wystukał numer swojego warsztatu szutniczego i porozmawiał z Carlosem. Łódź podniesiono z dna w dzień po jej zatonięciu. Leżała na głębokości piętnastu metrów, trzeba było więc użyć potężnych dźwigów. Remont przebiegał powoli.

- Chyba wrócisz niedługo, co? - spytał Carlos.
- Tak, jasne - po raz kolejny przytaknął Jack.

Skończył rozmowę i zajął się papierami leżącymi na stoliku. Długa lista dilerów samochodów i motocykli ciągnęła się przez całą stronę. Niemał wszystkie pozycje zostały wykreślone; pozostały tylko dwie, które podsunął mu zaprzyjaźniony detektyw z Marsylii. Adres paryski wydawał się trochę daleki, ale nigdy nie wiadomo - Patrick mógł przenosić się z miejsca na miejsce, zacierając ślady. Druga firma mieściła się w Genui, portowym mieście nad Morzem Liguryjskim. Jack postanowił spróbować po raz ostatni.

Wystukał numer, poprosił do telefonu kierownika lub kogokolwiek, kto mówi po angielsku, czekał bez końca, słuchając łomotu włoskiego rocka, wreszcie po drugiej stronie ktoś odezwał się:

- *Pronto*. Można pomóc?

Jack spytał o ducati. Owszem, odpowiedział Włoch, sprzedają ducati, a 748S to piękna maszyna, najlepsza na świecie i nie zawsze osiągalna; trzeba zamówić i poczekać.

- Jak długo się czeka?



Jack przysięgłby, że widzi jak tamten wzrusza ramionami.

- Trzy miesiące, sześć.
- Dużo pan sprzedał ostatnio?
- Dużo? Chciałbym, ale ostatnio tylko dwa.
- Sprzedaje pan cudzoziemcom?

Włoch roześmiał się.

- Signore, nie ma zniżki dla cudzoziemców, jeśli o to panu chodzi.
- Wie pan co - powiedział Jack - będę tam jutro i pokaże mi pan, co pan ma.
- Ale mam tylko jeden, signore, i już jest sprzedany.
- No to zamówię taki sam; nazywam się Jack Farrar. Będę jutro po południu.

Dopił kawę, resztką rogalika poczęstował Niedobrego Psa wylegującego się pod stołem, poszedł z powrotem na nabrzeże i wsiadł do swojej dinghy. Wrócił na słup. Pół godziny później Niedobry Pies, ubrany w kamizelkę ratunkową, ujadając, szalał po pokładzie, a Jack wypływał z zatoczki Loli. Ruszył na silniku, potem postawił żagle i skierował się na wschód, do Genui.

Portowa Genua rozrosła się wzdłuż wybrzeża, wchłaniając stare rybackie wsie i miasteczka w swoją chaotyczną, miejską zabudowę. Nie było to miejsce, w którym Jack chciałby się znaleźć w to wietrzne, słoneczne popołudnie. Przycumował jednak i popłynął łódką do starego portu. Niedobry Pies dyszał gdzieś przy jego nogach. Szukali taksówki. Zajął to trochę czasu, a w końcu, kiedy się udało, kierowca nie był zachwycony obecnością psa w samochodzie, ale za kilka dodatkowych euro zgodził się go zabrać.

Mamrocząc ponuro coś po włosku, skręcał w kolejne wąskie uliczki, wreszcie wjechał w ruchliwą i zatłoczoną dzielnicę. Smród spalin był morderczy i Jack z tęsknotą pomyślał o morzu i rzeźkim wietrze wydymającym żagle. Miał tylko nadzieję, że ślad nie okaże się fałszywy, ale instynktownie czuł, że tym razem się uda, a zawsze ufał swojemu instynktowi. Przynajmniej do niedawna, do czasu Loli March, a zwłaszcza w sprawie tego, co do niej czuje.

Niedobry Pies został na zewnątrz, uwiązany do lampy ulicznej. Jack, z rękami w kieszeniach szortów, w niebieskiej koszulce, która na słońcu i w słonej wodzie nabrała szarawego odcienia, w swoich wygodnych tenisówkach wszedł do błyszczącego salonu samochodowego. Paru młodych sprzedawców kręcących się po wnętrzu rzuciło mu czujne spojrzenia, ale szybko uznali, że nie jest wart ich wysiłków, i zostawili go w spokoju. Poszedł do biura szefa, po drodze z podziwem obejrzał lśniącego, czarnego fiata barchettę i uśmiechnął się do młodej asystentki, która popatrzyła na niego raz, potem drugi i uznała, że zdecydowanie jest wart uwagi.

- Cześć - powiedział. - Szukam signora Mosconi. Oczekuje mnie.
- Tak? - Spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem przytomnie spytała o nazwisko.

Signor Mosconi wyszedł ze swojego biura. Był to mężczyzna w średnim wieku, nosił garnitur w prążki, miał mały wąsik i okulary bez oprawki.

- Signor Farrar - powiedział, wyciągając rękę. - *Buona sera*. Obawiam się jednak, że fatygował się pan nadaremnie. Ostrzegałem pana, że nie mam żadnego ducati. Ostatni został sprzedany. Musimy czekać na dostawę, ale wszystkie egzemplarze są już zamówione.

Zaprowadził Jacka do swojego gabinetu, posadził go, zaoferował kawę i wielką broszurę z reklamami motocykli.

- Więc co z nich jest pan interesujący? - zapytał nieporadną angielszczyzną.

- Szczerze mówiąc, dokładnie ten - Jack pokazał palcem zdjęcie modelu 748S. I dodał: - Dużo ich ostatnio pan sprzedaje?

- Oczywiście, signore, miesiąc temu sprzedaliśmy dwa egzemplarze. Wspaniała maszyna, wzornictwo *magnifico* i siła. Ach, niech pan zapomni o harleyu, nic nie jest równe ducati.

- Jest jakakolwiek szansa, żeby któryś z nowych właścicieli zechciał odsprzedać swój nabytek? Ze stosownym zyskiem, rzecz jasna.

Signor Mosconi obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Mówi pan o dużych pieniądzach, signor Farrar.

Jack konspiracyjnie kiwnął głową.

- Tak przypuszczam. Ale czasem człowiek musi się postarać, żeby zdołać być ducati. A przy niewielkiej pomocy z pana strony, signor Mosconi, zapewniam, że potrafię być bardzo hojny.

Włoch siedział chwilę w milczeniu, zastanowił się, a potem wstał.

- Porozmawiajmy o tym przy *aperitivo*, signor Farrar - zaproponował.
- Tu obok jest bardzo miły bar.

Dwie godziny później Jack i kundel byli już z powrotem na pokładzie słupa, przeżuając kawał gorącej *focaccia*, prosto z piekarnika, poproszonej solą i skropionej oliwą z oliwek. Tę miejscową specjalność Jack kupił w pizzerii, w rejonie tanich barów w pobliżu doków. Wiatr ustał, Jack uruchomił silnik i skierował się na otwarte morze, a potem, trzymając się blisko brzegu, popłynął na zachód, do podstarzałej królowej liguryjskich kurortów. Do San Remo.

W kieszeni miał nazwisko i adres właściciela ducati. Cosmo March, hotel Rossi.

## Rozdział 58

### Lola

Jestem tu trzy tygodnie i dopiero teraz zaczynam się przyzwyczajać do: a) pogody; b) jeszcze raz pogody i c) angielskości wszystkiego wokół. Jest cudownie, to znaczy poza pogodą i poza faktem, że tęsknię do Jacka Farrara bardziej, niż jakakolwiek kobieta miałaby do tego prawo, mimo że nie widzę dla niego miejsca w moim życiu.

Podał mi numer swojego telefonu, ale oczywiście nie zadzwoniłam. Co mu powiesz? - pytałam siebie, gdy korciło mnie, żeby podnieść słuchawkę. Cześć, jak leci? Co słychać? Tęsknię za tobą. Nie, jeśli wydarzy się coś ważnego, Jack mnie zawiadomi. Przypuszczam, że teraz zajmuje się motocyklami Ducati, a poza tym ma własne życie i podróże do Stanów. Może nawet pojawiła się jakaś nowa Sugar.

Na myśl o ukrywającym się Patricku czułam strach. Żyłam w świecie marzeń, w sercu angielskiej prowincji, zawieszona w czasie i przestrzeni. Ukryłam się tu jak mały, przerażony królik. Ale teraz, na terenie panny N., daleko od południa Francji i od hotelu Riwiera, zaczynałam poznawać ją naprawdę. Objawiała mi się kobieta, której nie znałam.

Dni mijały jeden za drugim, w szarej mgle; tydzień, potem drugi. Wysłałam do Jacka kartkę z Burford z widokiem High Street, z Oksfordu z widokiem Christchurch i z Bourton-on-the-Water. Pisałam pospiesznie kilka słów w rodzaju: *Nie uwierzyłbyś, ale wioski tutaj wyglądają dokładnie tak jak na zdjęciu; człowiek cofa się w przeszłość. W tym pubie można doskonale zjeść, spodobałoby ci się to miejsce. Mam nadzieję, że w poszukiwaniach ducati jest postęp.* Tylko raz dodałam *Tęsknię za Tobą*, ale potem żałowałam tego, bo w końcu Jack żadnych kartek do mnie nie pisał i najwyraźniej nie myślał o mnie.

Kiedy w końcu pewnego popołudnia zadzwonił, nie było mnie w domu i wiadomość odebrała panna Nightingale. Jack był znów w Stanach w jakiejś pilnej sprawie związanej z interesami, a jego przyjaciel, były detektyw z Marsylii, sprawdzał dilerów ducati; wróci niedługo i całuje nas obie.

„Całuje nas obie”. Śniło mi się to zdanie tej nocy, w moim miękkim łóżku. Nadeszły chłody, na dworze zrobiło się rześko. Któregoś dnia rano obudziłam się i zobaczyłam lśniący biały szron na trawniku. Spacerowałyśmy po wiejskich drózkach opatulone w szaliki i grube swetry; Mała Neli dreptała przy naszych nogach, a panna Nightingale wynajdywała pierwsze

czerwone jagody w krzewach żywopłotów. Mówiła, że pojawiły się wcześnie, a to zdaniem farmerów oznacza, że zapowiada się surowa zima.

Jeździliśmy na zakupy do Cheltenham, małego, uroczego miasteczka z pięknymi budowlami w stylu Regencji, które w jakiś sposób przypominały mi Nowy Orlean, tyle że bez tamtejszego blichtru i wilgoci. Kupiłam sobie kaszmirowy sweter, oczywiście na wyprzedaży, który gryzł się kolorystycznie z moimi rudymi włosami, ale był miękki jak kocie futerko i bardzo ciepły.

Chodziłyśmy z panną N. wszędzie, rozmawiałyśmy o jej przeszłości, a także o mojej przeszłości oraz problemach z Patrickiem. Nie mówiłyśmy tylko o Jacku.

Włóczyłyśmy się w deszczu po zarośniętych ścieżkach; panna N. w zielonym sztormiaku, zielonych kaloszach i płaskiej tweedowej czapeczce, jak te, które nosili starsi panowie w pubie, a ja w starym trenczu Toma, zawiniętym dokoła mnie dwa razy i wlokącym się nad ciężkimi, starymi kaloszami, i w oliwkowym, wciśniętym na głowę nieprzemakalnym kapeluszu w kształcie kubła. Zbierałyśmy gałązki z jagodami i wyglądałyśmy jak wiejskie stare panny na wycieczce: zdrowe, z czerwonymi nosami i portarganymi na deszczu włosami.

- Gdyby Jack mnie teraz zobaczył - powiedziałam, przyglądając się nam ze śmiechem.

Panna N. rzuciła mi zza mokrych okularów przenikliwe spojrzenie.

- Chciałabyś?

- Och... - Byłam zaskoczona. - Och tak, obawiam się, że tak.

Zabrzmiało to tak po angielsku, że obie wybuchnęłyśmy śmiechem i pobiegłyśmy w deszczu z powrotem, a za nami pędziła Mała Neli, która wyglądała jak przemoczona szczotka do podłogi. Ściągnęłyśmy kalosze, zrzuciłyśmy przeciwdeszczowe okrycia i wpadłyśmy z powrotem do przytulnej kuchni, do ciepłego pieca i bulgoczącego na płycie imbryka, do filiżanki gorącej herbaty, darjeeling oczywiście, nie żadnych wymyślnych earl greyów, z imbirowym herbatnikiem, na którym można połamać sobie zęby. I do ognia, przed którym ogrzewałyśmy sobie stopy.

To nie mogło trwać wiecznie, oczywiście. Wszystko ma swój koniec.

## Rozdział 59

Ogarnęło mnie przygnębienie. Siedziałam z panną N. w kawiarni w Oksfordzie i pochłaniałam babeczki z dżemem truskawkowym

i grubą warstwą śmietany z Devonshire, ponieważ jak wiecie, uważam, że w sytuacjach kryzysu należy przede wszystkim coś zjeść. Jest to pociecha, która niesie najwięcej przyjemności, no może poza objęciami człowieka, który cię kocha. Nie chciałabym, by zabrzmiało to smętnie, ale zżerała mnie tęsknota.

W każdym razie panna N. właśnie pokazała mi cuda Oksfordu, piękny college Christchurch, gdzie kiedyś studiowali jej dziadek i ojciec, a który potem ukończyła także ona sama, zbyt dawno, by się przyznawać, kiedy to było, powiedziała z szelmowskim uśmiechem. Obejrzałyśmy Radcliffe Camera i księgarnię Blackwella, zaglądałyśmy na dziedzińce i podziwiałyśmy architekturę. Po drodze do Oksfordu zrobiliśmy też zakupy w supermarkecie Waitrose, a ja zamierzałam tego wieczoru przygotować dla panny Nightingale wykwinną kolację, z butelką dobrego czerwonego Côtés du Rhône, które w chłodne noce znakomicie rozgrzewa.

Rozkoszowałyśmy się, popijając herbatę do bułeczek, gdy nagle panna N. odłożyła ciastko, które właśnie miała nadgryźć.

- O mój Boże - powiedziała. - Oczywiście. Mam!

- Wszystko w porządku?

- Och, w najlepszym. Kochanie, chyba już wiem, gdzie się podziewa Patrick.

Ja też odłożyłam bułeczkę. Spoza jasnych plastikowych okularów oczy panny N. błyszczały z zadowolenia.

- Naprawdę?

- Gdzie w Europie można szukać hazardzisty, który nie może pokazywać się w Monte Carlo?

- Gdzie? - Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

- W najbliższym, zresztą znakomitym kasynie na wybrzeżu. W dawnych dobrych czasach jeździli tam moi rodzice.

- To znaczy gdzie? - nie mogłam już wytrzymać.

- Jak to gdzie? Oczywiście w San Remo. Stąd włoskie numery rejestracyjne na ducati. Widzisz? Wszystko pasuje.

Była tak podekscytowana, że musiałam się uśmiechnąć. Przyznałam, że to ma sens. Skończyłyśmy więc w rekordowym tempie nasze babeczki i popędziłyśmy do minicoopera. Panna N. przemknęła przez Oksford Road, na szczęście bez mandatu, i gnała co sił do Blakelys, żeby zadzwonić do Jacka.

Zaparkowała z fasonem obok turkusowego harleya, którego osobiście polerowała i wspominała przy tym najukochańszego Toma. Chwyciłam z tylnego siedzenia plastikowe torby z zakupami i pobiegłam za nią do domu.

Mała Neli jak zawsze skoczyła swojej pani w ramiona, ale tym razem panna N. była zbyt podniecona, by poświęcić jej więcej czasu.

- Poczekaj - powiedziała surowo i posadziła suczkę z powrotem na poduszce koło kuchenki. Terierka podwinęła ogonek i posłała jej żalosne spojrzenie. - Musimy zadzwonić - wyjaśniła panna N. i przysięgłabym, że pies zrozumiał.

Podniosła słuchawkę, a ja kręciłam się obok. Staralam się zachowywać swobodnie, ale kiedy usłyszałam: „Jack, to ty?” - wyobraziłam go sobie po drugiej stronie i poczułam, że kolana uginają się pode mną. Opadłam na skórzany fotel, zwinęłam się jak Mała Neli i takim samym błagalnym wzrokiem patrzyłam na pannę N.

- Posłuchaj, Jack - mówiła - gdzie można znaleźć hazardzistę, który jeździ na włoskich numerach rejestracyjnych? Oczywiście w San Remo. - Uśmiechała się jak kot z Cheshire, podniecona i już nie tak majestatyczna, gdy przekazywała swoją wiadomość, po czym zaskoczona powiedziała: - Co? Już jesteś w San Remo? - Słuchała przez chwilę. - Ach, rozumiem, ducati. Tak, oczywiście. - Popatrzyła na mnie, słuchając dalej. - Tak, jest obok mnie, zaraz jadą - powiedziała i wręczyła mi słuchawkę.

- Cześć - odezwał się Jack.

Na dźwięk tego głosu znowu się rozkleiłam. Zachowujesz się jak nastolatka, powiedziałam sobie surowo, kiedy mówiłam serdecznie:

- Cześć, Jack, co u ciebie?

- Tęsknię za tobą - powiedział ku memu zdumieniu.

- Och, tak. Dobrze. Sądzę, że nie jadasz najlepiej pod moją nieobecność.

Panna N. zmarszczyła czoło i popatrzyła na mnie z irytacją.

- Przepraszam - dodałam. - To był żart.

- Dobrze się czujesz w Anglii? - spytał Jack.

- Jest cudownie, a panna Nightingale jest idealną gospodynią. Musisz tu przyjechać. Ma domek jak z bajki.

- Przyjadę - obiecał. Potem, już poważnym tonem ciągnął: - Lola, mam wiadomość, ale najpierw powiedz mi, czy znasz człowieka nazywającego się Cosmo March.

- Cosmo March... przecież to mój ojciec. Michael Cosmo March.

- Aha, No więc Patrick występuje pod jego nazwiskiem. Mieszkał tutaj, w hotelu Rossi w San Remo. Udawał bogacza, wynajął ekskluzywny apartament i obstawiał wysoko w kasynie. Szczerze mówiąc, spóźniłem się o parę dni. Spakował się i wyjechał. I nie zostawił nowego adresu.

Wzięłam głęboki oddech.

- Jesteś pewien, że to on?

- Opis się zgadza, poza tym kto inny znałby nazwisko Cosmo March?

- To on - powiedziałam. Byłam pewna. Poczułam strach. - Musimy go odnaleźć, Jack. Natychmiast wracam. Przylecę jutro. Gdzie się spotkamy?

- Wypływam teraz z San Remo. Zadzwoń i powiedz mi, którym samolotem lecisz. Spotkamy się na lotnisku.  
- Dziękuję- wyszeptałam z wdzięcznością.  
- Mówiłem ci, że za tobą tęsknię, kochanie. - Czułam, że się uśmiecha. Odłożyłam słuchawkę i powiedziałam:  
- Przykro mi, panno N., ale muszę wracać.  
- Cóż, oczywiściejadę z tobą- odparła. - Nie możemy pozwolić, by Patrick nam się teraz wymknął. - Z tymi słowami znów sięgnęła do telefonu i wykreśliła numer Mary Wormesly, żeby ją poprosić o opiekę nad Małą Neli.

## Rozdział 60

To było coś więcej niż zwykły powrót do domu. Kiedy następnego wieczoru na lotnisku w Nicei Jack objął mnie na powitanie, wiedziałam, że wróciłam na swoje miejsce. Przycisnęłam twarz do jego piersi, czułam, jak napinają się mięśnie jego rąk, gdy mocno mnie przytulał, i przez kilka sekund byliśmy bardzo, bardzo blisko siebie. Panna N. dyskretnie zajęła się bagażem, a Jack w tym czasie szeptał mi do ucha:

- Wyglądasz jak truskawki ze śmietaną i jesteś niezwykle angielska.

Może dlatego tak mówił, że na ramiona zarzuciłam swój nowy sweter z różowego kaszmiru, a włosy, związane z tyłu jak u grzecznej uczennicy, chyba po raz pierwszy wyglądały porządnie.

- Ty też wyglądasz niesłychanie apetycznie - powiedziałam z głupawym uśmiechem.

Jack pomógł pannie N. odebrać bagaż, pocałował ją w policzek i zarzucił sobie nasze torby na ramię.

Panna N. odetchnęła z zadowoleniem i stwierdziła, że to dobrze mieć koło siebie mężczyznę, który zajmie się takimi sprawami, i wszyscy razem wyszliśmy na zewnątrz, na słońce, do samochodu. Tyle tylko, że nie było żadnego samochodu. Pojechaliśmy taksówką do portu, gdzie czekała dinghy, i popłynęliśmy do domu słupem. Niedobry Pies pełnił obowiązki arystokratycznej Małej Neli - trzymał głowę na kolanach panny N. Wiatr nam sprzyjał; płynęliśmy do Saint-Tropez.

Chyba zaczynałam lubić łódzie.

Siedziałam z Jackiem na pokładzie słupa, patrzyliśmy przez wody zatoczki na ruiny hotelu. Cała prawa strona, gdzie mieściła się kuchnia,

zamieniła się w stos zwęglonych belek i poskręcanej stali. Ocalała z tej strony resztki dachu rozebrano dla bezpieczeństwa. Na tarasie leżała sterta śmieci, a różowe ściany osmałił dym. Ale bugenwilla dzielnie walczyła o przetrwanie; choć kończył się listopad, w ciepłe jesienne słońca ogród był bujny i dziki jak zawsze.

Bez hotelu byłam nikim. Nie miałam gości, którymi mogłabym się zajmować, nie miałam komu gotować ani poskarżyć się pod koniec długiego dnia, że bołą mnie stopy i że nie wiem, co mam zrobić z Jeanem-Paulem, który nie pokazał się w pracy. Tak bardzo chciałam, żeby to wszystko wróciło - każda skarga, każde narzekanie, każdy szczegół ciężkiej pracy, którą tak lubiłam.

- Smutny widok - powiedziałam. - Szarość i zaniedbanie. Gdzie się podział cały urok tego miejsca?

- Nadal tu jest - stwierdził Jack. - To ty zrobiłaś z hotelu Riwiera to, czym był. Udało ci się raz, uda się i drugi. Trzeba tylko cierpliwości.

- Aha. I pieniędzy. Dużo pieniędzy.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe na pewno je wypłaci. Ojciec Żonkosia w Awinionie kontaktuje się z nimi na bieżąco. Zobaczysz, że niedługo przyjdzie czek.

Myślałam o tym, ile czasu poświęciłam na stworzenie tego hotelu. Pamiętam, jak całymi miesiącami wędrowały ekipy budowlane; pamiętam walki o zatwierdzenie projektu przez lokalne władze, pokonywanie biurokracji i wreszcie radość, jaką sprawiało mi urządzenie pokojów drobiazgami z różnych aukcji, które w jakiś dziwny sposób pasowały do siebie jak śliczna układanka. Myślałam o swojej pięknej kuchni i o tym, że już nigdy jej nie odtworzę. Włożyłam mnóstwo miłości w ten hotel i wiele też od niego dostałam. Ogarnęła mnie rozpacz. Jakaś część mnie samej uleciała z płomieniami i pewnie nigdy już jej nie odnajdę.

- Nie mogę - odezwałam się. - Po prostu nie mogę tego wszystkiego robić jeszcze raz.

Poczułam na sobie długie, badawcze spojrzenie Jacka.

- Przykro mi, że tak mówisz - powiedział. - Ten hotel był naprawdę ważny w twoim życiu.

- Nie wiem nawet, czy nadal jestem jego właścicielką - stwierdziłam gorzko.

- Jesteś, dopóki sąd nie orzeknie - jeśli w ogóle to zrobi - że jest inaczej, w co zresztą wątpię, zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy na tropie Patricka. A poza tym taki proces może się ciągnąć latami.

- A ja odbuduję hotel po to, żeby Evgenia mogła od tej pory żyć w nim szczęśliwie.

Odwróciłam się i popatrzyłam na Jacka. Siedział obok mnie na pokładzie, z podciągniętymi kolanami i rękami założonymi na piersi. Sól ziemi,



przyszło mi do głowy, mocny, solidny, zbyt dobry, by był prawdziwy... i nie dla mnie, to pewne.

- Boję się - powiedziałam. - Z przerażeniem myślę o powrocie do mojego własnego domu. Z przerażeniem myślę o Patricku.

- Nie musisz tam wracać. Możesz zostać tu, na łodzi.

Nie zachęcał mnie, był po prostu uprzejmy.

- Dzięki - wymamrotałam - ale nie znoszę łodzi. Zresztą pewnie wszystko będzie w porządku. Panna Nightingale zostaje ze mną. - Roześmiałam się. - Zżyliśmy się jak dwie stare panny, świetnie się rozumiemy, te wszystkie filiżanki herbaty przed snem i: „Dobranoc, śpij dobrze”. - Spojrzałam na niego. - Naprawdę ją kocham. Taką przyjaciółkę powinna mieć każda kobieta. - Wyciągnęłam do niego rękę. - Ty jesteś taki sam, Jack. Dobry przyjaciel, który pędzi ze Stanów, żeby mi pomóc, choć wiem, że powinieneś teraz siedzieć w domu, pilnować prac nad jachtem i planować następną wyprawę.

- Wróciłem, bo chciałem cię zobaczyć - powiedział, mocno ściskając moją dłoń. - I dlatego, że chcę ci pomóc wydostać się z tych kłopotów. Poza tym boję się, że Patrick może coś zrobić.

Zastanawiałam się, który z tych powodów podoba mi się najbardziej, ale nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie, bo objął mnie i poczułam znajomy, męski zapach. Szorstki zarost na brodzie drapał mnie w policzek.

Tęskniłem za tobą, Lolu. - Uśmiechnęłam się i pocałowałam go. To nic, że nie powiedział, że mnie kocha; „tęsknię” na razie wystarczy.

Kochaliśmy się na twardym, wąskim łóżku wciśniętym w dziób jachtu. Nad nami krzyczały morskie ptaki, w uszach mieliśmy delikatny szum morza.

- Zmieniłaś się - powiedział Jack, ściągając mi z ramion różowy kaszmirowy sweter. - Masz dłuższe włosy, jaśniejszą skórę, a oczy kolom dobrej whisky.

- Ale smakuję tak samo? - Zawinęłam wokół niego ręce i nogi.

- Och, jasne. Marzyłem o tym w czasie lotów nad Atlantykiem, nie mówiłem ci?

- Chyba nie - mruknęłam, lekko chwytając zębami jego ucho, podczas gdy ręka Jacka dokonywała jakichś czarów na wewnętrznej stronie mojego uda. Usiadł, z zachwytem głaskał moje ciało, patrzył mi w oczy i wtulił się we mnie w cudownym tańcu miłości.

Nikt nigdy wcześniej nie kochał mnie w taki sposób, tak delikatnie, głęboko i z taką umiejętnością dawania rozkoszy. Kiedy wszedł we mnie, niebo znów zawirowało. Krzyczałam ze szczęścia. Tulił mnie mocno, słyszałam, jak jego serce wali tuż obok mojego, kiedy leżeliśmy zmęczeni i wciąż spleceni razem. *Zagubieni we Francji, w miłości* - jak mówi stara piosenka.

## Rozdział 61

Zakochana. To słowo przez sen dźwięczało mi w głowie i jak kolorowy neon wybuchowało kaskadami różowych i pomarańczowych świateł. Nie mogłam od tego uciec, nawet podświadomość mówiła mi, że jestem zakochana.

Obudziłam się, kiedy w przeszklone drzwi zaczęło zaglądać światło poranka. Leżałam na własnej kanapie w saloniku, przykryta kocem, a panna Nightingale spała w moim ozdobnym łóżu. Powiedziała mi, że coś takiego widziała do tej pory tylko w kinie.

Nie chcieliśmy zostawiać jej samej, poza tym Jack postanowił mieć oko na wszystko. Dlatego pilnował na zewnątrz. Spał na białej wiklinowej kanapie z nogami przewieszonymi przez poręcz, a obok niego wylegiwał się Niedobry Pies.

Usłyszałam jakieś głosy i zerwałam się na równe nogi, przyciskając koc do piersi. Rzuciłam okiem na zegarek. Była dziesiąta. Zaspałam.

Podbiegłam do okna. Jack z kimś rozmawiał. Niewysoki mężczyzna w brązowym garniturze trzymał w ręku teczkę i wyglądał na urzędnika. W każdym razie nie jest to gliniarz, pomyślałam, naciągając spodnie od dresu.

- Dzień dobry - przywitałam go, usiłując sprawić wrażenie, że jestem na nogach od paru godzin. Zauważyłam grymas Jacka i przygryzłam warzę, żeby się nie roześmiać. - W czym mogę pomóc?

Mężczyzna obejrzał mnie, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Sądzę, że wyglądałam, jakbym właśnie wstała z łóżka.

- Madame Laforet?

- To ja- uśmiechnęłam się do niego. Chyba nieszkodliwy facet, pomyślałam, ale równie dobrze może to być kolejny sługus Solisa.

- Jestem przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego, madame. Przyjechałem, żeby powiedzieć pani, że mamy przyjemność przyjąć pani wniosek. Przywiozłem dokumenty do podpisu.

Szczęka mi opadła, a oczy rozbłysły. Złapałam go za rękę i wprowadziłam do środka. Z zażenowaniem uwolnił dłoń i usiadł sztywno przy stole, naprzeciw mnie.

- Proszę to uważnie przeczytać, madame - powiedział. - I poproszę panią o podpis w kilku miejscach.

Przeczytałam, podpisałam i dostałam czek do ręki. Wielki, wspaniały czek dla hotelu Riwiera. Czek, który oznaczał nowy dach i różowe ściany, i okiennice, które będą równo wisiały. Oznaczał nowe aukcje i stare dywany, srebrne dzbanki i poślacane łóżka, i prowansalskie materiały prosto ze

straganu. I bierwiona z drewna jabłoni w koszyku, kwitnące kwiaty i okna otwarte szeroko do słońca, szczęśliwe głosy na tarasie i małe dzieci biegające przed nadpływającą, koronkową falą. I nową kuchnię z żywoplotem z rozmarynu przed wejściem. I zapach pysznych dań, i zimne rosę w ciepłe, letnie wieczory. Oznaczał wszystko. Wolność. Dom.

Dla uczczenia tego faktu pojechaliśmy na kolację do Moulin de Mougins, mojego od lat ulubionego miejsca. Roger Verge nie był już tam szefem kuchni, ale jego styl czuło się w każdej potrawie.

Wystrojeni popłynęliśmy do restauracji. Poprosiłam o szampana, zapowiadając moim gościom, że mogą zamawiać, czego dusza zapagnie.

Panna N. wyglądała zachwycająco i bardzo dostojnie w granatowych jedwabiach, z pięknymi perłami na szyi - teraz już wiedziałam, że są prawdziwe. Stwierdziła, że z pewnością jedzenie nie dorówna temu, co jada u mnie, ale miała ochotę na zupę grzybową, a i dorada zapowiadała się bardzo interesująco.

I Jack, mój Jack, myślałam czule, ściskając jego rękę pod stołem, należał do mnie. Przynajmniej dziś wieczorem. Mój Jack miał na sobie kremowe lniane spodnie, prawda, że pogniecione, ale przynajmniej nie były to szorty; śliczną niebieską koszulę, którą kupił specjalnie tego ranka w Saint-Tropez, i ciemną marynarkę z lnu, która choć zapewne pamiętała lepsze czasy, nadal wyglądała na nim elegancko.

Ja szarpnęłam się na sukienkę w kolorze malinowym, tak prostą, jaką można kupić tylko za duże pieniądze. Znakomicie pasowała do moich rudych włosów, które rozpuściłam, żeby długą, lśniąca falą spadały na ramiona. Zaczesałam do tyłu grzywkę i założyłam długie kolczyki z bursztynem, dodając do tej gry kolorów jeszcze jeden, a na koniec wbiłam się w spiczaste pantofle na ośmiocentymetrowych obcasach, w których mogłam umrzeć, ale nic mnie to nie obchodziło. Nałożyłam tusz, róż, szminke i uśmiechnęłam się szeroko. Czek z ubezpieczenia w cudowny sposób podniósł mnie na duchu.

- Wyglądasz inaczej - stwierdził Jack, oglądając mnie ze wszystkich stron.

- Mam nadzieję - odpowiedziałam, zadowolona z siebie. - Za takie pieniądze!

Roześmiał się.

- Pieniądze sporo potrafią, to zawsze widać.

- No to dajmy im szansę. Dziś wieczorem jemy i pijemy jak królowie - oznajmiłam. Od miesięcy nie czułam się tak dobrze. Oczywiście poza tymi chwilami, kiedy kochaliśmy się z Jackiem.

Była to pamiętna noc: trójka przyjaciół, dwoje kochanków. Zapomnieliśmy o Patricku, o wszystkich lękach oraz kłopotach i po prostu świetnie się bawiliśmy. Rzeczywistością, odbudową hotelu Riwiera, a także mojego życia będziemy się martwić jutro.

Patrick jakby zniknął z powierzchni ziemi, a przynajmniej z tych rejonów, które przeszukiwał Jack. Ja tymczasem rzuciłam się w wir pracy. Wróciły długie dyskusje z budowniczymi; znów pojawiły się dźwigi i pojemniki pełne śmieci, jak kiedyś rozlegał się łomot kucia, wizg wiertarek i świrdrów. Odbudowa jest równie ciężka jak poród, ale podobnie jak on warta bólu.

Ta część hotelu, która wychodziła na frontowy parking, była nietknięta, panna Nightingale mogła więc zamieszkać w swoim pokoju Marii Antoniny. Jack praktycznie wprowadził się do mojego domku. Wynajął ochroniarza, który pilnował terenu od wieczora do rana, a Niedobry Pies krążył i był gotów kłapać zębami na każdego obcego. Znów czułam się bezpiecznie.

Dni upływały na gorączkowej działalności; wciąż trzeba było podejmować jakieś decyzje; wciąż coś nawalało, robotnicy nie przychodzili, nie przywożono zamówionych materiałów. Kiedy w końcu położono dach, przygotowaliśmy tradycyjne, francuskie przyjęcie w ogrodzie dla robotników, ich żon i rodzin. Wiele wypito piwa, wiele toastów wzniesiono za pomyślność nowego hotelu Riwiera. A potem nagle zaczęło padać. Wiwaty ustały, patrzyliśmy zawiedzeni na niskie, szare niebo i na siebie nawzajem. I wtedy przypomniałam sobie:

- Mam dach - powiedziałam i wszyscy się roześmieliśmy. Och, jak wiele znaczy taki dach!

Czułam się taka szczęśliwa tego wieczoru. Wszystko szło dobrze. Kto wie, może mimo wszystko zachowam swój hotel. Byłam w dobrej formie, wesoła i pozytywnie nastrojona.

Ale okazało się, że to tylko cisza przed burzą.

## Rozdział 62

### Patrick

**P**atrick Laforet był bez grosza. Miał w kieszeni dokładnie tyle, by kupić sobie kawę na śniadanie, sandwicza na lanch oraz drinka i przekąskę wieczorem. Evgenia obcięła mu fundusze, wściekła za grę w kasynie. Prze-

grał większość pieniędzy, które mu przekazała przez firmę przesyłkową w Mentonie, łącznie z perłami i brylantowymi kolczykami; w sumie kwotę, o której nie chciał nawet myśleć. Było tego dużo więcej, niż się spodziewał.

Teraz Evgenia trzymała go na krótkiej smyczy. Mieszkał sam w małej, obskurnej willi na wzgórzach, która była kiedyś ich miłosnym gniazdem; jednak Evgenia już go tam nie odwiedzała. Trzymała go na dystans od paru tygodni, co przyprawiało Patricka o szaleństwo. Zniknął mercedes w kolorze blue metallic, skończyło się wytworne hotelowe życie w San Remo, pozostało tylko ducati. Patrick nie był szczęśliwy.

Ale i Evgenianie czuła się szczęśliwa. Była rozczłuszczona, rozgorzyczona, zdeterminowana i groźna. Spędzili razem z Patrickiem popołudnie, zjedli luncz w małym lokaliku w wiosce La Turbie, wysoko w górach nad Monte Carlo.

Siedziała naprzeciw niego, opanowana i spokojna, ubrana w żółty sweter, bo na tej wysokości było chłodno, ze sznurem brylantów na platynowym łańcuszku, który kołysał się na piersi. Bez apetytu skubała z talerza ravioli i rzadko spoglądała na Patricka.

Sięgnął do jej ręki, ale odepchnęła go.

- Nie przeszkadzaj mi teraz. Myślę.

Wypił łyk czerwonego wina i spytał:

- A o czym myślisz tym razem? - Sądził, że zamierza się z nim rozstać i wówczas nie wiedziałby, co ma zrobić. Nie mógł żyć bez tej kobiety. Była jak szkodliwy wirus, którego nie można się pozbyć, ale pacjent nie chce się leczyć, bo kocha stan, w jaki wprawia go choroba.

- Nie możemy ciągnąć tego tak dalej - powiedziała Evgenia. Pokornie kiwnął głową, bo wiedział, że to prawda. - Pora coś zrobić - dodała energicznie. - Plan mamy gotowy, teraz trzeba go tylko zrealizować.

Dolał wina, popatrzył na nią ponad stołem: taka piękna i nikczemna zarazem. Sam nie wiedział już, czy ją kocha, czyjej nienawidzi.

- Falcon załatwi telefony - podjęła. - Facet, Farrar, nie będzie przeszkadzał. Lola przyjedzie sama.

- Naprawdę myślisz, że przyjedzie?

Evgenia uśmiechnęła się.

- Jestem pewna - powiedziała. - W końcu ma zobaczyć się z tobą.

Patrick smętnie popatrzył w kieliszek. Wszystko to zaszło za daleko i nie było już odwrotu. Tyle że nie mógł tego zrobić.

- Nie poprowadzę samochodu - stwierdził wpatrzony tępo w szkło.

Westchnęła. Patrick to słaby człowiek, zawsze o tym wiedziała.

- Nie przejmuj się, to się załatwi. Jutro o tej porze będziesz wolnym człowiekiem.

## Rozdział 63

### Jack

Jack wsypywał piasek do betoniarki w pobliżu miejsca, które kiedyś było kuchnią. Pomagał; co jakiś czas zaopatrywał robotników w zimne piwo, zamawiał ogromne pizze z grubą warstwą kielbasy i papryki i generalnie ich rozpieszczał, co znacznie przyspieszało prace. Zadzwoił telefon. Jack odłożył narzędzia.

- Jack Farrar - powiedział.

- Panie Farrar - męski głos mówił szeptem -jeśli chce pan wiedzieć, gdzie jest Patrick Laforet, proszę się ze mną spotkać w Nicei, na placu Garibaldiego, jutro o piątej rano.

Połączenie się urwało. Jack odtworzył numer dzwoniącego i wystukał go. Był to automat publiczny. Należało się tego spodziewać.

Zastanowił się nad głosem, próbował go zidentyfikować, lecz nie był to znajomy głos. Pomyślał, że powie Loli o tym telefonie, ale potem stwierdził, że przestraszy ją tą wiadomością.

Zadzwoił do firmy wynajmującej samochody i zamówił auto. Miało czekać na niego nazajutrz wczesnym rankiem, w Saint-Tropez.

## Rozdział 64

### Lola

Byłyśmy z pannąNightingale same w domu. Jack popłynął gdzieś na „Niedobrym Psie”, a ochroniarz udał się do ocalałego holu wejściowego, gdzie rozgrzewał nogi i jadł kolację. Zadzwoił telefon. Podniosłam słuchawkę.

- Halo - powiedziałam znużonym głosem, przekonana, że znów usłyszę przedsiębiorcę budowlanego, który chce mnie zawiadomić, że nie nadeszły zamówione płytki i będzie trzytygodniowe opóźnienie.

- Proszę słuchać, co mam do powiedzenia - mówił męski głos. - Jeżeli chce pani zobaczyć swojego męża żywego, proszę przyjechać do

wioski La Turbie jutro o szóstej rano. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno: jeśli chce pani, żeby Patrick pozostał przy życiu, proszę przyjechać. Proszę nie zawiadomić policji i nikomu o tym nie mówić. Jeżeli pani nie posłucha... - zapadła długa cisza - zdaje sobie pani sprawę z konsekwencji.

Rzuciłam słuchawkę i patrzyłam wielkimi, okrągłymi oczami na pannę Nightingale. Powtórzyłam jej wiadomość.

- Powiedział, że mam o tym nikomu nie mówić - dodałam zaszokowana.

- No, to mnie nie dotyczy. Oczywiście, że musiałaś mi powiedzieć.

- Co z Jackiem?

- On też powinien wiedzieć. - Panna N. mówiła bardzo zdecydowanie.

- Ale nie mogę, oni zabijają Patricka.

- A co będzie, jeżeli nie przyjedziesz?

- Nie mogę ryzykować.

Panna Nightingale westchnęła.

- Jednak uważam, że powinniśmy zawiadomić Jacka - powiedziała - ale jeżeli jesteś zdecydowana jechać, pojedę razem z tobą.

- Przecież pani rozumie, że to moja jedyna szansa, by odnaleźć Patricka. Muszę to zrobić, panno N. Muszę.

## Rozdział 65

### Jack

Jack stracił dokładnie kwadrans, kręcąc się po placu Garibaldiego w Nicei, zanim zrozumiał, że popełnił błąd. Było jeszcze wcześniej, ale mimo to zadzwonił do Loli. Nikt nie odpowiedział. Zaczął się denerwować. Dlaczego Lola nie podnosi słuchawki? Odruchowo wystukał własny numer. Usłyszał wiadomość od panny Nightingale.

- Zdradzam tajemnicę, przekazując ci tę informację - mówiła z brytyjskim akcentem, który zawsze przyprawiał go o uśmiech - ale wieczorem Lola odbyła dziwną rozmowę telefoniczną. Ten mężczyzna zmusił ją do obietnicy, że nikomu nic nie powie, ale oczywiście powiedziała mnie, a teraz ja mówię tobie. Wyjeżdżamy do La Turbie na spotkanie z Patrickiem - tak przynajmniej mówił ten mężczyzna. Powiedział też, że jeżeli ona nie

przyjedzie, to wiadomo, jakie będą konsekwencje. Wtedy pomyślałam o Tomie i o tym, co on by w tej sytuacji zrobił. Dlatego teraz dzwonię do ciebie, Jack, ponieważ coś mi się w tym nie podoba. W każdym razie mamy się spotkać na placyku w La Turbie o szóstej rano. Będę szczęśliwa, jeżeli zdołasz dojechać do nas - dodała, zupełnie tak, jakby zapraszała go na przyjęcie.

Jack wyłączył telefon. Chcieli się go pozbyć. Zanim panna N. zdążyła skończyć, siedział już z powrotem w wynajętym peugeocie i mknął do La Turbie.

Bezpośrednio przed Jackiem jechał szeroki, niski hummer w kolorze wojskowej zieleni. A przed nim mały, srebrzysty fiacik z panną N. za kierownicą, pędząca na złamanie karku. Nie zauważała zakrętów o sto osiemdziesiąt stopni i kilkudziesięciometrowej przepaści z boku. Hummer trzymał się jej jak cień i podjeżdżał coraz bliżej. Stanowczo za blisko, stwierdził Jack z przerażeniem. Wyglądało to tak, jakby kierowca hummera chciał wyprzedzić fiata, choć Jack nie miał pojęcia, jak sobie wyobrażał ten manewr na takiej drodze i przy rozmiarach własnego auta.

Zwolnił odrobinę, żeby dać hummerowi miejsce, by zwiększył odstęp i *nie* siedział fiacikowi na zderzaku, ale sam został w ryle. *Co się tam działo, do cholery?* Wpatrywał się przez przednią szybę, by dostrzec kierowcę, ale okna hummera były przyciemnione i widział tylko zarys głowy.

- Idiota! - krzyczał, naciskając sygnał, jednak zielony samochód ani na chwilę nie zmniejszył szybkości.

## Rozdział 66

### Panna N.

**M**oja droga - powiedziała panna N. do Loli, spoglądając w lusterko wsteczne - czy nie sądzisz, że ten wojskowy samochód siedzi nam na ogonie? Lola przyjrzała się dokładnie.

- To nie jest auto wojskowe, tylko hummer robiony na indywidualne zamówienie. Okropnie drogi i żre straszne ilości paliwa.

Panna N. wcisnęła pedał gazu. Małeńki fiacik szarpnął i skoczył do przodu. Lola gwałtownie złapała powietrze.



- O Boże! - krzyknęła, rzucając okiem na pionowe urwisko po prawej stronie. - Boże, wolniej, panno N. Niechże nas wyprzedzi na najbliższym nawrocie, jeżeli mu się tak bardzo śpieszy.

- Pytanie, dlaczego tak mu się śpieszy? - Panna N. z nonszalancką elegancją pokonała zakręt najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, choć tak naprawdę zaczynała się niepokoić. Hummer wciąż siedział jej na zde-rzaku, zmuszając do coraz szybszej jazdy. Gdyby zwolniła, mógłby ją ude-rzyć z tyłu. Za hummerem był przedtem jeszcze jakiś samochód, ale teraz już go nie widziała. Poza nimi nikt tą drogą nie jechał. Były z Lolą zdane na siebie.

## Rozdział 67

### Jack

Z chłodnicy peugeota z sykiem wydobyła się para, a w silniku coś zzałomotało. Samochód potoczył się i stanął. Jack walnął rękami w kierownicę. Wysiadł, popatrzył na ulatującą parę. Akurat w tym momencie musiał się przegrzać. Co teraz? Panna N. jest już pewnie dwa kilometry stąd, a hummer tuż za nią. Jack wyciągnął czerwoną lampę awaryjną, odbiegł do tyłu, postawił ją na jezdni i włączył. Zatrzymał się i spojrzał w skalistą przepaść tuż obok.

—Och, nie - powiedział - och, nie... - Chwyił telefon komórkowy, wystukał numer policji, tłumaczył w jakimś okropnym francusko-amerykańskim języku, że na szosie Corniche kierowca zachowuje się w sposób zagrażający innym, że może zdarzyć się wypadek, a nawet morderstwo... Lepiej polecieć tam helikopterem, natychmiast. Zanim będzie za późno.

Miał nadzieję, że potraktowali go poważnie. Serce waliło mu jak młotem, kiedy biegł pod górę i modlił się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Usłyszał za sobą samochód, odwrócił się, żeby go zatrzymać. Auto zwolniło. Jack wskoczył i znalazł się w towarzystwie zdumionej pary Niemców.

- Szybko - powiedział - tam na drodze dzieje się coś złego, ludzie po-trzebują pomocy. - Niemiec nie tracił czasu na pytania; po prostu nacisnął gaz i ruszył do przodu.

## Rozdział 68

### Panna N.

**K**ochanie - odezwała się panna N. - Zdaje się, że mamy kłopoty. Ten Hummer próbuje mnie zepchnąć. Lola spojrzała przez tylne okno. Machnęła ręką do kierowcy, żeby się odsunął, ale tamten tylko podjechał bliżej.

- Rany boskie! - krzyknęła w chwili, gdy trącił je przedni zderzak hummera. - Jezu, panno N., on chce nas zabić!

Panna N. robiła, co mogła, ale fiat nie był w stanie jechać szybciej. Wpadły w pułapkę oszalałego mordercy za kierownicą. Mogła teraz jedynie modlić się do Toma, żeby podpowiedział jej, co ma robić.

Zygzakiem! Odpowiedź olśniła ją nagle i panna N. gwałtownie skręciła na przeciwny pas, modląc się teraz, by nikt nie nadjeżdżał z drugiej strony. Hummer skręcił za nią.

- Zjedź na bok i zatrzymaj się! - krzyczała Lola. - O Boże, nie powinien nam pani w to wciągać. Panno N., przepraszam, przepraszam! - Wrzasnęła, kiedy hummer uderzył jeszcze raz. Fiacikiem zarzuciło i samochód przestał reagować na manewry kierowcy.

## Rozdział 69

### Jack

**J**ack usłyszał za sobą motocykl, dokładnie w tej samej chwili, kiedy Niemiec dostrzegł tył hummera. Zielony samochód przejeżdżał ukosem w poprzek drogi, siedząc na zderzaku małego fiacika, którego kierowca stracił panowanie nad autem.

- Dobry Boże, nie, nie! - krzyczał Jack.

Fiacik jakimś cudem odzyskał równowagę i znów ruszył przed siebie. Silnik hummera pracował już na najwyższych obrotach. I wtedy przemknęło obok nich szare ducati. Niemiecka turystka krzyknęła, a jej mąż wcisnął gwałtownie hamulec, klnąc motocyklistę, który nie zatrzymał się nawet przy dwóch samochodach walczących na środku drogi.

## Rozdział 70

### Lola

Lola zakryła rękami oczy. Właściwie już było po nich. Powinno teraz przed oczami przelecieć całe jej życie, ale potrafiła myśleć tylko o Jacku i o tym, że już go nigdy nie zobaczy. I o pannie Nightingale, którą wciągnęła w to wszystko.

- Przepraszam, panno Nightingale, tak mi przykro - mówiła, dzwoniąc zębami, kiedy kierowca hummera kolejny raz wcisnął pedał gazu.

- O Boże! -jęknęła panna Nightingale. Wiedziała, że to koniec. Przebrały. Przykleiła się do kierownicy i walczyła o panowanie nad samochodem. Myślała o Tomie.

## Rozdział 71

### Jack

Jack widział, jak ducati przemyka się obok hummera, tak blisko, że koła motocykla niemal ocierają się o felgi kół samochodu. Jego mózg zarejestrował, że było to ducati Patricka Laforet i że motocyklista próbuje rozdzielić oba pojazdy, ale kierowca hummera mu na to nie pozwala. Na siedzeniu pasażera, przed Jackiem, Niemka wciąż krzyczała, a nad ich głowami nagle dał się słyszeć warkot helikoptera, który zniżył lot i znajdował się teraz nad drogą. W tym momencie ducati skręciło przed maskę hummera. Rozległ się pisk hamulców, kiedy auto potrafiło motocyklistę, a potem ducati poszybowało w górę. W najwyższym punkcie lotu oderwał się od niego kierowca. Przez ułamek sekundy zdawał się wisieć w powietrzu, a potem człowiek i maszyna spadli w przepaść.

Hummer wykonał pełny obrót, przez chwilę balansował na krawędzi urwiska i runął w dół w ślad za nimi.

## Rozdział 72

### Patrick

**P**odobno na ułamek sekundy przed spotkaniem ze Stwórcą człowiek widzi całe swoje życie. Patrick Laforet zobaczył w tym momencie, jak na rozwijającym się filmie, piękną twarz Evgenii, kiedy unosiła się nad nim w łóżku, z szeroko otwartymi oczami, wbijając paznokcie w jego ramiona. Nie odrywała od niego wzroku.

- Musisz zabić Lolę - mówiła. - Od tego zaczniesz.

Uderzył ją w twarz, tak silnie, że głowa odskoczyła do tyłu. Zepchnął ją z siebie. Nie odezwała się ani słowem, patrzyła tylko na niego z nienawiścią tymi przejrzystymi zielonymi oczami. Nawet teraz ją widzi, kiedy stracił panowanie nad motocyklem i szybuje w powietrzu...

- Najpierw zabijesz Lolę-mówiła, jakby to była zwykła czynność. Dla takiej skrzywionej natury jak Evgenii rzeczywiście była. - Wtedy będzie my mieli równe szanse. Ty nigdy nie doniesiesz na mnie, a ja na ciebie. Wszystko w porządku - przypomniawszy mu, zapalając kolejnego papierosa.

- Rozwiódę się z Lolą i ożenię z tobą- odpowiedział Patrick stanowczo.

Potrząsnęła swoją jedwabistą głową.

- To potrwa całe lata, Lola nie zrezygnuje z hotelu, zażąda połowy twojej ziemi i zmusi cię, żebyś ją sprzedał, by spłacić jej część. Pamiętaj, że odzyskałam twoją własność. Dla nas. Zbudujemy tam mój dom. - I Patrick, pełen współczucia, wiedział, że mówi to biedna rosyjska dziewczyna, która nigdy nie miała własnego domu. - Chcę mieszkać tam razem z tobą, Patrick - dodała - i z pieniędzmi Laurenta. Bez żadnych duchów z przeszłości.

- Rozwiódę się z Lolą- powtarzał uparcie.

- A co ja mam robić w tym czasie, kiedy ty będziesz biegał po sądach? Czekać grzecznie, aż będziesz wolny? Gotów ożenić się ze mną, jak ona ci pozwoli? Po tym wszystkim, co dla ciebie robię?

Patrick nie zgodził się na jej plan, nigdy. Jego zdaniem Evgenia bawiła się w dziewczynę Jamesa Bonda. Nie zdawał sobie sprawy, że ta kobieta ma duszę i serce bezlitosnego zabójcy. Dlatego, kiedy zaczął odkładać decyzję, a potem zdecydowanie odmówił, Evgenia postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Sama zabije Lolę.

Kiedy zorientował się, co się dzieje, było już za późno. Ale nie był zabójcą, nie mógł dopuścić do śmierci Loli. Po prostu - nie mógł. Evgenia

potrafi walczyć, jeśli czegoś chce. I zdobywa to. Teraz zdobyła Patricka.  
Na wieki wieków amen.

## Rozdział 73

### Lola

**M**ały fiacik zatrząsł się i stanął po przeciwnej stronie drogi. Rozległ się łomot, a wstrząs szarpnął nami potężnie. Bolała mnie głowa; odwróciłam się i spojrzałam na pannę N. Patrzyła na mnie, chyba nic się jej nie stało. Rzuciłam się jej na szyję, szlochałam i wciąż mamrotałam:

- O Boże, tak mi przykro, tak mi przykro...
- Wszystko w porządku, kochanie - powiedziała, poprawiając okulary i przyglądając włosy. Sądzę, że tak samo jak ja czekała, aż serce przestanie jej łomotać. - Teraz wszystko będzie dobrze - dodała z przekonaniem. Chciałam jej wierzyć.

Helikopter wylądował na drodze, dwadzieścia metrów dalej. Wskoczyli z niego uzbrojeni mężczyźni i biegli w naszym kierunku, a na ich czele Jack. Szarpnął drzwiczki auta, chwycił mnie w ramiona.

- Dzięki Bogu, kochanie, że jesteś cała, dzięki Bogu - powtarzał w kółko.
- Błyskawicznie nadjechały policja, pogotowie i straż pożarna. Jack wyciągnął mnie z samochodu i posadził na poboczu drogi. Patrzył z przerażeniem na krew spływającą mi z czoła do oczu. Zaszokowana dygotałam i szczękałam zębami. Jack ściągnął koszulę, owinął nią mnie, a potem wrócił po pannę N.

Pomógł jej wysiąść z auta i wziął ją za ręce. Patrzył w dół na dłonie z błękitnymi żyłkami, dłonie starej kobiety. Dzielnej starszej pani. Schylił głowę i je ucałował.

- Nigdy nie spłacę tego długu wdzięczności - powiedział.
- Nie ma potrzeby, młody człowieku - odparła, ale jej głos drżał.
- Ma pani naprawdę przytomną głowę - stwierdził w chwili, kiedy chwycił go żandarm. - Musi mi pani powiedzieć, kto prowadził hummera.
- Jak tylko złapię wolną chwilę. - Panna N. otrzepywała się z pyłu i poprawiała perły. Wydobyła z torebki chusteczkę i wytarła z czoła pot i kurz, a potem usiadła obok mnie przy drodze.

Wozy straży, pogotowia i policji wyły gdzieś niżej, a policjanci stali na krawędzi urwiska i patrzyli w dół, na rozbite pojazdy. Usłyszeliśmy huk, wiedziałam, że wybuchł zbiornik paliwa w hummerze. Ktokolwiek siedział w nim za kierownicą, nawet jeśli przeżył upadek, musiał teraz zginąć.

Niemiecka para wciąż siedziała w samochodzie, całkowicie oszołomiona. Jack przeproszał, że ich w to wciągnął, ale na pewno zorientowali się, że była to sprawa życia i śmierci. Podał im numer telefonu hotelu i zaprosił do nas, żebyśmy mogli im podziękować. Po czym został zakuty w kajdanki i wepchnięty do samochodu policyjnego, razem ze mną i panną N.

- Nigdy nie myślałam, że znajdę się w takiej sytuacji - powiedziała z uśmiechem, choć wiedziałam, że mając ręce skute za plecami, nie może się czuć dobrze. Gliniarze zaczęli zadawać pytania, odnosząc się do panny N. z szacunkiem, choć w tej chwili jako kierowca fiata mogła być pociągnięta do odpowiedzialności za śmierć co najmniej dwóch osób.

Odpowiadała jasno, wytłumaczyła dokładnie, co się stało. Jack poparł jej wersję, a niemieckie małżeństwo też ją potwierdziło. Ponieważ na razie zostaliśmy zwolnieni z podejrzeń, zdjęto nam kajdanki. Nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, więc z powrotem usiedliśmy na poboczu.

Na drodze wstrzymano ruch. Samochody nie mogły jechać, więc kierowcy spacerowali, spoglądali w dół na wraki, patrzyli na zegarki i kłękli. Śmierć tych ludzi nie miała nic wspólnego z ich życiem, a oni sami tracili czas. Nadjechał kolejny wóz pomocy drogowej, potem nad krawędzią urwiska zawarczał startujący helikopter, z którego oglądano miejsce katastrofy. Ogień przerzucił się na zarośla i szybko się rozprzestrzenił; wezwano do pomocy kolejnych strażaków.

Gliniarz spisujący wersję Jacka spytał, czy wiemy, kim są ofiary wypadku.

- Nie *wiem*, kto prowadził hummera - powiedział Jack, patrząc na mnie.  
- Ale motocyklistą był Patrick Laforet.

Próbowałam się odezwać, powiedzieć, że to niemożliwe, ale nie wydusiłam z siebie ani słowa. Patrzyłam tylko na Jacka. Później, wciśnięta między niego i pannę N. w drodze do szpitala, gdzie lekarze mieli zająć się naszymi obrażeniami, spytałam:

- Dlaczego Patrick to zrobił?  
- W ostatniej chwili zorientował się, co się dzieje. Uratował ci życie - powiedział, ściskając mocniej moją dłoń.  
- To bardzo proste, moja droga - dodała panna Nightingale. - W końcu Patrick cię kochał. Na swój własny sposób.

## Rozdział 74

Siedzieliśmy w domu, niewiele się odzywaliśmy i popijaliśmy brandy. Każde z nas wzięło prysznic, doprowadziliśmy się do porządku i próbowaliśmy zmyć z siebie przeżyty koszmar. Nic jeszcze nie minęło, ale teraz „w domu”, łatwiej było wiele rzeczy znieść.

Słońce stało już nisko, czuło się ostre, jesienne powietrze. Jack poszedł po sweter dla panny N. i szal dla mnie - wciąż się trzęsłam - i wtedy wkroczyła Nadine z kubkami gorącej zupy. Popatrzyłam na nie.

- Jak mogę jeść? Patrick przed chwilą zginął.
- Patrick zginął, ratując ciebie, Lolu, ale zacznijmy od tego, że to on naraził cię na niebezpieczeństwo. - Jack mówił otwarcie.
- Ale zrehabilitował się...
- Owszem, to prawda, lecz to go nie rozgrzesza z krzywdy, którą ci wyrządził - wtrąciła się panna N.

Niepewnie jadłam zupę. Ciepły płyn rozluźnił bolesny węzeł zaciśnięty gdzieś w środku. Zjadłam jeszcze trochę, a potem przytknęłam kubek do twarzy i chłonełam jego ciepło i aromat, wciąż z poczuciem winy, że żyję i jem zupę, gdy Patrick nie żyje. Tym razem naprawdę nie żyje.

- Zawsze wam to mówiłam - odezwałam się. - Patrick był złym mężem, ale nie był złym człowiekiem. - Ze znużeniem wzruszyłam ramionami. - Teraz widzicie, że miałam rację.

- Pora, żebyś zajęła się własnym życiem - powiedziała dziarsko panna Nightingale. - Ponieważ masz swoje życie, kochanie, nie zapominaj o tym. Jesteś niezależna i możesz z nim zrobić, co zechcesz.

- Dzięki Patrickowi. - Przycisnęłam wargi do kubka, żeby nie zadrżały

- Nie tylko. Jesteś samodzielną kobietą, Lolu. Tutaj stworzyłaś swój dom, swoje własne miejsce na ziemi. - Głos panny N. nigdy jeszcze nie brzmiał tak stanowczo. - W takim razie teraz powiem wam o kobiecie, która prowadzi hummera- oznajmiła. - A także o tym, kto siedział obok. Policja nie zidentyfikowała jeszcze szczątków, aleja mam pewne podejrzenia.

Jack pokiwał głową.

- Myślę, że ja też wiem, kto to był, ale nie bardzo rozumiem dlaczego.

Panna N. popatrzyła na mnie badawczo.

- To może być bolesne, moja droga - stwierdziła - ale chyba lepiej, żebyś dokładnie wiedziała, co się wydarzyło.

I opowiedziała nam o Evgenii i Patricku, o uroku, jaki zapewne rzuciła nie tylko na mojego męża, ale i na własnego. Uroku, który może doprowadzić mężczyznę do morderstwa.

## Rozdział 75

Gazety i telewizja poinformowały, że Evgenia Solis zginęła w wypadku samochodowym. Tego samego dnia podano, że „zaginiony” Patrick Laforet się odnalazł i wkrótce potem zabił się, prowadząc swój motocykl.

A w nocy jacht Solisa cicho wypłynął z Monte Carlo. Nie było na nim ciała Evgenii Solis. Mecenas Dumas otrzymał polecenie, by pogrzebać Evgenię na zwykłym cmentarzu. Nie planowano nagrobka, tylko prostą tablicę z nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci. Nie będzie mszy żałobnej i nie będzie żadnych pytań. Laurent Solis wyłożył dużą sumę na restaurację dawnych dzieł sztuki i szybko wrócił do swojego życia. Jeśli nawet został zraniony, nie będzie liżał ran na oczach innych.

Tego wieczoru doręczono do hotelu kopertę. Był w niej odręcznie napisany list Patricka, przekazujący hotel Solisowi. Podarty. Solis zrzekał się swych praw do hotelu Riwier. Robił prezent mnie, a nie swojej żonie.

Jeśli w całej tej tragicznej historii był oprócz Patricka ktoś, komu współczułam, to był to Laurent Solis. To znaczy jeśli w ogóle można współczuć miliarderowi. Uwierzyłam w opowieść o babci Patricka, która uratowała młodego Laurenta. Solis nie był złym człowiekiem - był sprytnym biznesmenem, który znalazł się pod urokiem pięknej i obłąkanej kobiety.

Przyjechała policja. Pytali o Jeba Falcona, który zginął w katastrofie razem z Evgenią, ale stwierdziliśmy, że o niczym nie wiemy. A jeśli chodzi o Giselle Castille, wyniosła się z powrotem do Paryża. Jej willa została wystawiona na sprzedaż.

- Krzyżyk na drogę - powiedziała z satysfakcją panna Nightingale, choć nie było do końca jasne, czy miała na myśli także Patricka.

Zamówiłam za Patricka uroczyste nabożeństwo żałobne, na którym pojawili się wszyscy jego „przyjaciele”, w tym spora grupka bardzo atrakcyjnych kobiet. Z Dordogne przyjechali też Shoupowie, w geście wsparcia, a nasi Państwo Młodzi przysłali piękny bukiet, jednak dla mnie, a nie dla Patricka. Nawet Budgie Lampson napisała list z kondolencjami, choć odniosłam wrażenie, że przyjęła śmierć Patricka z ulgą.



„Stypę” przygotowałam na tarasie, ścisnęłam dłonie przyjaciół Patricka i nadstawiałam oba policzki pod pocałunki kobiet, które były jego kochankami. Goście pili szampana, przyciszonymi głosami snuli wspomnienia, pożerali zakąski przygotowane przez Nadine i podawane przez Jean-Paula, który wrócił na ten dzień, ubrany na ciemno, czyli w czarną koszulkę i czarne spodnie.

Jack trzymał się na uboczu, jako że był to w końcu pogrzeb mojego męża. Ale panna Nightingale twardo stała u mego boku, mierząc wzrokiem żałobników i od czasu do czasu poklepując mnie po ramieniu dla dodania otuchy.

Na pożegnanie Patricka miałam na sobie czarną, luźną sukienkę bez rękawów i pantofle na najwyższych obcasach. Czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem ocieńczał mi oczy, które i tak schowałam za najciemniejszymi okularami przeciwsłonecznymi, jakie mogłam znaleźć. Jack wydawał się zaskoczony moim wyglądem, a panna Nightingale stwierdziła, że jestem bardzo piękną wdową, co mnie rozśmieszyło. W tym momencie, na dźwięk własnego śmiechu zrozumiałam, że naprawdę jestem niezależną kobietą, ponieważ Patrick wybrał swoją drogę, a teraz ja mogłam wybrać swoją.

Co wybiorę? Rzuciłam przez ramię spojrzenie na Jacka, który stał za mną, poważny i nieufny. Był tak niewiarygodnie silny i przystojny, że serce skoczyło mi w piersi. Jedyne pytanie brzmiało: czy mnie wybierze? Nie miałam pewności. Jack to w końcu żeglarz, a ja jestem zbyt nieśmiała, by mu zadać takie pytanie.

Goście żałobni sobie poszli. Wyglądali jak stado wron w czarnych strojach - śmiali się, gawędzili i układali swoje plany: żegnaj, Patricku, nasze życie toczy się dalej. Pomyślałam, że nie ma w tym nic złego.

Kolację zjedliśmy z Red i Jerrym Shoupami, by było nam lżej na sercu i byśmy się nieco „otrząsnęli ze swoich problemów”, jak to ujęła panna Nightingale. Wybrałam Auberge des Maures, w pobliżu Place des Lices w Saint-Tropez, gdzie ubrani w dżinsy i tenisówki siedzieliśmy obok tuższych mieszkańców, pod pergolą obrośniętą winoroślą, nad grillowanym leszczem morskim i półmiskami drobnej zielonej soczewicy.

Wznieśliśmy toast za hotel Riwiera, który teraz należał już do mnie na zawsze, i przysięgłam sobie, że stanie się tak piękny jak kiedyś. Potem wypiliśmy za Patricka i pomyślałam, że mimo wszystko mnie kochał.

W hotelu Shoupowie zajęli swój dawny pokój, teraz w pełni odnowiony; panna Nightingale poszła do swojej Marii Antoniny, a my z Jackiem zostaliśmy w moim domku.

- Czy nie ma w tym czegoś niestosownego? - spytałam nerwowo, kiedy zamknął drzwi i wziął mnie w ramiona. - Czuję się, jakbym była kobietą niemoralną. Dopiero co pochowałam męża.

- Skarbie, pochowałaś go już dawno. - Muskał nosem moje ucho, przyprowadzając mnie o dreszcz. - Dziś tylko dopełniłaś formalności.

Noc była ciepła, ale zapaliłam ogień na kominku. Siedzieliśmy przytuleni na kanapie, zapatrzeni w płomień i zasluchani w chrapanie Niedobrego Psa u naszych stóp i w łagodny dźwięk Antonia Carlosa Jobima, który śpiewał po portugalsku o miłości. W tle cichutko szumiało morze. W głębi serca jeszcze raz dziękowałam Patrickowi i Bogu, że zesłał mi pannę Nightingale i Jacka Farrara. Dziwne, ale z końcem tego tragicznego tygodnia czułam ulgę i spokój. W tej chwili byłam szczęśliwa.

## Rozdział 76

Odwiozłam pannę Nightingale na lotnisko w Nicei. Wiedziałam, że będę tęsknić za nią bardziej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Łączyło nas dużo, dużo więcej niż rozmowy o pogodzie i o tegorocznej suszy, która zaszkoziła jej różom. Panna N. była nieprzenikniona i tajemnicza. Postawmy sprawę jasno: kochałam ją i z niechęcią myślałam o jej wyjeździe.

- Niechże pani zostanie, proszę - mówiłam błagalnie. Chciałam powiedzieć: „Kocham panią”, ale zdawałam sobie sprawę, że nie zaaprobuję takiej wylewności; w odczuciu panny N. byliśmy sobie bliskie, bez zbędnych słów.

- Cóż, kochanie - odpowiedziała, kiedy razem popijałyśmy ostatnią poobiednią brandy. - Wiesz, że muszę zająć się swoim ogrodem. Trzeba przyciąć wisterię i róże, a Mała Neli wciąż mieszka u państwa Wormesiy w Blakelys Arms i na pewno za mną tęskni, choć czasem w to wątpię, bo tak ją psują łakociami i pianką z piwa.

- To może przyjedzie pani na Boże Narodzenie? - patrzyłam jej w oczy z nadzieją, już planując święta, a przez głowę przemknęło mi pytanie, czy i Jack dałby się namówić na pozostanie tutaj. Och, Jack, pomyślałam z nagłym skurczem serca... Żeglarz, wędrowiec, koczownik, taki sam jak Patrick...

- To uroczę z twojej strony. - Panna Nightingale była szczerze wzruszona zaproszeniem. - Ale widzisz, zawsze w okolicy Bożego Narodzenia mam dużo zajęć w kościele. Jest wigilia ze śpiewaniem kolęd, choć to trochę dziwne stać w progu swojego dawnego domu i śpiewać „Niech Bóg cię błogosławi” zupełnie obcemu człowiekowi. A potem odbywa się

coroczne przedstawienie w domu ludowym. W tym roku będzie *Kopciuszek*, dzieci zawsze to lubią, a moja Mała Neli ma swoje wejście jako - mały, wierny piesek Kopciuszka, ubrana w spódniczkę baletnicy. No a potem, naturalnie, pastor z żoną na pewno zaproszą mnie na świąteczny obiad i nie mogę ich zawieść. Widzisz więc, moja droga, że będę bardzo zajęta.

- Tak, oczywiście. - Westchnęłam, myśląc o moich samotnych świętach.
- Ale może na Nowy Rok? - zaproponowała panna Nightingale.
- Mam nadzieję-powiedziałam. - Och, mam nadzieję.

Odstawiłam pannę N. do samolotu i pojechałam z Nicei na wschód, w stronę Cap-Ferrat i starej willi, o której mi opowiadała. Należała kiedyś do kobiety o imieniu Leonie. Panna Nightingale twierdziła, że znajdę tam prawdziwy spokój, a ja musiałam pobyc sama ze swoimi myślami.

Dość mglście pamiętałam jej instrukcje, ale jakoś dotarłam na miejsce. Jakby wiedziona przeznaczeniem, pomyślałam, patrząc na nazwę *La Vieille Auberge*, wypisaną wyblakłymi literami na dwóch dużych białych kamieniach, które stały u bramy zarośniętego wjazdu.

Pchnęłam skrzypiącą żelazną bramę i poszłam w cieniu wysokich drzew nierówną, żwirowaną drogą w stronę domu. Stał tam - biały, zniszczony, otoczony ciemnozielonymi, niemal czarnymi cyprysami i srebrzystymi oliwkami. Sieć ścieżek i tarasów prowadziła na skrawek białego piasku, a chwiejnymi schodkami schodziło się w dół, nad morze.

Tak niedaleko mojego hotelu, myślałam, wędrując powoli zapuszczonymi ścieżkami, ale o ileż więcej tu wspaniałości. A jednak to dom; unoszą się tu jakieś wspomnienia, można je wyczuć w powietrzu, wdychać razem z zapachem dzikiego tymianku, rozmarynu i słonego morza.

Podeszłam do kamiennej ławki pod drzewem jacarandy. Wspaniałe miejsce, by w ciepłe popołudnia marzyć i patrzeć, jak z kończącym się dniem zmienia się kolor morza z turkusowego na atramentowy. Idealne miejsce do rozmyślań o życiu, miłości, do pogodzenia się z samym sobą i z własnym życiem. Czulałam, że wiele lat temu kobieta o imieniu Leonie tak właśnie spędzała tu czas.

Opadłam na ławkę, zapatrzona w czarowny widok; myślałam o dawnych, dobrych czasach i o Patricku, który jednak mnie kochał. O hotelu Riwiera, o tym, że teraz będę musiała pracować jeszcze ciężiej, by osiągnąć sukces, o moich gościach, których lubię rozpieszczać i traktować jak rodzinę. Planowałam nawet parę nowych potraw. Dobrze było siedzieć i wpatrywać się w błękitną przestrzeń.

Wspomniałam Mollie Nightingale. Nigdy nie będę w stanie zwracać się do niej Mollie, mimo że bardzo ją kocham.

I jeszcze Jack. Oczywiście. Kilka chaotycznych migawek... jak kocham jego ciało i dotknięcie jego rąk, jak bardzo niebieskie są jego oczy, zmrużone w uśmiechu, który zupełnie odbiera mi spokój. Miałam w uszach jego głos z lekkim nosowym brzmieniem z Nowej Anglii, kiedy opowiadał mi, jak bardzo kocha swoją łódź. On też niedługo wyjedzie gdzieś w podróż w poszukiwaniu przygód. Taki już był.

A ja znów zostanę sama, w hotelu Riwiera, i będę czekać na lato, żeby zakwitnąć jak bugenwilla.

Poczucie samotności ogarnęło mnie jak wilgotna mgła. Poczułam dreszcz, choć dzień był ciepły. Trudno być samotną. Usłyszałam cichy szelest i obróciłam się.

Patrzył na mnie mały, czekoladowej maści kotek ze złocistymi oczami. Był drobny i miał słodki różowy nosek, maleńki trójkątny pyszczek i spiczaste uszki.

- Cześć - powiedziałam. - A ty kto jesteś?

Kot wygiął grzbiet, przeciągnął się, po czym podszedł do mnie i otarł się o moje nogi z gardłowym mrużeniem. Wyciągnęłam rękę. Obwąchał ją i usiadł. Obserwował mnie. Podniosłam go, posadziłam sobie na kolanach i pogłaskałam futerko - czegoś tak miękkiego nie dotykałam nigdy w życiu. Polizał moją dłoń szorstkim różowym języczkiem.

Nagle poczułam, że płaczę. Wypłakiwałam całe napięcie kilku ostatnich miesięcy. A kociak siedział spokojnie na moich kolanach. Przestał mrużać, ale sama jego obecność podnosiła mnie na duchu.

Kiedy łyzy obeschły, z braku chusteczek wytarłam twarz brzegiem koszulki. Spojrzałam na kotka. Nie miał obróżki ani znaczka... po prostu mały, zagubiony kotek. A teraz był mój. Będzie moim aniołem stróżem, znajdzie miejsce w moim życiu.

Podnosząc go na kolana, włączyłam go do mojego życia, tak samo jak przed laty zrobiła Leonie Bahri.

Mógł mieć tylko jedno imię. Oczywiście Czekoladka. Pasowało do jego delikatnej brązowej barwy i do mojego zawodu. Myślę, że Beza by go polubiła. Miałam taką nadzieję, bo od tej pory miał spać w nocy na mojej poduszce. I już nigdy nie będę sama.

## Rozdział 11

Pogoda się zmieniła. W sosnach szumiała morska bryza, a jaskrawe słońce lata przeszło w delikatne światło nasycające pejzaż różem i ochrą. Wcześniej rozpałałam ogień i powietrze napelnił żywiczny aromat sosny i palącego się drewna.

Na sobotnim targu spotykają się tylko miejscowi, pozawijani w swetry i kurtki. Rozcieramy zmarznięte dłonie, a mężczyźni wychylają do śniadania solidne szklaneczki brandy, żeby odpędzić wczesny, poranny chłód.

Czasami zdaje mi się, że najbardziej lubię tę porę roku, cichszą, łagodniejszą, z rześkim wiatrem i delikatnymi zapachami, kiedy morze iskrzy się pod niskim, szarym horyzontem.

Zastanawiałam się, jak spędzę resztę długiej zimy. Saint-Tropez jest na Lazurowym Wybrzeżu jedynym miastem zwróconym ku północy; zdarzają się tu chłody i wichury; większość hoteli jest zamknięta od połowy października do marca - choć nie nasz. hotel Riwiera czeka przez cały rok na ludzi z charakterem, na wędrowców, prawdziwych romantyków uciekających od rzeczywistości.

Patrzyłam przez okno na fale okrywające się białą pianą. Czarny słup już nie kołysał się w opustoszałej zatoczce. Jacka nie było od kilku dni; zapowiedział, że wyjeżdża do Marsylii na spotkanie z budowniczym jachtów.

W przeddzień jego wyjazdu jedliśmy kolację w Auberge des Maures. Trzymał pod stołem moją dłoń, a jego zmysłowe spojrzenie sprawiło, że po raz pierwszy nie byłam w stanie skoncentrować się na jedzeniu.

Później spacerowaliśmy po niemal pustych ulicach, zatrzymywaliśmy się tu i ówdzie przy sklepowych wystawach, potykaliśmy się od czasu do czasu na bruku i wędrowaliśmy ciemnymi zaułkami w stronę portu. Nagle, kiedy skręciliśmy w boczną uliczkę, z Quai Suffren dobiegły nas strzępy muzyki. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni. Większość wielkich jachtów już odpłynęła na zimę w cieplejsze strony, a sklepy z pocztówkami i podkoszulkami były pozamykane.

Muzyka płynęła z odtwarzacza CD ustawionego na gładkiej, wyłożonej płytkami przestrzeni przed sklepami. Tango. Pięć czy sześć par, nieświadomych, że się im przyglądamy, uroczyście tańczyło argentyńskie tango.

Zaparło nam dech wobec egzotycznego piękna tej chwili. Ściskając się za ręce, wycofaliśmy się, zostawiając tańczących ich muzyce. Nigdy jednak nie zapomnę tych czarodziejskich minut w chłodną, zimową noc w Saint-Tropez. Jack chyba także.

Westchnęłam, pogrążona we wspomnieniach. Naciągnęłam drugi sweter i kilka razy zawinęłam wokół szyi włóczkowy szal od panny N. Ciągnął mi się aż do kolan; gdyby panna Nightingale została tu dłużej, z pewnością przyrosłoby go jeszcze kilkadziesiąt centymetrów. Zawołałam Czekoladkę i poszłam przez pusty taras i smagany wiatrem ogród w stronę zatoczki.

Tięśłam się z zimna i patrzyłam na fale. Czekoladka popatrzyła na mnie żałośnie, a potem z opuszczonym ogonem pomknęła z powrotem w ciepło kanapy przy rozpalonym kominku.

Spacerowałam po plaży, z opuszczoną głową. Fale ochlapwały mi sandały. Oczy piekły mnie od wiatru, a nos zrobił się czerwony z zimna.

Usłyszałam gwizd i podniosłam głowę. Jack biegł do mnie, a wokół niego, jak zawsze, zataczał szalone kółka Niedobry Pies.

Skamieniałam. O Boże, przemknęło mi przez głowę. Teraz. Przyjechał się pożegnać.

Niedobry Pies dopadł mnie pierwszy, skakał i szczekał, zdumiony, że go nie klepię i nie targam zmierzwionej sierści. Och, Niedobry Psie, pomyślałam, jesteś najpiękniejszym psem świata. Nie mogę się z tobą żegnać. Odwróć się i odejź, wracaj do swojego pana.

- Lolu-powiedział Jack.

Patrzyłam w dół, na swoje zmarznięte stopy w sandałach.

- Lolu - powtórzył, podchodząc bliżej. Nie dotknął mnie jednak. - Słup przecieka. Muszę go zostawić w suchym doku do remontu.

- Och... Czy to znaczy, że zostaniesz tu jeszcze? - Nie wiedziałam, czy chcę, żeby został. Nie wiedziałam, czy zniosę takie cierpienie po raz drugi, za parę miesięcy, kiedy odejdzie na zawsze.

- Szczerze mówiąc, oddałem go do kapitalnego remontu. Pomyślałem, że można go wykorzystać jako miłąłódź wycieczkową dla naszych gości. Wiesz, przejażdżki o zachodzie słońca, wyprawy na ryby, coś w tym rodzaju.

Podniosłam głowę.

- Przejażdżki o zachodzie słońca?

- Jasne. W końcu nie znajdą lepszego szypra ode mnie.

- To na pewno - powiedziałam zamyślona.

Biegał w miejscu, żeby się rozgrzać, uśmiechał się do mnie. W wyblakłych dzinsach i starej bluzie od dresu wyglądał idealnie.

- No więc, co ty na to? - Przestał biegać i wziął mnie za zmarznięte ręce. Przyciągnął mnie do siebie, przytulił moje dłonie do policzka. - Co ty na to, Lolu? - szepnął.

- Na co? ~ Od wiatru miałam łzy w oczach, przynajmniej udawałam, że pojawiały się od wiatru. Roześmiał się i padł na jedno kolano.

- Żebyś za mnie wyszła.
- Och... to - powiedziałam beztrzesko. Popatrzyłam na niego. - Co takiego?!
- Wyjdiesz za mnie, Lolu? Proszę cię.
- Znów fala zalała mi stopy, ale nie zwróciłam na to uwagi.
- Chcesz, żebym za ciebie wyszła?
- Tak jest. Tylko błagam, pośpiesz się i powiedz „tak”, zanim oboje tu zamierzniemy na śmierć.
- Mówisz poważnie?
- Najpoważniej w życiu, kochanie.
- Ale twój jacht, twoja daleka podróż, życie marynarza... Naprawdę potrafisz wytrzymać na jednym miejscu?
- Popracujemy nad tym razem - oznajmił, posyłając mi długie, głębokie spojrzenie, od którego miękły mi kolana. Serce podskoczyło mi w piersi. Ja też podskoczyłam. Stopy po prostu same uniosły mnie nad ziemię.
- Powtórz to.
- Do diabła, kobieto, wychodzisz za mnie za męż. Rejsy o zachodzie słońca i tak dalej. - Podniósł mnie w górę. Obejmowaliśmy się i śmialiśmy między jednym i drugim pocałunkiem, a Niedobry Pies podskakiwał i szczekał.
- Jack przytulił mnie mocno, mruczał jakieś pytania, czy wiem, jak bardzo mnie kocha, i jeszcze inne rzeczy, których nie muszę wam powtarzać. Zastłuchałam się w jego słowa, kiedy nagle mnie odsunął. Trzymał na odległość wyciągniętych ramion i patrzył w niebo.
- Patrz, jak bogowie uświetnili nam tę chwilę - powiedział.
- Zobaczyłam białe, roziskrzone płatki opadające miękko na ziemię.
- Śnieg! - krzyknęłam. - Śnieg pada na Riwierze! - I jak duży dzieciak wyciągnęłam język, żeby złapać na niego białe płatki.
- I znów przytulaliśmy się i śmialiśmy, aż Jack zamknął moje usta pocałunkiem. Scałował śnieg z moich warg. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, musiałam wytrzeć nos i obetrzeć łzy, ale tym razem były to łzy szczęścia.
- A przy okazji, to tak - powiedziałam.
- Co tak? - spytał rozbawiony, robiąc zdziwioną minę.
- Zastanowię się, czy wyjdę za ciebie za męż - odpowiedziałam z westchnieniem, kiedy muskał wargami moją szyję i tulił mnie tak mocno, że ciepło jego ciała roztapiało moje zmarznięte serce.
- No jasne, że wyjdiesz - oświadczył.

## Epilog

**N**a Lazurowym Wybrzeżu jest wczesny ranek. Majowe niebo przybrało przejrzystą, perłoworóżową barwę, jak wnętrze muszli ostrygi. W drodze do kuchni zatrzymałam się, żeby popatrzeć na słońce wylaniające się leniwie spoza horyzontu i dotykające złotem swych pierwszych promieni morza, wierzchołków drzew i dachów, dopóki cały świat nie zalśni tak, jak musiało to wyglądać w dniu stworzenia świata.

Mam szczęście, pomyślałam, że mogę to oglądać każdego dnia. Że znów mogę jechać na poranny targ. Mam szczęście, że hotel Riwiera znów jest otwarty i gości sześć osób, które niedługo zaczną się kręcić w poszukiwaniu kawy z rogalikami.

I jakże jestem szczęśliwa, śpiąc w beztraskie noce w ramionach człowieka, którego kocham, wspaniałego, seksownego kapitana słupa „Niedobry Pies”, a teraz także kapitana i dowódcy mojego serca. Trochę tego za dużo - możecie powiedzieć. Jesteś zbyt romantyczna, odrobinę przesadzasz. Oczywiście, że tak, ale nigdy dotąd tak się nie czułam. Jestem zakochana po uszy i tym razem on też mnie kocha. Naprawdę.

Skąd to wiem? Po prostu Jack Farrar, koczownik i wędrowiec po oceanach, który ceni sobie męskie towarzystwo i lubi spotykać ludzi we wszystkich rybackich portach świata, sam mi to powiedział. A na dowód tego ożenił się ze mną w dzień Nowego Roku w małym, dziewiętnastowiecznym kościółku w Saint-Tropez, wychodzącym na przystań jachtową.

Miejscowi w końcu przygarnęli nas do swych francuskich piersi. Wielu z nich przyszło na nasz ślub, łącznie ze strażakami, którzy ratowali hotel Riwiera od płomieni, a nawet z dwójką żandarmów, którzy przyszli na znak solidarności.



Jack wyglądał zabójczo w granatowej marynarce, a spojrzeniem podtrzymywał mnie na duchu, gdy szłam w jego stronę. Niedobry Pies dreptał za mną wzdłuż nawy, w czerwonej muszce podobnie jak jego pan i ten jedyny raz wykazał się dobrymi manierami, choć zdążył szybko, badawczo ob wachać buty księdza. Czekoladka, mój mały skarb, musiała zostać w domu, ponieważ nie mieliśmy pewności co do jej manier. Dostała specjalną miseczkę świeżej ryby, żeby złagodzić cierpienie, ponieważ ominął ją ślubny bankiet.

Miałam na sobie bordową koronkową sukienkę, która z pewnością należała kiedyś do Rity Hayworth, kiedy z mężem Ali Khanem przebywała tu na Lazurowym Wybrzeżu. Była wytworna i głęboko wycięta, wykończona na dole falbanką jak zasłona w starym kinie. Bardzo seksowna. Tak też, szczerze mówiąc, się czułam. W uszach miałam perłowe kolczyki, a w ręce trzymałam bukiet różowych róż. Spiczaste czerwone pantofle cisnęły mnie jak zwykle.

Kiedy wychodziliśmy z kościoła, grupka dzieciaków rzucała płatki róż i machała chorągiewkami. Śmiałyśmy się, witaliśmy się z ludźmi i mogę przysiąc, że nasze szczęście było zaraźliwe.

Później jedliśmy kolację i piliśmy szampana w bistro na Place des Lices. Niedobry Pies podjadał z talerzy, co tylko mógł. Jack bez przerwy się uśmiechał, a ja musowałam z zachwytu jak szampan. Wszyscy dookoła się śmieli, pod platanami grali muzykanci, w cieniu całowali się zakochani.

A potem wypłynęliśmy słupem na trzydniowy miesiąc miodowy. Żeglowaliśmy szczęśliwi po Morzu Śródziemnym. Czy wspominałam kiedykolwiek, że nie znoszę łodzi? Zmieniłam zdanie. Spróbujcie kochać się w rytm kołyszących fal, a sami zobaczycie.

Niedobry Pies popłynął oczywiście z nami. Wszędzie z nami chodzi. Śpi przy naszym łóżku, a Czekoladka układa się na mojej poduszce (a propos, złota lama została zastąpiona białym płótnem). Przynajmniej wieczorem Niedobry Pies zasypia na podłodze, a Czekoladka koło mnie. Jednak rano słodki czarny nos Niedobrego Psa zwykle leży pod moją brodą. Kiedy otwieram oczy, oboje z Czekoladką intensywnie wpatrują się we mnie w nadziei, że wstanę. Wiem, że Niedobry Pies czeka, bym zabrała go na targ, gdzie sobie znajdzie jakiś przysmak. Ten pies, tak jak ja, jest maniakiem jedzenia, Czekoladka natomiast (też tak, jak ja) pragnie miłości i zainteresowania.

Jack nadal prowadzi swoją firmę budowy jachtów na Rhode Island. Jeździ tam systematycznie, ale przekazał obowiązki Carlosowi. Teraz otwiera filię tutaj i oczywiście zamierza organizować naszym gościom przejażdżki po zatoce w zachodzącym słońcu.

Jeśli chodzi o mnie, główną kwokę, tym razem w gnieździe mam komplet. Mam kogoś wyjątkowego, kogo kocham, o kogo się troszczę, z kim się śmieję i kocham - a muszę przyznać, że kochanie się z Jackiem Farrarem przyprawia mnie o dreszcz nieprawdopodobnej rozkoszy.

Wzdycham ze szczęścia, wchodząc na stopnie tarasu, a stamtąd do kuchni. Nadine wita mnie przyjaznym, życzliwym uśmiechem. Nowa pomoc, drugie wcielenie zeszłorocznej Marit, zwija ciasto na rogaliki i śpiewa do wtóru radia, a nasz nowy „chłopak do wszystkiego” znów się spóźnia. *C'est la meme vie* tu, w hotelu Riwier. Wszystko jest po staremu.

Po szybkiej kawie i krótkiej naradzie postanawiam, że na dzisiejszą kolację spróbuję dostać kolczaste śródziemnomorskie homary jako naszą specjalność, z sosem czosnkowo-musztardowym i sałatką z zieleniny posypanej grzybami i tartym parmezanem, w lekkim sosie winegret. Potem jagnięcina, oczywiście, i może lawendowy *creme bruleel*

Zabieram listę zakupów, gwizdzę na Niedobrego Psa i wolnym krokiem idę do samochodu. Pies siedzi w środku, zanim jeszcze zdążę dobrze otworzyć drzwi. Dyszy z wywieszonym językiem i patrzy na mnie niecierpliwie, jakbym zatrzymywała go przed ważnym spotkaniem. Nie jestem pewna, czy tak jak jego pan nie może mnie odstąpić ani na chwilę, czy wabią go resztki z placu targowego. Wszyscy sprzedawcy już go znają, a większość go podkarmia. Szczerze mówiąc, robi się już gruby.

- Hm, może przydałaby ci się jakaś dieta, psie - mówię w chwili, gdy zza rogu domu wychodzi szybko Jack, podciągając szorty i gwałtownie machając do mnie ręką.

- Co się stało? - pytam, opuszczając okno auta, z wiecznym cikliwym uśmiechem zakochanej po uszy kobiety.

- Nigdy nie wyjeżdżaj bez pożegnania - mówi, obejmując mnie przez otwarte okno i przytula moją głowę do piersi.

Słyszę bicie jego serca i przywieram do niego jeszcze mocniej.

- Przecież spałeś.

- To mnie obudź. Tylko mnie nie opuszczaj. Nigdy.

- Na pewno nie - odpowiadam i to samo obiecuję spojrzeniem, kiedy odrywamy się od siebie.

Macham na do widzenia i ruszam z terkotem drogą w swym starym, wiernym *deux chevaux*, zatrzymuję się na chwilę przed skrzyżowaniem, z przyjemnością patrzę na nowy szyld WITAMY W HOTELU RIWIERA i uśmiecham się, czytając dopisek: POD NOWYM KIEROWNICTWEM. I oczywiście, tak jak to zapowiada reklama, nasza gościnność jest zawsze większa niż nasz mały, ale doskonały hotelik.

Tak więc Jack, ja i oczywiście panna Nightingale mamy nadzieję spotkać się z wami jeszcze i razem cieszyć się długimi, letnimi dniami na plaży. Z niecierpliwością czekamy na rejsy o zachodzie słońca i wspaniałe wieczorne posiłki na ukwieconym tarasie, gdzie wino jest chłodne, a mężczyźni, miejmy nadzieję - gorący; jedzenie najpyszniejsze, jakie tylko potrafię przygotować, na dodatek, oczywiście, z doskonałymi czekoladowymi ciasteczkami, które zostawiam na deser. Będą jak zwykle pieczone' z miłością.

*A bientôt, mes amis.* Do zobaczenia.